

MIECZYŚLAW GOGACZ

# ON MA WZRSTAĆ

Edycja internetowa wydania czwartego

Warszawa 1990

© Mieczysław Gogacz

## SPIS TREŚCI

JUBILEUSZ TEJ KSIĄŻKI.....	4
Z CHRYSYTEM W BOGU.....	11
I. PRZEKSZTAŁCANIE MYŚLENIA.....	14
Początek drogi do Boga.....	14
Zmartwychwstanie z Chrystusem.....	20
Być sobą wobec Boga.....	24
Michał Archanioł wybrał Boga.....	27
Prośba o świętych.....	31
II. NIEUSTANNA MODLITWA.....	33
Modlitwa środkiem rozwoju miłości.....	33
Skrucha z miłości.....	40
III. PRZETRWANIE POKUSY.....	50
Pokusa zniechęcenia.....	50
W sprawie pokusy samotności Listy do Pana Boga.....	55
Pokusa piękna i pokusa miłości.....	59
IV. Z JESUSEM UKRZYŻOWANYM.....	69
Droga krzyżowa Chrystusa programem naszego życia.....	69
Z pałacu Piłata na szczyt Kalwarii.....	74
V. Z MATKĄ ŁASKI BOŻEJ.....	78
Cierpienie Maryi w radosnej Tajemnicy Zwiastowania.....	78
Syn wychowuje Matkę pełną łaski.....	85
Maryja kształtuje w nas Chrystusa.....	87
Codzienne życie w domu Józefa i Maryi.....	90
VI. OCALIĆ DLA BOGA.....	95
Postawy religijne w katolicyzmie.....	95

Postawa katolicka .....	103
Intelekt a religijność człowieka .....	108
Społeczna wartość zakochania.....	113
Droga świeckich i duchownych w życiu religijnym.....	118
Człowiek samotny.....	126
Pozdrawiam starców .....	128
Odpowiedzialność osobowa i wspólnotowa .....	131
Rzeczywistość i kulturowe jej ujęcie.....	134
Koncepcje osoby oraz wspólnota .....	135
Odpowiedzialność człowieka jako osoby i odpowiedzialność człowieka jako chrześcijanina.....	140
Odpowiedzialność jako świadczenie .....	143
VII. UKOCHAĆ NADE WSZYSTKO .....	146
Święty Stanisław Kostka .....	147
Andrzej Milliot .....	152
Święty Maksymilian Kolbe .....	159
1. Uwagi o heroizmie działań religijnych św. Maksymiliana Kolbe.....	159
2. Osobista doskonałość religijna św. Maksymiliana Kolbe .....	162
3. Ascetyczne środki religijnego rozwoju św. Maksymiliana Kolbe.....	165
4. Zakończenie .....	171
Do Tereni S. o ukochaniu Boga.....	171
Do Tadeusza S. o cierpieniu i ufności .....	173
Modlitwa w filmie o Jacku i Marcelino.....	176
Problem środków masowego przekazu w religijnej kulturze rodziny .....	180
Życie religijne w „Zakłamaniu” Bernanosa.....	191
Nasza świętość jest wolą Boga .....	195
ZAKOŃCZENIE .....	216
Odchodząc od Boga .....	216

## JUBILEUSZ TEJ KSIĄŻKI

(przedmowa do czwartego wydania)

1. W roku 1965 ukazało się pierwsze wydanie *On ma wzrastać* (drugie w roku 1973, trzecie w roku 1975). W roku 1990, w dwudziestopięciolecie pierwszego wydania, Wydawnictwo Sióstr Loretanek udostępnia Czytelnikom czwarte wydanie tej książki. Jest to wydanie z okazji swego jubileuszu *On ma wzrastać*.

Na ogół obchodzi się jubileusze osób dla ich znaczących osiągnięć w pracy zawodowej, społecznej, artystycznej, naukowej, pisarskiej i innych. Nieczęsto obchodzi się jubileusze książek. Tym razem znaczące osiągnięcia uzyskuje książka. To o niej piszą do autora Czytelnicy. To jej zawdzięczają swoje pogłębione skierowanie do Boga.

Z tych właśnie powodów, przyjmując zarazem trochę poetycki punkt widzenia, głoszę swoisty jubileusz pierwszego wydania *On ma wzrastać*. Ten jubileusz jest w gruncie rzeczy tylko zwróceniem uwagi na dwadzieścia pięć lat religijnej służby tej książki w przybliżaniu przez nią Boga jej Czytelnikom.

Religijna rola tej książki wywołuje w jej autorze głęboką wdzięczność Bogu i głęboko wychowawczą postawę pokory. Głównie, bowiem ta książka jest wyróżniana przez Czytelników. Niektóre inne książki jej autora są tylko wymieniane, studiowane, niektóre jednak nie są nawet zauważane. Wśród tych wszystkich, dotychczas opublikowanych dwudziestu dwu książek (według wykazu, podanego w *Największa jest miłość*, Warszawa 1988, s. 125), tylko *On ma wzrastać* jest wciąż przez Czytelników właśnie wyróżniana, wymieniana, studiowana, zauważana. Ta książka oddziałuje, więc w sposób bogatszy niż inne książki.

Niektórzy Czytelnicy w bezpośrednich rozmowach z autorem, albo w swych listach, zwierzają, że książce *On ma wzrastać* zawdzięczają swoje nawrócenie. Ta książka nawraca ludzi. To jest tym jej bogatszym oddziaływaniem niż oddziaływanie innych książek. I z

tego właśnie powodu wyróżniam ją czwartym wydaniem oraz swoistym jubileuszem dwudziestopięciolecia jej religijnej służby ludziom.

Książki oddziałują swą treścią, obmyśloną przez autora. Oddziałują na myślenie, a poprzez myślenie na decyzje. Jednak tylko książka *On ma wzrastać* wyraźnie wywołuje przemyślenie i zdecydowanie przez jej Czytelnika powrotu lub przybliżenia się do Boga, wprost właśnie nawrócenia. Jest to albo przybliżenie się do Boga z dalekiego oddalenia, często z ateizmu, albo pójście dalej z aktualnego poziomu więzi z Bogiem w kierunku pogłębienia tej więzi.

Problem pogłębienia życia religijnego powodował, że z kolei ukazywałem zainteresowanym osobom przebieg życia religijnego, wprost jego strukturę, w następnych po *On ma wzrastać* swoich książkach.

2. Myślę o wszystkich swoich książkach. Chciałbym jednak podać kilka wydarzeń głównie z dziejów wydania *On ma wzrastać*.

Pomysł przygotowania do druku książki *On ma wzrastać*, po opublikowaniu już swej pracy doktorskiej, zwierzyłem na KUL-u księdzu Bohdanowi Bejze, Dziś biskupowi B. Bejze, który ogłosił wtedy w „Znaku” mój list z Toronto, opisujący sytuację filozofii w Kanadzie. Może ten fakt skierował mnie do niego z prośbą o radę.

Ksiądz B. Bejze zachęcił mnie gorąco do realizowania pomysłu.

Były to jednak czasy, w których wydrukowanie każdej mojej książki religijnej wymagało specjalnej interwencji osób znaczących w życiu publicznym. Gdy książka *On ma wzrastać* nie została zatwierdzona do druku, zwróciłem się z prośbą o interwencję u władz państwowych do Jerzego Zawieyskiego. Przywiózł odpowiedź, że przeszkodą w zatwierdzeniu książki do druku jest jej autentyczność. Była to odpowiedź kogoś z Komitetu Centralnego. Dziś ta odpowiedź ma dla mnie postać jakby intuicji tej roli książki, o jakiej mówili później jej Czytelnicy. W każdym razie w roku 1965 ukazało się pierwsze wydanie tej książki.

Nie wiem, czy rzeczywiście dzięki interwencjom zatwierdzano moje książki do druku. Na długo jednak przyjął się - nazwijmy to - zwyczaj, że po interwencji niezatwierdzona do druku książka uzyskiwała zgodę na wydrukowanie. Z kolei więc

prosiłem o interwencję posła St. Rostworowskiego, posła J. Auleytnera, także śp. prof. T. M. Jaroszewskiego. Dziękuję im raz jeszcze za życzliwość. Z czasem same wydawnictwa mogły bronić nie zatwierdzonej do druku pozycji. Dziękuję tym Wydawnictwom, które chciały drukować moje książki i broniły ich w urzędach zatwierdzających je do druku. Interwencje autora nie wystarczały. Jedyne raz, jeszcze w trudnym okresie przed Październikiem 1956, groźna dla wszystkich śp. pani Kupraszwili, dyrektor cenzury na wywołującej przestrach ulicy Mysiej, przyjęła mnie i pozwoliła na wydanie mojej pracy doktorskiej. Także jej dziękuję raz jeszcze, już jednak w formie modlitwy za jej duszę.

A może w owych ciężkich czasach tylko intensywniej przejawiała się dobroć?

Dzisiaj są inne czasy, w których wydrukowanie książki wymaga także pokonania trudności, owszem innych, lecz równie dotkliwych. Także jednak doznaję intensywnie przejawiającej się dobroci.

Gdy 11 września 1980 na audiencji w Castel Gandolfo prosiłem Ojca Świętego Jana Pawła II o przyjęcie trzech moich książek, wśród których znajdowało się trzecie wydanie *On ma wzrastać*, na książce *Idę śpiewając Ciebie* zamieściłem w dedykacji myśl, że pisanie książek uważam za mój sposób świadczenia o Chrystusie i że Kościołowi w osobie Ojca Świętego oddaję treść swych książek (ogłosiłem tę dedykację w książce *Dziesiątek różańca refleksji*, Warszawa 1984, s. 5).

Tę dedykację odnoszę do wszystkich moich książek. Także *On ma wzrastać* jest wobec tego sposobem mojego świadczenia o Chrystusie. Jej treść jest ponadto oddana Kościołowi. Kościołem są wszystkie osoby, kochające Chrystusa i razem z Nim, jako głową Kościoła, stanowiące Jego Mistyczne Ciało, którego duszą jest Duch Święty. A wszyscy jesteśmy „z Chrystusem ukryci w Bogu”. Treść książki *On ma wzrastać*, oddana Kościołowi, jest wobec tego oddana wszystkim osobom, kochającym Chrystusa.

Pragnę z wdzięcznością Bogu podać także opublikowaną już w *Dziesiątku różańca refleksji* (s. 48) informację, że w okresie pielgrzymki Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z okazji Tysiąclecia Chrztu Polski, gdy Obraz był podejmowany na KUL-u, obecny na tej uroczystości ks. kard. Karol Wojtyła powiedział mi, że czyta *On ma wzrastać* i pokazał mi trzymany w ręku egzemplarz książki.

Wiem też z listów od Czytelników, że pierwsze wydanie w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy było ponadto przepisywane na maszynie i w postaci maszynopisu dalej przekazywane. Ze wzruszeniem dziękuję wszystkim tak wiernym tej książce jej Czytelnikom.

Piszę to wszystko, aby usprawiedliwić czwarte wydanie i swoisty jubileusz dwudziestopięciolecia *On ma wzrastać*.

3. Czwarte wydanie, z różnych aktualnych powodów, jest powtórzeniem drugiego wydania. Jednak jak każda książka, także czwarte wydanie *On ma wzrastać* wymaga zaprezentowania.

Aby scharakteryzować książkę, posłużę się zacytowaniem krótkich fragmentów z przedmowy do poszczególnych, wcześniejszych wydań.

Na pierwszym miejscu sytuuję myśl z przedmowy do drugiego wydania. Tę myśl bez zmian można odnieść także do czwartego wydania.

„Od Czytelników książki otrzymałem wiele listów, które ogromnie cenię, przechowuję i za które serdecznie dziękuję. W niektórych listach zgłaszano sprzeciwy wobec danego rozdziału, w innych listach ten dany rozdział właśnie akceptowano. Wynika z tego, że książka różnymi zespołami ujęć dociera do różnych grup Odbiorców. Pozostawmy ją w tym właśnie jej kształcie, aby zarazem niepokoiła i wyjaśniała, i aby w sumie wszystkim Czytelnikom — jeżeli Bóg zechce — pomagała w odnalezieniu i ukochaniu Trójcy Świętej”.

Z pierwszego wydania wybieram fragment, który informuje, że „książka jest swoistym ciągiem akcentów, ciągiem precyzowania i analiz, ciągiem wysiłku i trudu zrozumienia, o co chodzi w życiu religijnym, na czym ono polega, w jaki sposób Bóg i człowiek nawiązują przyjaźń. Wiadomo, że człowiek religijny musi zmienić swoje własne myślenie na myślenie według życzeń Bożych, że uzyskuje to w ciągłej modlitwie, że musi przetrwać pokusy, wszystko w sobie ocalić dla Boga i przede wszystkim Boga ukochać. Poszczególne rozdziały takim więc sprawom zostały poświęcone”.

Przy pomocy fragmentu przedmowy do trzeciego wydania chcę wyznaczyć, że oddaję do rąk Czytelników czwarte wydanie „nie dlatego, że czuję się uprawniony do zabierania

głosu w sprawach religijnego spotkania człowieka z Bogiem. Tylko po prostu głośno myślę o sprawach, które dla mnie i dla wielu ludzi są istotne. A jeżeli mam odwagę temu głośnemu myśleniu nadać formę książki, to decyduje o tym szacunek dla uczestnika tego głośnego myślenia, którym jest Czytelnik, szacunek wyrażający zaufanie i potrzebę wspólnych właśnie z Czytelnikiem rozważań na temat religijnego pogłębiania przyjaźni z Bogiem. Wszyscy, którzy stanowią Kościół, jesteśmy Mistycznym Ciałem Chrystusa. Wszyscy z tej racji jesteśmy sobie winni pomoc. Jedni za drugich jesteśmy odpowiedzialni i wzajemnie musimy przybliżyć się do Chrystusa, aby Chrystus mógł wprowadzać nas w miłość Bożą”.

Znaczący to, tak powiedziałbym dzisiaj, że Chrystus przychodzący do nas w sakramentach, jest w nas nadprzyrodzonym słowem serca, powodującym nasze religijne więzi z Bogiem.

O wspomniał w nas przyrodzonym słowie serca piszę w swych pracach filozoficznych, np. w książce *Elementarz metafizyki*. Rolę nadprzyrodzonego słowa serca w życiu religijnym zarysowuję w książce *Największa jest miłość*. Po *On ma wzrastać* usiłowałem bowiem coraz głębiej i precyzyjniej wyjaśniać strukturę życia religijnego. O tej strukturze życia religijnego, ujętej filozoficznie i teologicznie, pisałem w swych kolejnych książkach. Chciałem bowiem, aby Czytelnicy jasno wiedzieli, na czym polega życie religijne i jak łączy nas z Bogiem.

4. Pragnę wobec tego prosić Czytelników o zorganizowanie sobie własnego studium wiedzy o życiu religijnym. I proponuję dwa jednoczesne poziomy tego studium: poznawanie tekstów świętych i poznawanie tekstów teologicznych.

a) W studium tekstów świętych polecam codzienne odmawianie kilku następujących po sobie psalmów, zarazem uważne czytanie kolejnych fragmentów Ewangelii, listów św. Pawła, z kolei innych tekstów Starego i Nowego Testamentu. Po trzech latach, może po pięciu, treść wszystkich tych tekstów zadomowi się w naszym myśleniu i zacznie wyznaczać prawidłowe odniesienia do ludzi i do Boga.

Zauważmy bowiem, że odmawianie psalmów jest modlitwą, skupiającą wszystkie jej odmiany, a treść psalmów jest wyjaśnianiem nam przez Boga Jego odniesień do nas i



naszych odniesień do Niego. Jest zarazem budzeniem w nas tęsknoty do Boga. A szczerą, choć bolesną tęsknotą, chroni nas w ciemnej nocy miłości.

Uważne czytanie kolejnych fragmentów Ewangelii jest modlitwą myślną, dzięki której umiemy dać w sobie pierwsze miejsce Bogu. Zarazem Ewangelie ukazują nam rolę Chrystusa w naszych powiązaniach z Bogiem. A Ewangelia św. Jana swą klasą i głębią wyrabia taki „smak” teologiczny, że już nie zachwycą nas teksty religijne innych religii.

Listy św. Pawła wyjaśniają główne prawdy wiary, przede wszystkim osobową strukturę Kościoła, a hymn o miłości w pierwszym liście do Koryntian 13, 1-13, ukazuje dojrzały katolicyzm, uczy uzyskiwania religijnej dojrzałości, którą stanowią w nas owoce darów Ducha Świętego.

W tekstach Starego Testamentu wzrusza bezwzględna wierność Bogu myślącego Abrahama i jego rozmowa z Bogiem w języku, którym najlepiej operuje, w języku kupca, gdy broni mieszkańców Sodomy i Gomory. A gdy przyjmuje Boga pod dębami Mamre, mówi językiem gospodarza uczty. Wzruszający, wspaniały Abraham. Przejmuje czupurna, lecz jakże głęboka pobożność Jakuba. Budzi ufność rozbrajająca nieporadność Tobiasza, któremu z woli Boga anioł organizuje małżeństwo. A Dawid, który wciąż dźwiga się ze swych grzechów dzięki wybaczącej mu miłosiernej miłości Boga. A Bóg, który troszczy się o proroka Jonasza, gdy spełnił swe poselstwo. Bóg każe aniołowi zasadzić szybko rosnącą roślinę, by zasłoniła Jonasza przed słońcem, gdy czekał obok Niniwy na wynik przekazanej jej mieszkańcom prośby Boga o nawrócenie. I Bóg przemawiający do pierwszych ludzi w Raju, zapowiadający Wcielenie i zbawienie. Podane w prorocत्वach dary Ducha Świętego. I ukazywana wspaniałość Chrystusa, który się narodzi w Betlejem. Jakże to wszystko przejmujące. I kieruje do niezrównanej w swym spokoju i rzeczowości rozmowy Maryi z aniołem podczas zwiastowania. I znowu Ewangelia św. Jana. I psalmy. Stałe koło lektury tekstów świętych.

b) W studium tekstów teologicznych, by zrozumieć swoje życie religijne, prosiłbym o taką kolejność przyswajania sobie treści najpierw moich książek: *On ma wzrastać, Idę śpiewając Ciebie, Modlitwa i mistyka, Największa jest miłość.*

Inne moje książki pogłębiają lub poszerzają jakiś ważny etap odniesienia człowieka do Boga. *Błędy brata Ryszarda* uczą, tak sądzę, pełnego zaufania do Boga i kierowania się na co dzień życzeniami Chrystusa. *Jak traci się miłość* to obraz realizowania życia w wierności dziesięciu przykazaniom. *Ciemna noc miłości* jest wyjaśnianiem kryzysów w życiu religijnym i próbą zaproponowania sposobów chronienia się przed załamaniem i rozpaczą, gdy tracimy miłość do ludzi i do Boga. *Dziesiątek różańca refleksji* jest książką o Ojcu Świętym Janie Pawle II i o jego wersjach głoszenia dziś ludziom Chrystusa. *Dzień z Matką Bożą* to propozycja trwania w więzi z Chrystusem przez - wspólną z Matką Bożą - modlitwę poranną i wieczorną, różaniec, drogę krzyżową i litanie. Aby przypomnieć i podkreślić wagę tych starych form modlitwy, czynię je tytułami rozdziałów. Te czcigodne formy modlitwy, choć stare, są wciąż świeże, gdyż wypełnione rozważaniem prawd wiary w powiązaniu ich treści z rolą Matki Bożej w zbawieniu, którego dokonał Chrystus, otwierający nam miłość Boga w swym Wcieleniu i kierujący nas do Boga przez mękę krzyżową, śmierć i zmartwychwstanie. *Dzień z Matką Bożą* to zarazem - przez budowę książki - zwrócenie uwagi na dawne *Małe Oficjum ku czci Najświętszej Maryi Panny*, które wychowywało mnie od roku 1937 (korzystałem z wydania w Krakowie 1936). To „Oficjum” swymi psalmami, swymi „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” może nas wszystkich pocieszać i chronić na naszych drogach krzyżowych.

5. Po dwudziestu pięciu latach od pierwszego wydania *On ma wzrastać* jestem już teraz, zresztą także jako profesor uniwersytetu, może bardziej doświadczonym wychowawcą osób, nawiązujących relacje z ludźmi w humanizmie i relacje z Bogiem w religii. I może z zawodowego nawyku nauczania i wychowywania, a pracuję na uczelniach katolickich od 1952 roku, zaleciłem dodatkowe lektury Czytelnikom książki *On ma wzrastać*. Wiem ponadto, że chcę wbudować tę swoją pierwszą książkę religijną w całość swej refleksji z zakresu ascetyki katolickiej, filozofii i teologii, a zarazem w całość objawionej prawdy, zawartej w tekstach świętych. Nie wycofuję więc swej propozycji lektur. Jedynie proszę o modlitwę także za mnie do Pana Boga naszego.

## Z CHRYSYSEM W BOGU

*„Życie wasze ukryte jest wspólnie  
z Chrystusem w Bogu”.*

Kol 3, 3

Co dzieje się w człowieku, do którego przybliża się Bóg? I jaki jest w swym wnętrzu ten człowiek, w którym Bóg wzrasta?

Gdy Bóg przybliża się do człowieka i wzrasta w duszy ludzkiej, człowiek widzi świętość Bożą i swoją nędzę. Co z tego musi wynikać? Człowiek przeżywa skruchę, czyli taki stan duszy, w którym wyciąga praktyczne wnioski z dostrzeżenia świętości Bożej i własnej nędzy. Człowiek widzi, że jest całkowicie wobec Boga grzeszny. Stwierdza to, chyli głowę do stóp Bożych i kieruje do Boga wewnętrzne słowa żalu. A żal sprawia, że Bóg podnosi duszę ludzką aż do swego serca. Po prostu proporcjonalnie do wewnętrznego uznania, że jesteśmy grzeszni, i proporcjonalnie do żalu rozwija się miłość między Bogiem i człowiekiem. Ta miłość wywołuje potrzebę nieustannych rozmów człowieka z Bogiem. Człowiek rozmawia, a skutkiem tych rozmów, jak każdych rozmów, jest uczenie się, przekształcanie myślenia. I człowiek uczy się od Boga nowego myślenia. Tym samym uczy się nowego wartościowania. I kiedy jakaś rzecz, której Bóg nie uważa za wartość, chce zdobyć człowieka, człowiek umie przetrwać pokusę. To przetrwanie jest trudne, jest męką. Ale człowiek już umie pozostawać z Chrystusem na Jego drodze krzyżowej razem z rodziną Chrystusa. Umie też ocalać dla Boga każdą wartość, a przede wszystkim ukochać nade wszystko. Człowiek umie ukochać Boga i ukochać to wszystko, co Bóg kocha.

Tak przebiegająca refleksja wyznaczyła rozdziały tej książki. A źródłem tej refleksji jest zdanie z Ewangelii św. Jana 3, 30: „On ma wzrastać, a ja stać się małym”.

Co to znaczy praktycznie?

I dalej, jakie sprawy, ważne już w tym życiu, jakie perspektywy chce odkryć św. Paweł, gdy mówi w liście do Kolosan 3, 3, że „życie wasze ukryte jest wspólnie z Chrystusem w Bogu”.

Muszę to zrozumieć, przeanalizować.

W każdą duszę ludzką coraz pełniej wnika Chrystus i w jakimś momencie tak dokładnie życie ludzkie jest zrealizowaniem wewnętrznego życia Chrystusa, że Przedwieczny Ojciec stwierdza o każdym z nas rozpoznając w naszej duszy rysy Jezusa: „Ten jest Syn mój miły, w którym sobie upodobałem”.

Po prostu będąc wciąż sobą swoje życie kształtuję w taki sposób, że wycofuję z głębi swej natury swój projekt życia, a na to miejsce wprowadzam całe wewnętrzne życie Jezusa. Nie realizuję żadnego swojego pragnienia, lecz pragnienia Boże. Jestem sobą w swej bytowości, lecz postępuję tak jak Jezus. Jestem człowiekiem, którego życie jest uwalnianiem się od siebie, a nabywaniem Boga w tym sensie, że jestem sobą, ale o wewnętrznym kształcie Jezusa.

Nie dokonuję przez to niczego nadzwyczajnego, lecz staję się tym, kim z racji odkupienia jestem: częścią mistycznego organizmu Bożego, ciała Jezusa. Nawiązuję tylko do życia całego organizmu. Byłoby jak najbardziej nienormalne, gdybym będąc częścią Mistycznego Ciała Jezusa nie miał tego samego życia, które ma Jezus. Tylko pod tym warunkiem moje wewnętrzne życie „ukryte jest wspólnie z Chrystusem w Bogu”.

I stąd wszystko, co Bóg powiedział o Jezusie, odnosi się jako postulat do każdego z nas. Codziennie we Mszy świętej i my, jako części Mistycznego Ciała Jezusa, jesteśmy ofiarowywani Bogu, a także przenoszeni „przez ręce świętego anioła” — samego Chrystusa, jak wyjaśnia Marmion, w najgłębsze życie Trójcy Świętej, w której nieustannie przebywa Jezus: jesteśmy „z Chrystusem w Bogu”. Nasze więc prawdziwe życie jest życiem w Bogu razem z Chrystusem w Trójcy Świętej.

Całe życie religijne od naszej strony polega na zdążaniu do „tego, co w górze jest, gdzie Chrystus siedzi po prawicy Bożej”. Św. Paweł zachęca: „szukajcie tego..., starajcie się o to”. Jeżeli z powodu grzechu jest inaczej, to właśnie cała praca Boga nad

przekształceniem nas i nasz wysiłek zmierzają do przywrócenia nam wspólnego życia z Jezusem w Bogu.

Nabywanie życia Jezusa, właściwie u wszystkich ludzi w skutkach to samo, w sposobach jest różne, zależnie od typu trudności, które przeżywa człowiek danego okresu historycznego.

Każdy z nas jest człowiekiem dzisiejszych dni o strukturze psychicznej, trudnościach i tęsknocie, wyznaczonych sprawami tych czasów. I każdy z nas jest jednocześnie człowiekiem wczorajszym, którego wyprzedzają sprawy dzisiejsze. Człowiek bowiem reaguje zależnie od uczuleń, ukształtowanych wczoraj. W tym sensie jesteśmy zawsze spóźnieni, zawsze w tyle w stosunku do dzisiejszych zdarzeń.

Tylko Jezus jest wciąż współczesny, ponieważ istnieje poza czasem, zawsze teraz. Kształtowanie w sobie wewnętrznego życia w sensie realizowania życia Jezusa jest prawdziwie życiem współczesnym, w wieczystej teraźniejszości. Zupełnie więc jest zrozumiałe, że żyć jak Jezus, to żyć jak najbardziej zgodnie z tym, czym jesteśmy w sensie nadprzyrodzonym, a więc żyć prawdziwie i jak najbardziej na bieżąco w Boskim „teraz”.

Jaki więc jest w swym wnętrzu ten człowiek, do którego przybliży się Bóg? W jaki sposób coraz pełniej staje się w nas życie wspólne nam i Bogu? Kiedy życie religijne jest autentyczne, kiedy Bóg rzeczywiście je kształtuje i realnie przebywa w duszy ludzkiej? Czy naprawdę tak kocham Chrystusa, że spełnią się słowa Ewangelii „i Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy, i mieszkanie u niego uczynimy”?

Chcę przebywać z Chrystusem w Bogu i pragnę, aby w mojej duszy przebywał Bóg. Jak poznać, że Bóg w niej przebywa? Jak poznać, że nie łudzę się, że się nie okłamuję, że nie służę jakiejś tylko wymyślonej sytuacji? Co robić, aby pogłębiała się moja miłość do Boga, aby Bóg coraz pełniej przejmował każdą cząstkę mojego bytu, terenu swej chwały?

Co więc dzieje się w człowieku, do którego przybliży się Bóg i powoduje, że staje się w nas życie wspólne nam i Bogu?

Pragnę w tej książce postawić pytania, lecz nie chcę ich rozwiązywać. Pragnę nimi mobilizować refleksję Czytelnika i tylko pokazywać związane z tymi pytaniami perspektywy. Ponieważ Bóg istnieje, nasza miłość powinna znaleźć się przy Bogu. A

znaleźć się przy Bogu to znaczy wśród spraw tego świata wciąż razem z Bogiem przebywać. Razem z Bogiem. Bóg i dusza, jak zakochani. Razem Bóg i ludzie zakochani w Bogu. Człowiek — zakochany w Bogu.

## I. PRZEKSZTAŁCANIE MYŚLENIA

*„Jan Chrzciciel... nauczał na pustyni judzkiej wołając: Pokutujcie, bo bliskie jest królestwo niebieskie”. (Mt 3, 2).*

*„Cała jego nauka zamykała się w napomnieniu moralnym: Królestwo Boże blisko! Zmieńcie swój sposób myślenia! I rzeczywiście pierwsze jego słowa: «Pokutę czyńcie!» oznaczały właśnie to: «zmieńcie sposób myślenia!» Tekst grecki podaje słowo «metanoeite», czyli «zmieńcie myśl». Po hebrajsku używano się słowa «shub», co znaczy «powrócić» ze złej drogi, by obrać drogę właściwą. W obydwu językach myśl jest ta sama, a mianowicie — dokonać całkowitego przeobrażenia wewnętrznego człowieka”.*

G. Ricciotti, Życie Jezusa Chrystusa, Warszawa 1955, s. 286-287.

### POCZĄTEK DROGI DO BOGA

Czasem pojawia się w człowieku tęsknota, aby pobiec do kościoła natychmiast, rzuciwszy wszystko, i tam trwać na zawsze w milczącej modlitwie wyrażając Bogu miłość i prosząc o trwałą więź z Chrystusem.

Czasem odejdą wszystkie sprawy i pozostanie w duszy jedna - a właściwie wtedy ją dostrzegę - gorące i bolesne pragnienie, aby z oczami pełnymi łez pochylić się nad Hostią i roztoczyć wzruszającą opiekę nad utajonym w Eucharystii Ciałem Jezusa zupełnie bezbronnym. Bóg je powierzył ludziom z całkowitym zaufaniem.

Trudno wyobrazić sobie, ile powinien płakać człowiek, którego powali grzech, oddzieli od Boga i odbierze opisaną powyżej tęsknotę.

Grzech jest spełnieniem czegoś, czego nie życzy sobie Bóg. Jest więc zrezygnowaniem z realizowania w sobie życzeń Bożych, czyli życia Jezusa, które zawsze jest wypełnianiem woli Ojca.

Nasze życie dokonuje się między tęsknotą do Boga i tęsknotą do siebie, do swoich spraw i pragnień, między zwracaniem się ku Bogu i odwracaniem się do siebie, między miłością Boga i porzuceniem tej miłości.

Mówiąc krótko, nasze prawdziwe dzieje są dziejami naszej miłości. I dokonują się między dwoma biegunami: miłość Boga i miłość siebie.

Prawdziwe życie człowieka polega na kierowaniu miłości do Boga. Życ to kochać Boga. Ponieważ jesteśmy przede wszystkim nadprzyrodzoną częścią ciała Bożego, z tej racji musimy być w Bogu.

Przebywanie w Bogu i przebywanie w sobie to wyczerpujący podział sposobów życia. Właściwie tylko grzech powoduje, że przebywamy w sobie, a nie w Bogu. Powrót do Boga jest porzuceniem siebie, a dokonuje się przez umartwienie, przez odwrócenie się od tego, co sprzeciwia się Bogu, czyli przez pokutę i żal za grzechy.

Pierwszym etapem życia wewnętrznego jest w tej sytuacji skrucha. Zachwygam się Bogiem i za chwilę odchodzę od Boga. Kocham i przestaję być wierny Miłości. Lecz natychmiast to odkrywam i żałuję. Żałuję, ponieważ kocham Boga.

\*

Najpierw dwie uwagi o błędach w sposobie kochania, o tym, jak nie powinno się kochać, precyzowanie sprawy miłości od strony negatywnej i od strony działania. Inaczej mówiąc, jest to pytanie o to, jak kochać Boga i ludzi, by kochać najlepiej, zgodnie z życzeniem Bożym i dobrem człowieka.

Nie wolno kochać nawet Boga w taki sposób, by tą miłością zachwycać się, zadowalać, zapełniać. Wtedy bowiem bardziej myśli się o sobie niż o Bogu. Nawet miłość do Boga, prawdziwą w nas miłość do Boga należy porzucić, a wybrać samego Boga. Nie

wolno zatrzymywać się przy miłości, wolno zatrzymać się przy Bogu. Nie wolno przywiązywać się do miłości, wolno przywiązać się do Boga.

Nie wolno kochać ludzi w taki sposób, by tą miłością uspokajać się i usprawiedliwiać wobec siebie. Wtedy myślimy o sobie, nie o ludziach i Bogu. Wtedy tę miłość podporządkujemy sobie. Czynimy z niej sposób składania sobie chwały. Ludzi należy kochać tak jak siebie, to znaczy bardzo, całym sercem. Nie dla siebie, lecz tak jak siebie. Wtedy, gdy Kochamy tak jak siebie, nie ma osób bardziej i mniej Kochanych. Znika gradacja. Wszyscy ludzie zostają podciągnięci do tej najwyższej miary miłości, którą darzymy wybranych i najbardziej Kochanych. Wszyscy ludzie muszą być jedyni i wybrani. Każdy człowiek. Miłość bliźniego jest zrównaniem wzwyż. Tak jak Kochamy najbliższą sobie osobę, mamy kochać każdego człowieka. Z takim samym przejęciem, z jakim spotykamy kogoś najbardziej Kochanego, mamy spotykać każdego człowieka. Wtedy jest miłość. W innym wypadku jest tylko jałmużna.

\*

Zachwycam się Bogiem, który tak bardzo Kocha człowieka, że obmyślił i zorganizował świat ze względu na każdego z nas osobno. Cokolwiek bowiem dzieje się w świecie, dzieje się ze względu na mnie, i cokolwiek dzieje się w nas, ma znaczenie dla całego świata. Bóg więc z wielką miłością obmyślił moje życie. Przekonanie to wypływa z prawdy, że jesteśmy częścią Mistycznego Ciała Chrystusa.

Bóg obmyślił moje życie w najdrobniejszych szczegółach. Jest troskliwy, dobry. „Barkami swymi nas osłania”, jak zapewnia psalm 90, gdy grożą nam nieszczęścia, gdy atakuje nas grzech, który jest zawsze wyborem przez nas naszego zdania, a pominięciem zdania Bożego.

Zgoda na Boże życzenie jest trudna, wymaga umartwienia. Czym jest umartwienie?

Ktoś prosił: „Pokaż, na czym polega myślenie religijne. Kiedy myślenie jest religijne, a kiedy pozareligijne? Pokaż granicę i określ cechy myślenia religijnego, scharakteryzuj umartwienie”.

Myślenie religijne charakteryzuje się między innymi ujmowaniem wszystkich spraw życia w powiązaniu z Bogiem. I mam tak mówić o Bogu, aby rozumiał mnie mój



rozmówca teraz, dzisiaj, zachwycony jazzem, sportem, powieścią, nauką, działaniem społecznym czy też ciężką pracą przy chorych.

Można przy okazji dodać, że w powyższym sformułowaniu mieści się określenie wychowania religijnego albo inaczej duszpasterstwa. Jest ono sposobem porozumienia się z rozmówcą na temat Boga. Czasem wystarczy uśmiech, a czasem jest potrzebny filozoficzny wykład. A niekiedy długie lata modlitwy.

Jest zupełnie zrozumiałe, że muszę przecież w jakiś sposób okazać swą miłość osobie kochanej. Muszę jej to powiedzieć i zadokumentować czynem. A jak to zrobić, gdy osobą kochaną jest Pan Bóg? Wydaje się, że trafiam na określenie umartwienia, czyli ascezy. Umartwienie to jeden ze sposobów pokazywania Bogu, że Go Kocham.

Wynika z tego jakże prosty wniosek, że istnieją różne ascezy i ascetyki, czyli sposoby i teorie umartwienia. Umartwienie jest proporcjonalne do wewnętrznych trudności, które człowiek spotyka w pracy nad realizowaniem w sobie życia religijnego. Muszę usunąć to, co mnie oddala od Boga. Niekiedy są to po prostu sprawy stołu i Kochający Boga wprowadzają w swoje życie surowe posty. Niekiedy jest to sprawa pokusy przywłaszczania sobie cudzej własności, na przykład podziwianego ludzkiego ciała, sprawa więc braku cnoty czystości, a tym samym braku miłości bliźniego. Brak tej cnoty wyraża się zresztą i w innych formach, jak zaniedbanie troski o ubogich, chorych, smutnych, cierpiących. Wtedy czasem trzeba nie podjąć na przykład małżeństwa, jeżeli ktoś wie, że będzie ono odbieraniem Bogu należnej Mu miłości ludzkiej. Czasem właśnie trzeba wybrać małżeństwo i w nim służyć Bogu jako w naturalnej i dla siebie najlepszej szkole umartwienia egoizmu. A czasem trzeba wszystko porzucić i służyć nieuleczalnie chorym w szpitalach. Albo przez całe życie pocieszać i ratować od rozpaczki kogoś ze swoich bliskich.

Po prostu umartwienie jest czymś względnym. Jest sposobem przekonywania Boga, że Go Kochamy. A sposób ten polega na oddaniu, porzuceniu tego, co oddziela od Boga. Oczywiście decyzję w sprawie tego, co porzucić, musi zatwierdzić sam Bóg przez radę spowiednika. Inaczej moglibyśmy ulec pomyłkom i właśnie kaprysom wielu swoich tęsknot.

Krótko można powiedzieć, że wychowanie religijne wiąże się ze sprawą umartwienia, które jest sposobem niepodejmowania swoich pragnień, a więc przełamywaniem egoizmu i swoich przyzwyczajęń. Jest to zatem sposób realizowania pragnień Bożych.

Chodzi do tej pory o umartwienie, przy pomocy którego mam przychodzić do Boga. Istnieje też umartwienie, które wypływa z faktu już przebywania człowieka z Bogiem. Franciszek z Asyżu spędzał noce na modlitwie nie dlatego, że zmuszał się do modlitwy lub uczył się jej, lecz dlatego że nie mógł odejść od modlitewnej konieczności przebywania z Bogiem. Nie spał z tej racji, nie jadł, spędzał w swym „carceri” całe tygodnie. Ten typ umartwienia jest też sposobem okazywania Bogu miłości. Jest równie ciężki jak sposób niepodejmowania swoich pragnień.

Różnica między tymi dwoma typami umartwienia polega na motywie:

1. Chcę przełamać egoizm.
2. Nie mogę przerwać modlitwy.

Muszę trwać na zawsze przed Hostią i roztaczać wzruszającą opiekę nad Ciałem Jezusa zupełnie bezbronnym, które Bóg z całkowitym zaufaniem powierzył ludziom.

\*

Teraz rozważę tę sprawę, że skrucha jest czynnikiem rozwoju miłości do Boga.

Kocham Boga, zachwyam się Bogiem i za chwilę odchodzę od Boga. Natychmiast też powracam.

Teresa Wielka widzi w tym normalny rytm życia duchowego. Najgorsze są długie przerwy, długi okres życia bez łaski uświęcającej. Ale natychmiastowy powrót do Boga przez żal jest znakiem, że Duch Święty działa w duszy człowieka. Ciągłe, natychmiastowe podnoszenie się, zwracanie do Boga, nawracanie się jest przybliżaniem się do Boga. Może właśnie o to stałe przybliżanie się do Boga chodziło ks. Janowi Vianney, gdy często prosił: „Proszę się modlić o moje nawrócenie”.

Przyznaję się do swego grzechu. Widzę, że jestem słaby, że spełniam swoje pragnienia, wyznaczone egoizmem i namiętnościami. Wyznaję to Bogu. I w tym wyznaniu odkrywam różnicę między swą biedą a świętością Boga, a jednocześnie znajduję źródło

żalu: świętość Boga i przeciwstawiający się jej, obrażający ją mój grzech. Wchodzę w sytuację pokory. Dostrzegam bowiem bezsens występowania przeciw świętości Bożej. I wstydzę się tego czynu. Po prostu pokora, czyli poznanie właściwej relacji między mną i Bogiem, wywołuje żal za grzechy. Żal jest nie tylko znakiem pokory, jest przede wszystkim znakiem miłości. Żałuję, ponieważ cenię Boga, ponieważ miłuję. Miłość wyrażona w żalu przybliża Boga. A znowu Bóg, gdy jest bliżej duszy, daje okazję głębszego poznania swej świętości i różnicy między tą świętością i naszym nierozumnym postępowaniem. To wszystko powoduje głębszą pokorą i coraz prawdziwszy, bardziej szczerzy, doskonały żal. Żal przywołuje Boga, przywołany Bóg wywołuje akt skruchy. Prawie w nieskończoność pogłębia się żal i nieskończenie przybliża się Bóg. Rośnie w człowieku proporcjonalna do żalu miłość i proporcjonalna do miłości męka ogrójcowego konania z bólu. Zarazem utrwala się więź miłości z Bogiem.

Żal, który polega nie na pamiętaniu o grzechach, lecz na przeżyciu bólu, że obrażem kochającego mnie, tak nieskończenie kochającego Boga, i na przeżyciu decyzji niepowtórzenia nigdy tego, co oddziela od miłującej mnie najczystszej Świętości, jest znakiem, że zaczęło się w człowieku autentyczne życie religijne. I jest czynnikiem wywołującym ciągłą miłość. A ciągła, coraz doskonalsza miłość do Boga jest istotą rozwoju duchowego. Tak stawia sprawę Aniela z Foligno, Katarzyna Genueska, także o. Marmion i R. Garrigou-Lagrange.

Aby jednak rozwój ten dokonywał się w człowieku, nasz żal po każdym grzechu musi być proporcjonalny do stopnia utraconej przez grzech łaski. Pod tym warunkiem odzyskujemy utraconą łaskę na tym samym etapie, na którym zdarzył się grzech. A jeżeli żal i miłość są większe niż wymaga tego proporcjonalność w stosunku do odzyskanej łaski, następuje rozwój, powiększenie łaski i powiększenie stopnia świętości, to znaczy stopnia wniknięcia w nas Jezusa i wspólnego z Nim przebywania w Bogu. Streszczam uwagi o rozwoju w nas miłości do Boga.

1. Przy pomocy Boga poznaję siebie, to znaczy swą nędzę w porównaniu ze świętością Boga.

2. Uświadomienie sobie, że grzech jest wystąpieniem przeciw świętości Bożej, wywołuje ból, inaczej mówiąc pokora sprawia, że człowiek przeżywa żal za grzechy.
3. Żal, jako znak miłości, przywołuje Boga.
4. Gdy Bóg się przybliży, pogłębia się we mnie świadomość mej biedy i poznanie świętości Bożej, tym samym pogłębia się żal i miłość do Boga.
5. Im głębszy żal, tym większa miłość.
6. Stały żal za grzechy, polegający na prawdziwym bólu i decyzji niepopelniania grzechów, jest czynnikiem rozwoju miłości.
7. Rozwój miłości Bożej w nas zależy od proporcjonalności między żalem i stanem utraconej przez grzech łaski. Odzyskanie łaski to swoiste zmartwychwstanie z grzechu.

### ZMARTWYCHWSTANIE Z CHRYSTUSEM

Co to znaczy z Chrystusem żyć, umierać i zmartwychwstać? Zmartwychwstać z grzechu do wspólnego życia z Bogiem. Co to znaczy w zwykłym języku szarego dnia i szarej ludzkiej pracy?

Można by sobie na przykład tak odpowiedzieć. Żyć, umierać i zmartwychwstać znaczy tak załatwiać w niedzielę sprawy Boga, aby mieć przez cały tydzień spokój. To za mało. To jeszcze nie jest postawa religijna. Taka pozareligijna postawa charakteryzuje się tym, że swój stosunek do Boga człowiek układa handlowo.

Składam kadzidło i „Boże, nie przeszkadzaj mi w życiu”. A katolicyzm to troska o kogoś drugiego, o człowieka i Boga. Troska jest skutkiem miłości. Katolicyzm więc to miłość. Miłość człowieka i Boga. Wszędzie, na ziemi i w niebie. Miłować, troszczyć się o kogoś drugiego serdecznie i prawdziwie to znaczy żyć po katolicku, czyli żyć z Chrystusem, przebywać z Nim w Bogu, samej Miłości. Sytuacja więc, w której Bóg jest autentycznym problemem życia, na serio, codziennie pierwszą sprawą. W jej świetle widzę wszystkie inne sprawy i tym bardziej dbam o nie, żeby uzyskały rangę spraw Bożych, skoro Bóg się nimi interesuje.

Taka postawa pociąga za sobą przestawienie porządku spraw. Wszystkie inne są ważne, załatwiane z ogromną troską, ale jako drugie, nie najważniejsze. Najważniejszy jest Pan Bóg. To przestawienie nie jest łatwe. Czasem wymaga porzucenia różnych umiłowañ, odejścia, prawie umierania. A z drugiej strony jest umiejętnością wyboru tego, co lepsze. Taki wybór przynosi cierpienie. A cierpieć to znaczy umierać, ponieważ to znaczy odchodzić od umiłowanej sprawy do lepszej, którą potem pewnie też umiłowuję. Łańcuch więc prawie męczeński. I jakże bardzo zwykły. Umieć odchodzić. Tym samym umieć przeżyć wewnętrzne męczeństwo. Tym samym umierać z Chrystusem. Nawet, gdy płaczą kaprysy. Gdy tęsknoty wybiegają gdzie indziej. Odchodzić od nich ku lepszemu. Umierać więc dla Chrystusa i zmartwychwstawać z Nim dla Niego.

Człowiek wchodzi w nową sytuację, w dobro wybrane i znalezione dzięki porzuceniu dotychczasowych, gorszych spraw. Przejście w inny porządek, podjęcie pełniejszego życia. Jak gdyby człowiek na nowo się narodził. Przeszedł w nową, korzystniejszą sytuację, którą trzeba będzie porzucić może dziś jeszcze dla lepszej. Dla głębszego zrozumienia sprawy, dla nowego dobra, które wybiorę i za którym pójdę w nową sytuację znowu głębszego życia.

Życie głębsze to znaczy ukochanie Boga i wspólne przebywanie z Bogiem. Po czym poznać, że ukochałem Boga? I że ukochałem nade wszystko?

Zapytywałem ludzi w wielu krajach, ludzi młodych, których serca najżywiej płoną. Dwóch młodych Francuzów powiedziało mi, że kochać Boga to spełniać obowiązki. Tak odpowiadali zresztą wszyscy. Ale to przecież czynią także moi znajomi Arabowie z Jordanii. Chodzi jednak o coś więcej. Myślę, że mieliby tu dużo do powiedzenia narzeczeni. Właśnie tak. Trzeba tak wypełnić siebie Bogiem, jak narzeczoney wypełnia swe myśli i serce osobą umiłowaną. A wtedy powstaje sytuacja przecudna. Z myślą o umiłowanej osobie śpiewa się, odrabia studenckie zadania, klei opony w fabryce, jeździ rowerem. I szuka się okazji, aby opowiedzieć jej o sobie i dodać, że jest piękna. I to samo powinno się mówić Bogu. Jesteś, mój Boże, moją jedyną miłością. I to jest modlitwa.

Taka modlitwa jest łatwa, gdy pewność istnienia Boga jest już w człowieku niewzruszona. Gdy jej nie ma lub gdy nie przeżywam tak mocno przyjaźni, mogę jednak

gawędzić i gniewać się, i sprzeczać, i skarżyć, i wyjaśniać Bogu swoje trudności. To także jest modlitwa. Biec tak z każdą sprawą do Boga, by tę sprawę omówić, by pożartować i odpocząć przy Bogu nawet bez słów, patrząc, uśmiechając się. Po prostu żyć. I właśnie ze względu na Boga.

Życie religijne jest zwykłym, normalnym życiem każdego człowieka i tylko z tym dodatkiem, że Bóg ma we mnie pierwsze miejsce. Tak na serio. Że najważniejsze dla mnie, bym nie zasmucił oczu umiłowanych. Zupełnie jak w rodzinie, by nie martwić męża, czy żony. Wobec tego rezygnuję z trzeciego kieliszka. Rezygnuję ze spaceru, gdy ktoś koło mnie zmęczony. I wtedy właśnie dokonuje się wybór większego dobra, powstanie z warunków złych do lepszych, ze śmierci duchowej ku życiu, zmartwychwstaniu. Przez żal i miłość. Przez sakrament pokuty i sakrament Eucharystii.

To jeden aspekt. Praktyczny i moralny.

Jest aspekt drugi. Zmartwychwstanie nie w sensie poprawy życia, odzyskania łaski, wspólnego życia z Bogiem, lecz zmartwychwstanie ciała, zmartwychwstanie człowieka, który umarł.

Inaczej argumentuje teologia, inaczej sam rozum ludzki, który chce tłumaczyć świat własnym dorobkiem i w sposób naukowy. Są jednak różne nauki. A ta sprawa należy do filozofii.

Filozofia wie i dowodzi, że istnieje dusza połączona z ciałem. Po prostu wśród działań ludzkich są takie, których nie tłumaczy racja materialna. Musi więc je tłumaczyć racja duchowa.

Dusza jest i nie ginie. To bowiem, co jest duchowe, musi być zawsze, ponieważ śmierć jest rozpadem elementów materialnych. Dusza nie jest złożona z takich elementów, więc nie ginie. Prosty wniosek. A z ciałem ludzkim nie wiąże się tylko przypadkowo. Człowiek jest właśnie, jak każda rzecz, jakimś uporządkowaniem elementów. To nie jest chaos różnych cząstek chemicznych i związków. To jest sensowna, uporządkowana całość. I tylko ta oto ilość cząstek jest tak uporządkowana, że staje się ten oto człowiek, a nie drzewo czy kryształ. Dusza jest właśnie racją uporządkowania materii. Na zawsze ta sama, nie ginąca. I nie jest czymś z zewnątrz, obok ciała, lecz tak wiąże się z materią, że jest jej

wewnętrznym kształtem. Znika jakoś ciało i dusza, a jest człowiek, jedna całość, choć wciąż śmiertelne ciało i nieśmiertelna dusza. Lecz aby był człowiek, musi być połączenie najgłębsze duszy i ciała. Dusza bez ciała jest w sytuacji sztucznej i stąd czeka na połączenie po śmierci, na zmartwychwstanie ciała, na powrót człowieka.

Filozofia więc wie o zmartwychwstaniu. Lecz czy to rzeczywiście się staje? Czy ktoś zmartwychwstał?

Właśnie Apostoł Paweł pisze do współczesnych sobie ludzi, że żyją przecież jeszcze ci, którzy widzieli śmierć Chrystusa i znak śmierci: wypływającą z przebitego serca krew i wodę, krew więc już w rozkładzie. I widzieli potem Chrystusa po trzech dniach. Przyszedł i jadł, pokazywał rany, uczył. Świadczą o tym ludzie tak poważni, że nawet współczesnym Żydom nie przychodził do głowy sprzeciw. Tak prawdomówni i realni.

Wierzmy, że Chrystus zmartwychwstał, ale pytamy, czy to jest możliwe.

Bergson twierdził, że ufa ludziom współczesnym, którzy mają bezpośredni kontakt z Bogiem, ufa mistykom. G. Green oświadczył, że dla niego wystarczającym argumentem za katolicyzmem jest ojciec Pio, kapucyn włoski z San Giovanni Rotondo, noszący na rękach i nogach stygmaty. Gdy się zobaczy ojca Pio, odzyskuje się wiarę. Apostołowie i uczniowie widzieli człowieka, który zmartwychwstał, Chrystusa.

No cóż. Nie ma rady. Właśnie zmartwychwstaniemy. Jako filozof wiem to na zasadzie rozumowania. Jako katolik wierzę apostołom i raduję się perspektywą przecież cudowną. Człowiek z Bogiem. Z kimś najinteligentniejszym rozmowa przez wieczność. I przyjaźń.

Ciało będzie uwielbione, czyli w etapie możliwej doskonałości. Cały człowiek będzie szczęśliwy, ponieważ będzie z Bogiem. Szczęście wieczne polega bowiem na przebywaniu z Bogiem, czyli z Pełnią wszystkich dóbr. I na wzajemnej miłości. Szczęście zaplanowane przez Boga. Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ile w tym kontakcie z Bogiem czeka nas spraw radosnych.

## BYĆ SOBĄ WOBEC BOGA

Wielu ludzi przypuszcza, że na przykład cnota ubóstwa jest cnotą właściwą tylko zakonnikom, i to zakonnikom o bardzo surowej regule. Tymczasem po refleksji okazuje się, że w ogóle jedynie sensowną postawą wewnętrzną każdego wierzącego człowieka może być tylko postawa ubóstwa. Zaraz to wykażę.

Człowiek jest stworzeniem, Bóg jest stwórcą. Człowiek jako stworzenie jest Bożą własnością. Bóg poza tym jest stwórcą wszystkiego. Bóg więc jest właścicielem wszystkiego. I stąd godna człowieka postawa, jedynie właśnie sensowna, polega na tym, by ten fakt uznać. Uznać, że świat nie jest mój. A więc z mojej strony wobec Boga jest taktowne tylko takie zachowanie, które polega na tym, by niczego nie zabierać sobie bez zgody Bożej. Zgodzić się, że jestem nie na swoim świecie, w nie swoim bycie, że nie mam swego serca, swych myśli, że wszystko jest mi dane. Zgodzić się, to uznać siebie, przyznać się do siebie jako do stworzenia zależnego całkowicie od rąk Bożych. Nie kręcić, nie łudzić się, lecz być sobą wobec Boga: być stworzeniem. A to jest pokora. Właściwie coś bardzo łatwego i przeogromnie trudnego. Uznać się za to, czym się jest: za stworzenie Boga.

Taka świadomość, że nic nie jest moje, że wszystko jest Boże, jest nie do wytrzymania w warunkach zatargu z Właścicielem. Jest naturalna w warunkach przyjaźni. Siedzę w domu swego przyjaciela całe godziny i lata, bez najmniejszego skrupułu razem z nim korzystam ze wspólnych nam rzeczy. A gdy pojawi się zatarg? Gdy pojawi się zawsze zaskakująca kompleksami pycha? Zbuntowani aniołowie nie chcieli zgodzić się na to, że byli sobą, a więc stworzeniami. Gdy człowiek zabiera sobie cokolwiek z siebie lub ze świata, staje się też zbuntowany. Pojawia się grzech. I człowiekowi jest źle w domu Przyjaciela.

Ponieważ człowiek jest ogromnie skłonny do zrywania przyjaźni z Bogiem - Właścicielem świata, bardzo musi czuwać nad tym, by nie traktować świata jako swojej własności. Musi wciąż świat oddawać Bogu. A to oddawanie jest tak zwanym zdobywaniem cnoty, i to cnoty ubóstwa, czyli nie zabieraniem sobie niczego jako swego, a



tylko jako rzeczy danej przez Boga człowiekowi na to, by człowiek się o nią troszczył i nią zarządzał.

Wynika więc z tego, że najwłaściwszą postawą wewnętrzną człowieka, jedynie sensowną i prawdziwie wyrażającą sytuację, jest postawa ubóstwa, czyli uznanie, że wszystko jest Boże. A ja tylko zarządzam. I jestem kontrolowany przez Przyjaciela - Właściciela. Zarządzam dobrami Przyjaciela. A więc podwójny powód do staranności i troski.

Staje się więc zrozumiałe, że postawa ubóstwa jest odkryciem prawdy o sobie. Godząc się na nią automatycznie wchodzę w sytuację modlitwy. Jak to się dzieje?

Zarządzam, a więc oddaję dochody. Tym samym więc stwierdzam, że teren zarządzany nie jest moją własnością. Zupełnie naturalne jest oddawanie wszystkiego Bogu, a przez to wyrażenie prawdy, że właścicielem jest Bóg. To oddawanie jest modlitwą. Jest mówieniem wciąż Bogu o sprawach, które napływają do ludzkiej duszy, i oddawaniem ich. W tym mieści się jednocześnie uznanie i wybór Boga. To oddawanie jest rozmową z Właścicielem — Stwórcą i Przyjacielem. Jest także wspólnym zajmowaniem się tymi samymi sprawami i wzajemnym ich rozwiązywaniem. Modlitwa — czyli być razem z Bogiem przy wszystkich sprawach.

Czymś ogromnie naturalnym jest więc stan modlitwy. Wypływa ze stanu ubóstwa. Stan ubóstwa jest stwierdzeniem i uznaniem, że wszystko jest Boże. Stan modlitwy jest oddawaniem Bogu dochodu z terenów zarządzanych. Tym dochodem jest wzrastająca w człowieku miłość.

A nie zatrzymać niczego dla siebie i przy tym ukochać Właściciela, i ze względu na Niego ukochać wszystkie rzeczy, które mi powierzył, ukochać nie biorąc ich sobie, to właśnie jest czystość i jednocześnie miłość. Gdy uznaję taki stan rzeczy, że wszystko jest Boże, i gdy wszystko oddaję Bogu, wtedy jest czystość, a gdy wybieram tylko Boga, gdy chodzi mi o samego Boga, wtedy jest miłość. Czystość i miłość, to dwie strony tej samej sprawy: wyboru Boga.

Zbieram rzucone tu myśli. Poczucie ubóstwa jest pierwszym, podstawowym stanem intelektu i woli człowieka, stanem wyrażającym ludzką rozumność i godność. Jestem

stworzeniem, nie stwórcą i nie właścicielem świata. Uznanie tego, uznanie ubóstwa i realizowanie go wprowadza człowieka w stan modlitwy, znowu jedynie sensowny i konsekwentny wobec pierwszych dostrzeżeń. Konsekwencja prowadzi tu do oddania wszystkiego Bogu. A człowiek tym samym nabywa sprawności modlitwy. Oddawanie i niezabieranie sobie niczego z rzeczy stworzonych jest czystością. Stan czystości jest możliwy wtedy, gdy wybiorę tylko Boga. A wybór jest zawsze miłością. W miłości czystej Bóg jest jedynym przedmiotem, którego człowiek pragnie nie ze względu na siebie, lecz ze względu na Niego samego.

Wszystko to jest bardzo jasne w porządku poznania. Ale wykonanie tego nie przychodzi łatwo. Wiemy przecież, że cnota ubóstwa i łatwość modlitwy, i cnota czystości, i miłowanie najbardziej Boga - nie są łatwe. Nie jest łatwe odchodzenie ku Bogu od świata rzeczy, które tak chętnie zabieramy sobie. Mamy w sobie dziwną łatwość kłamania i kradzieży. Zabieranie bowiem sobie tego świata i siebie jest nawet kradzieżą, wypływającą z kłamstwa, które polega w praktyce na odrzucaniu prawdy, że Bóg jest miłującym człowieka Właścicielem świata. Po prostu nie jest łatwo uzyskać cnotę.

Czasem może pojawić się w człowieku chwila tak mocnej miłości, takiego zespolenia tęsknot, że Bóg natychmiast czyni mieszkanie w duszy. Częściej jednak Bóg zostawia człowiekowi znużającą pracę przeprowadzania sporów o przedmiot miłości. I człowiek z wielkim trudem walczy w swej duszy o Boga. Składa powoli na patenie wszystko, nawet siebie. Oddaje siebie Właścicielowi i Stwórcy. Człowiek walczy wtedy o to, by pozostać sobą. Walczy więc o swą godność. Jednocześnie kształtuje miłość i nawet nie dostrzega, że urasta w nim doskonałość, którą zamierzył dla niego Ojciec, i Syn, i Duch Święty. Dokonuje się bowiem wybór Boga. I ustala się przez to stan miłości. A tylko ta sytuacja jest normalna. Tylko wtedy człowiek jest pełen pokoju i nie męczy się tym, że mieszka w nie swoim domu. Wszystko bowiem, co jest własnością Osoby kochanej, jest i jego własnością.

I właściwie nie można uciec od miłości Boga, jeżeli chce się spokojnie i normalnie, i godnie przeżyć życie. Na miarę siebie. Siebie jako stworzenia.

## MICHAŁ ARCHANIÓŁ WYBRAŁ BOGA

Każdy anioł w chwili zaistnienia natychmiast uświadamia sobie, kim jest. Natychmiast bowiem jest dorosły, dojrzały, w pełni ukształtowany. Jest duchem, którego natura wyraża się w myśleniu i wolnej woli. Anioł więc natychmiast poznaje i chce. Po prostu bytuje w ten sposób, że umysłowo poznaje i pragnie. A czyni to w sposób doskonały i bezbłędny.

Kiedys pewien anioł nie wyciągnął wniosków z tego, co poznał. Był, jak to widać teraz, niekonsekwentny. W związku z tym można przypuścić, że tak oto jakoś musiało przebiegać myślenie, które stało się początkiem buntu aniołów.

Bóg stworzył przepięknego anioła. Anioł natychmiast poznał swą doskonałość. I zachwyił się sobą. Zachwyt całkiem słuszny. Anioł był doskonały. Poznał też natychmiast Boga, swego stwórcę. I wiedział w sposób bezbłędny, że jest stworzeniem, że nie sobie zawdzięcza istnienie. Ale anioł nie uznał faktów, nie uznał planów Bożych i Bożej mądrości. Nie przeniósł więc swego zachwytu na Boga. Został myśleniem przy sobie. Pomiął Boga. Ukochał siebie. Jedynie siebie. I znalazł się w sytuacji ogromnie prostej, mianowicie poza Bogiem. Całą swą naturą nastawił się na siebie. Został przy sobie. Nie jest więc przy Bogu. Jest przy sobie. Nie chciał być przy Bogu i zrezygnował z życia nadprzyrodzonego.

Tę sytuację i tę postawę doskonale określa zdanie: „Non serviam”. Nie będę służył Bogu.

Bóg stworzył też innego anioła. Ten anioł także poznał siebie. Zobaczył swój doskonały intelekt, swą doskonałą wolność. I zobaczył Boga. Stwierdził, że Bóg jest doskonalszy od niego, że jest stwórcą, a on stworzeniem, które swój byt zawdzięcza Bogu. Patrzył na fakty. Poznał je i zaakceptował. Znalazł się więc natychmiast przy Bogu swymi myślami i wolą, której aktem uznał swą sytuację: Bóg jest stwórcą, a ja stworzeniem; jestem stworzeniem doskonałym, więc o ile doskonalszy musi być Bóg. Anioł zachwyił się Bogiem. Któż może być równy Bogu? Któż jest jak Bóg? Bóg jest pierwszy wśród wszystkich bytów. Stworzył je dla ich dobra. Aby mogły być przy Bogu. Być przy Bogu,

czyli uznać Boga, wybrać Boga. A wybrać Boga to przecież znaczy miłować. Miłować Miłość. Miłować Boga, który kocha. Znakomitego Boga. Czy jest coś wspanialszego nad Boga? Któż jak Bóg!

Tę sytuację i tę postawę doskonale wyraża okrzyk: „Któż jak Bóg!” Ten okrzyk „Mi-Cha-El!” stał się imieniem Michała Archanioła, który całą swą naturą, całym swym poznaniem i wolą stanął przy Bogu. Odszedł od siebie. Jest przy Bogu.

Jakże konsekwentne są pierwsze myśli Michała Archanioła. Na tle buntu aniołów jakże przekonującą jest jego wierność prawdzie. Dzięki tej wierności faktom wybrał Boga. Nie pozostał przy pierwszym wrażeniu swej doskonałości. Szeroko otwartymi oczami zobaczył całość swej sytuacji. Zobaczył najuczciwiej, że jest stworzeniem. I przyjął tę prawdę. Wyciągnął z niej wnioski w ten sposób, że pobiegł do Stwórcy. Podjął proponowaną miłość.

Zachwycam się logiką Michała Archanioła, jego konsekwencją i zgodą na przyjęcie prawdy o sobie. Radosnej prawdy stworzenia, które akceptuje dzieło Stwórcy, a więc wybiera zdanie Boga, czyli kocha. Tę miłość przecież widać w okrzyku „Któż jak Bóg!” Któż jak mój Bóg, pełnia doskonałości, pełnia miłości, pełnia bytu!

Michał Archanioł wierny prawdzie i ogromnie stąd pokorny, a przez to wielki, ponieważ wyniesiony aż do Boga, przy którym znalazł się wybierając Boga, pierwszy spośród stworzeń wykonuje działanie, które jest sensem działania wszystkich istnień do końca świata: Bóg czy ja. Michał Archanioł, patrząc szeroko, bez uprzedzeń na siebie i Boga, w wyniku zobaczenia faktów i ich powiązań w świecie, wybiera Boga.

A biedni pierwsi rodzice w jakimś okresie swego życia zapragnęli wybrać własne zdanie, sprzeczne z nakazem Boga. Byli tak blisko Boga. Nie patrzyli jednak dostatecznie szeroko i wciąż na wszystkie fakty. Patrzyli na siebie. I nie przetrwali kuszenia. Wybrali siebie. Stanęli więc automatycznie poza Bogiem, ponieważ pozostali przy sobie, przy swej decyzji, wyrażającej inne zdanie niż Bóg. Wybrali siebie, a stąd i miłość poszła w tym samym kierunku. Stworzenie wybierając siebie postawiło się ponad Stwórcę. Pyszna i złudna przewaga nad Bogiem. Sytuacja zupełnie bez sensu. I tragiczna. Po prostu wywołuje łzy. Bóg stworzył człowieka. Człowiek pominął Boga. I znalazł się poza Bogiem.

Bóg stworzył też innego człowieka. Ten człowiek zostawił swoje miasto Ur i poszedł za głosem Bożym. Stał na zawsze przy Bogu. Nigdy nie wybrał własnego zdania. Zawsze wybierał zdanie Boga. Wybrał je nawet w sprawie swego syna Izaaka. Bo przecież któż jak Bóg. Jego Bóg.

A potem Bóg odwiedził Abrahama. „Ukazali mu się trzej mężowie”. Abraham patrzy na swoich Trzech Gości rozmiłowanym wzrokiem. Zaprasza. Boi się, że odejdą. Podaje najwspanialszy posiłek. Biega radosny. Stary Abraham pełen mądrości, pełen Boga, rozkochany w Bogu, jakże wzrusza swoim zachwytem. Odwiedził go umiłowany Bóg. Któż jak Bóg! I rozmowa jak między przyjaciółmi o sprawach najzwyczajniejszych, a jednocześnie tak bardzo ważnych. Bóg zapytuje o żonę Abrahama, Sarę. Mówi o bolesnej sprawie braku dziecka. Zapowiada, że Sara urodzi syna. I mówi o krzywdzie, wyrządzonej Bogu grzechami Sodomy i Gomory. Abraham usiłuje ratować ludzi tych miast. Dyskutuje z Bogiem, którego nade wszystko kocha.

Zachwyca u Abrahama ta gotowość wyboru Boga i szerokość spojrzenia ludzkiego. Z tego wynika wybór. Uznanie całości faktów, skutków i przyczyn. I w wyniku tego szukanie Boga, znalezienie Boga, przyjaźń i w imię tej przyjaźni prośba o miłosierdzie.

Jakub już walczy o Boga. Czupurny i odważny, podstępny i lękliwy, jakże ogromnie nam bliski. Pełen wad, ludzkich słabostek i pełen ogromnej tęsknoty za Bogiem. Podstępem zdobywa błogosławieństwo ojca. Staje się patriarchą rodu. Jakoś na mocy tego bardziej kontaktuje się z Bogiem. A przy tym znowu prawie podstępnie zdobywa majątek u teścia. Kryje się przed bratem, lęka się go, pragnie przekupić. I pragnie Boga tak ogromnie, że przemocą zatrzymuje Boga przy sobie w długiej nocnej dyskusji wewnętrznej. Zmaga się przecież z Bogiem nad rzeką Jabok. A potem jest już wierny.

Zachwyca u Jakuba ta pasja szukania Boga. Tęsknota za łaską. W takiej splątanej naturze, pełnej przeróżnych tęsknot.

Jeremiasz uciekał przed Bogiem, mimo że kochał. Bał się wobec innych spełniać wolę Bożą, Spełniał ją w męce. Izajasz był wciąż wierny i mocny. Gdy Bóg skarżył mu się, że nie ma kogo posłać do Żydów, odpowiedział natychmiast: „Otom ja, poślij mnie”.

Jan Chrzciciel całą swoją postawę, swoją wierność Bogu i wybór Boga wyraził w zdaniu kierowanym do Chrystusa: „On ma wzrastać, ja umniejszać się”. Zawsze On, nasz Bóg.

Wybór Boga trwa bez przerwy. Musi wybierać Boga człowiek. Poznaje całość świata i jak Michał Archanioł musi w tym świecie dostrzec Stwórcę. Dostrzeże, jeżeli patrzy na wszystkie fakty. I jeżeli uczciwie woli prawdę. Bezstronne poznanie nie pozwala mu zatrzymać się na sobie, każe mu pójść ku Bogu. Pominąć siebie i wybrać Boga. To jest zasadnicze działanie wszystkich stworzeń rozumnych, zasadniczy dramat osobisty i społeczny, sens dziejów, przełamanie egoizmu i tajemnica uświęcenia człowieka.

Gdy Maryja Panna odpowiedziała aniołowi, że życzenie Boga jest Jej życzeniem, wybór Boga zabłysnął całym swym bogactwem i stał się narzędziem złożenia Bogu przeogromnej chwały. Na ziemię przychodzi Chrystus. W rodzinie świętych. Przez Matkę pełną miłości Boga, pełną łaski i wierności Bogu.

Jakże są proste w tej perspektywie dzieje świata. I jakże jasny staje się rytm działania wszystkich bytów rozumnych: poznają siebie i Boga, kierują swą naturę ku Bogu lub ku sobie. Miłują wtedy Boga lub siebie. Boga, którego wybrał Michał Archanioł, którego kocha Abraham, którego daje ludziom Niepokalana Matka.

Przedwieczny Ojciec rodzi Syna. Trwa w Bogu najświętsza z tajemnic. Ojciec poznaje siebie. Ten akt poznania, zrodzony przez Ojca, jest także Bogiem, jest Synem Bożym. Ojciec raduje się poznaniem siebie, wyrażonym w Słowie, akceptuje Słowo, zgadza się, miłuje Syna. Syn jednocześnie z Ojcem poznając siebie, zrodzonego z Ojca, biegnie ku Ojcu miłością. Ta miłość w Bogu jest także Bogiem. Trzecią Osobą Trójcy. Od Ojca i Syna pochodzi Duch Święty, który jest Miłością Ojca do Syna i Syna do Ojca.

Poznają Boga, kierują ku Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu całą swą naturę. Miłują Boga. Powtarzam czyn Michała Archanioła.

Budzi zachwyt to niezmiennie, właściwe naturze ludzkiej, do skończenia świata aktualne działanie: wybór Boga.

Zachwycam się możliwością wyboru Boga. Tym jakby rozumowaniem, które przeprowadził Michał Archanioł, które powtórzyli po nim inni aniołowie, Abraham, Jakub, Jan, Matka Syna Bożego. To rozumowanie powtarzają wciąż ludzie wybierający Boga

„Który jest” i „Który uwesela młodość”. W postawie Michała Archaniola odnajduję inne jeszcze imię Boga, mianowicie „Ten, którego kocham”.

## PROŚBA O ŚWIĘTYCH

Przejmują mnie wciąż w wielkim stopniu trzy następujące fakty:

1. Zdanie św. Teresy Wielkiej, że nie pozwoli, by ktoś bardziej niż ona kochał Boga, nie pozwoli się wyprzedzić.

2. W czasach św. Franciszka z Asyżu, jak podają Kwiatki, były na świecie tylko trzy osoby, które całą miłością kochały Boga.

3. Wśród niekatolików przeprowadzono kiedyś ankietę, w której chodziło o ocenę różnych religii. Okazało się, że największe uznanie zyskał katolicyzm. Na pytanie: „Dlaczego więc nie zostajecie katolikami?”, odpowiadano: „Nikt nam tego nie zaproponował”.

Przejmuje ta ambicja św. Teresy kochania Boga na wielką skalę, najbardziej. I tę ambicję właśnie chcę zaproponować Czytelnikom. Aby nie było na świecie tylko trzech ludzi, dla których Bóg jest pierwszą sprawą. Aby ich było wielu.

Bóg - jak wiemy - jest właścicielem świata. Człowiek tylko zarządza otrzymanymi od Boga darami. I płaci z nich daninę chwały. I serce, i dusza, i ciało, i myśli, i uczucia, wszystko jest Boże. A człowiek zarządza sobą na zasadzie ogromnie miłej umowy między przyjaciółmi. Bóg jest w takiej komitywie z człowiekiem, że przychodzi i czyni mieszkanie. Wciąż odwiedza człowieka, wciąż jest u człowieka. Są razem i nie mogą bez siebie pozostać ani chwili. I właśnie jest tak, że Bóg umieścił człowieka w swoim domu. Wszystko mu dał. Dał nawet miłość i chodzi tylko o to, by nie wygasła, by rozwijała się i wiązała człowieka z Bogiem. A gdy miłość płonie, wtedy człowiek kocha. A gdy kocha Boga, staje się doskonały, jak Ojciec, który kocha Syna. Człowiek staje się święty. Uzyskuje więc wyjątkową klasę sprawności, czyli zalety na miarę heroizmu, to więc, o co

wołają wszyscy wychowawcy. Uzyskuje też tę kwalifikację, która nazywa się „być przyjacielem” i rozmówcą najwybitniejszej Osoby, samego Boga.

Wszystko to daje się realizować dzięki łasce chrztu. A tej łaski udziela Chrystus. W porządku nawet zwykłej uprzejmości wypada składać Chrystusowi ciągle podziękowania za dar chrztu, którego udzielił. Możemy dać tylko miłość. To jest upominek proporcjonalny i bardzo sensowny. Dzięki bowiem miłości Bóg staje się Osobą kochaną, a człowiek staje się święty.

Pozostanie tajemnicą aż do dnia ostatecznego to, ile Bóg otrzymał w darze miłości. Ilu więc ukochało Go świętych. Świętość bowiem, a więc ukochanie Boga najbardziej, nie jest sprawą statystyki. Jest cichą, ciężką pracą nad takim uporządkowaniem siebie, by człowiek miał kształt Chrystusa, czyli aby miłował Ojca, a Ojciec by mógł stwierdzić o człowieku, podobnym do Chrystusa: „Ten jest syn mój miły, w którym sobie upodobałem”.

Prośba o świętych, prośba o to, by ludzie stawali się święci, jest więc prośbą o wymiar godny człowieka, o maksimum, które człowiek może osiągnąć. I powtarzajmy wciąż, że praktycznie jest to normalne, zwykłe życie ludzkie plus miłość Boga. A raczej miłość Boga jako pierwsza sprawa w zwykłym, normalnym życiu ludzkim. Miłość, która jest rozumnym spełnianiem życiowych zadań. A zadaniem człowieka jest takie właśnie gospodarowanie światem i sobą, aby Bóg otrzymał jak najwięcej chwały. Tą chwałą Bożą przecież jest miłość, którą wymienia Bóg z człowiekiem.

Lecz co to znaczy kochać Boga? I kiedy człowiek kocha Boga? W jaki sposób osiągnąć umiejętność kochania Boga? To są pytania dalsze. Teraz chodzi tylko o to, by padła prośba o świętych, prośba więc o ukochanie Boga. Tylko bowiem Bóg przede wszystkim godny jest miłości.

Może ktoś dosłyszycy prośbę i nie da się wyprzedzić św. Teresie Wielkiej. Może zmartwi się uwagą Franciszka z Asyżu, że w jego czasach Bóg miał na ziemi tylko trzy prawdziwie kochające Go osoby. Przykro słuchać, gdy ktoś skarży się, że nie jest kochany. A już całkowicie i do głębi przejąc musi tej samej treści skarga Boga.



## II. NIEUSTANNA MODLITWA

### MODLITWA ŚRODKIEM ROZWOJU MIŁOŚCI

Chrystus obecny w Eucharystii bez przerwy adoruje Ojca. Nieustannie kieruje do Ojca całą swą miłością. Chrystus modli się.

Życie wewnętrzne Chrystusa polega na miłości do Ojca, stałej, wiernej, wciąż Bogu deklarowanej w nieustannym zjednoczeniu. To życie jest przez to samo ciągłą modlitwą.

Chrystus jest wzorem naszego życia, a raczej miarą i dosłownie drogą. Musimy bowiem powtórzyć w sobie to wszystko, co czyni Chrystus, i wewnętrznie stać się Chrystusem. Tylko wtedy przecież Ojciec powie o każdym z nas: „ten jest syn mój miły”. Wynika więc, że naśladowując Chrystusa, idąc Jego drogą, musimy realizować w sobie zjednoczenie z Bogiem przez nieustanną miłość, która wiążąc nas z Bogiem wywołuje nieustanną modlitwę, nieustannie tym samym przebywanie przed Bogiem, spowodowane wzajemną miłością Boga i człowieka. Miłość wywołuje modlitwę, modlitwa pogłębia miłość. A miłość jest trwaniem przy Bogu i w Bogu.

Bernard z Clairvaux w połączeniu natury Boskiej i natury ludzkiej w Chryście widział obraz naszego podporządkowania się Bogu. W Chryście tak dalece natura ludzka stanowiła jedną osobę z naturą Boską, że zniknęły zupełnie cele ludzkie i jakaś odrębność w Chryście spraw ludzkich. Chrystus, prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek, był jedną

Osobą Boską i wszystko, co czynił, było działaniem Osoby Boskiej. A każdy z nas ma tak dalece zrezygnować z siebie, ze swoich celów i pragnień, że jako swoje będzie realizował pragnienia Boże.

I to jest możliwe dla tych, którzy kochają. Jest możliwe zapomnienie o sobie, porzucenie siebie, spełnianie tego wszystkiego, czego pragnie ukochana osoba. Jej sprawy stają się dla mnie pierwsze. Sprawy mojego Boga.

To ukochanie Boga rośnie w człowieku, pogłębia się i rozszerza proporcjonalnie, jak już wiemy, do żalu i modlitwy.

Żal, stały ból duszy człowieka, że Bóg nie był zawsze przez nas kochany, prowadzi przez umartwienie do wewnętrznej samotności. Ta samotność nie polega na odizolowaniu się od wszystkiego, ponieważ przebywamy na tym świecie; polega raczej na ascetycznym i wewnętrznym porzuceniu wszystkiego przez fakt wyboru tylko Boga jako przedmiotu miłości. Samotność więc polega na wewnętrznym przebywaniu człowieka całą miłością przy Bogu. A ponieważ miłość jest jedna, człowiek kochając Boga, kocha tak samo mocno, jak Boga, wszystko to, co Bóg kocha. Po prostu ukochanie Boga podnosi poziom miłości ludzkiej, obejmującej na życzenie Boże innych ludzi i cały świat. Jest to miłość, która nie przyporządkowuje niczego sobie, niczego sobie nie zabiera, lecz wszystko kieruje do Boga. Oddaje Bogu.

Takiej samotności, tak czynnej i wszechobejmującej, nie uzyskuje się łatwo. Dochodzi do niej człowiek przez bardzo ciężki okres, który Charles de Foucauld nazywa pustynią.

„Trzeba przejść przez pustynię i tam pobyć, ażeby otrzymać łaskę Boga: to tam ogołaca się siebie i wyrzuca się z siebie wszystko, co nie jest Bogiem — aby uczynić miejsce Bogu samemu”. „W tej samotności, w tym życiu samotnym z samym Bogiem, w tym skupieniu głębokim duszy, która zapomina o wszystkim, co stworzone, by żyć sama w jedności z Bogiem, Bóg daje się całkowicie temu, kto się oddał tak całkowicie Jemu. Oddajcie się całkowicie Jemu samemu, a On odda się całkowicie wam. Nie obawiajcie się być w tym niewiernymi wobec stworzeń. Przeciwnie, to jest dla was jedyny sposób, by im i służyć skutecznie” (list z r. 1898).

Człowiek właściwie wyczuwa, kiedy na serio jest wewnętrznie uczciwy, kiedy całkowicie i szczerze czegoś chce. Gdy całą duszą pragnie Boga, Bóg przychodzi, jest w duszy ludzkiej. Nawet gdy są wtedy pokusy przeciw czystości i cierpliwości, gdy człowiek nuży się i męczy liturgią, myśleniem o Bogu. I raczej właśnie wtedy Bóg jest w duszy człowieka. Jest na mocy tej prawdziwej, wewnętrznej tęsknoty człowieka do Boga, tego stałego w człowieku pragnienia, aby być przy Bogu, na mocy tej nieustannej, wewnętrznej modlitwy, która jest trwaniem przy Bogu całą miłością.

Zniechęcenie do form życia religijnego, niemożność myślenia o Bogu, lecz przy tym nieustanna i żywa tęsknota do Boga, ześrodkowanie w Bogu całej miłości, są znakiem, że Bóg z miłością patrzy na duszę ludzką, że ją pociąga do siebie, oczyszcza, że pragnie, aby jej modlitwa była trwaniem przy Bogu miłości ludzkiej, niepodzielnym trwaniem, wiecznym. To znak tym samym, że Bóg powołuje człowieka do modlitwy, która minęła zwykle poznawanie Boga w rozmyślaniach, która także minęła okres wzruszeń uczuciowych, pociech, słodyczy, radości modlitwy, zadowolenia z niej i poszukiwania modlitwy. Bóg po prostu uwalnia człowieka od tego stanu, w którym człowiek bierze z modlitwy jakieś dla siebie korzyści emocjonalne i poznawcze.

Bóg teraz i jedynie Bóg daje się miłującej Go duszy, pragnącej Boga całą swą istotą i wyłącznie Boga. Boga nie dla siebie, nie dla swej radości, lecz Boga dla Niego samego. Samego Boga.

Dusza ludzka, gdy osiągnie takie przywiązanie do Boga, udzielone jej zresztą przez Boga, cierpi. Cierpiała, gdy przechodziła okres pustyni, gdy idąc za zaproszeniem Bożym pragnęła tylko Boga porzucając tym samym wszystko inne. Cierpiała, ponieważ niełatwo jest odchodzić od różnych swoich umiłowañ, od własnego projektu życia. To przyjęcie Bożego projektu naszego życia sprawia mękę Ogrójca. Człowiek zgadza się na projekt Boży, lecz cierpi. A gdy znajdzie Boga, gdy wybierze Boga, także cierpi. Cierpi z tęsknoty.

Męka tęsknoty jest ogromna. Ale jest jakąś miarą ludzkiej miłości do Boga. W psalmie 41 Bóg mówi o tym, że człowiek ma pragnąć Boga tak, jak ktoś całkowicie głodny pragnie pokarmu, jak umierający z pragnienia pragnie wody. Tak bowiem „jak jeleń dąży

do źródeł wód, tak dusza moja do Pana”. Tak jak jeleń pragnie wody, tak ja mam pragnąć Boga. Całą swą tęsknotą, całym wysiłkiem, całą duszą.

Bóg więc upodabiając człowieka do Chrystusa daje człowiekowi najpierw łaskę modlitwy. Modlitwa przywołuje Boga. Przychodzący Bóg oczyszcza człowieka dając mu poznanie siebie, czyli pokorę, i dając mu żal, czyli zdolność pogłębiania miłości. Pogłębiona miłość jest trwaniem przy Bogu przez myślenie o Bogu i dążenie do Boga. To w sumie daje człowiekowi radość. Człowiek w tej atmosferze przywiązuje się do Boga, umacnia w sprawnym wybieraniu dobra, nabywa więc cnoty. Wtedy Bóg zabiera człowiekowi radość jako okresową zachętę do działania religijnego. Człowiek traci zadowolenie z modlitwy, praktyk religijnych, przeżywa pokusy, nie może myśleć o Bogu. Ale wciąż tęskni do Boga. I jak jeleń spragniony do wody, tak człowiek biegnie całą swą duszą do miłości Bożej. Przychodzi wtedy pokój. Człowiek żyje wiarą i jest obecny swą myślą przy Bogu, któremu całkowicie ufa. I człowiek jest w Bogu całą miłością. Bóg jest jednocześnie w człowieku. Jest cały. Jest w duszy ludzkiej Ojciec i Syn, i Duch Święty. Jest w duszy ludzkiej Trójca Święta, umiłowana Trójca, „Sponsa mea Trinitas”.

\*

Zanim jednak człowiek dojdzie do takiego zaprzyjaźnienia z Bogiem, najpierw kocha wiele rzeczy. Kocha je jako jedyne sprawy danej chwili lub życia. Kocha w dzieciństwie spacer, łąki, bieganie, szkołę, rówieśników. Potem kocha radość kontaktów z przyjaciółmi, dowcip, któremu gotów jest wszystko poświęcić, taniec, muzykę, film, ludzi, studia, kolegów, narzeczoną, żonę, dzieci, rodziców, swój dom, pracę, życie, teatr, świat, ideologie, nastroje, wszystko. Ale przy tym kocha Boga. I modli się. Modlitwa jest tu jakimś nowicjatem sprawy powiązania człowieka z Bogiem. Nie jest nigdy ucieczką od ludzi ani od świata. Jest po prostu wśród różnych spraw ciągłym przebywaniem człowieka z Bogiem, z Osobą, którą się kocha. I chodzi o to, aby nastąpiła sytuacja, w której człowiek jest przez modlitwę wciąż przy Bogu i z tego stanu wychodzi do załatwienia każdej sprawy dnia, już zresztą jako sprawy Bożej. Wszystko bowiem jest Boże, nawet nasza wolność, dusza i ciało, nawet nasza miłość do Boga.

I kiedyś przychodzą trudne pytania, wątpliwości. Zgłodniały intelekt człowieka biegnie w kierunku wszystkich poszukiwań, zgłodniałe serce wybiega do wszystkich ludzi. Trwają dyskusje światopoglądowe, religijne. Są bunty. Są różne przegrane. Jest wiele radości i wiele smutku. A przy tym wszystkim jest modlitwa jako potrzeba omawiania wszystkich spraw z kimś całkowicie i absolutnie kompetentnym. Przeplatają się więc różne sprawy i ludzka modlitwa. Powoli człowiek nie chce tylko referować Bogu swojego życia, lecz chce razem wszędzie z Bogiem przebywać. Człowiek chce być z Bogiem przy wszystkich sprawach. Bóg i dusza. Wszędzie razem. Nawet na rozmowie w cztery oczy z koleżanką. Nawet w tańcach. Wspólne kłopoty. Wspólne już teraz dyskusje światopoglądowe. Wspólna walka o serce, o sposób udziału człowieka w życiu. Wspólne wątpliwości: czy Bóg istnieje. Rozmowy więc z Bogiem na temat, czy Bóg istnieje. Kłopoty przerażające. Intelekt ledwie wytrzymuje napór wątpliwości, a to dotyczy Osoby, którą się kocha. Wola chciałaby wybrać sobie inne dobra, a tu stoi przecież obok Ktoś, kogo kocham. Ciało chciałoby mieć swoje osobne radości, lecz czyż można iść ku nim, skoro tym samym odchodzi się od ukochanego Boga?

Potem człowiek przeżywa mękę obaw, że jego życie religijne przebiega tylko w wyobraźni. Jest to męka bardzo ciężka. Znowu pytania: kiedy Bóg jest realnie w człowieku? Czy może być w człowieku realnie? A może człowiek kształtuje swą duszę tylko wymyśloną przez siebie sytuacją? Człowiek uspokaja się dzięki przekonaniu, że sakramenty nieomylnie przynoszą łaskę, że miłość nieomylnie dosięga tego, co się kocha. Wraca spokój, zrodzony z ufności. Pogłębia się modlitwa i miłość, oparta na wierze.

Męka grzechu jest jakże bardzo ciężka. Jest najcięższa. Grzech przychodzi, aby niszczyć miłość. Iluż trzeba rozmów z Bogiem i męczących podnoszeń, aby jako tako czuć się dobrze na ziemi. Grzech przychodzi, odchodzi Bóg. Przytłacza krzywda, wyrządzona ukochanej Osobie. Zdumiewają sprawy, ukryte w Trójcy Świętej, porusza do dna każdy skrawek tekstu liturgicznego i łamie znowu do korzeni smutny grzech. I znowu trzeba wstawać, i to natychmiast, ponieważ w tym czasie Bóg może potrzebować człowieka. Właśnie teraz, gdy mnie nie ma, może oczekiwać mnie ukochany Bóg.

\*

Jakże w tej trudnej sytuacji jest ważne, aby kochać Boga, zanim złączą się wszystkie trudy życia. Są one ogromne. I nie trzeba ich tu specjalnie wyliczać. Życie jest takie, jakie jest. Wszyscy ludzie doświadczają go jednakowo. Mają bowiem te same ciała, warunki społeczne i ten sam brak wiedzy. A życie człowieka kochającego jest także zupełnie zwykłym życiem każdego człowieka. I tylko ta poprawka, że się kocha. Kocha się Boga. Ta miłość nadaje sens wszystkiemu. I daje wygraną. I swoiste, specjalne szczęście. Daje umiejętność wewnętrznego pokoju, daje umiejętność walki, wyboru spraw ważniejszych. Uczy więc pomijania rzeczy, które nie są Bogiem, i uczy wielkiego dla tych rzeczy szacunku. Uczy perspektywy, która odsłania świat z drugiej strony życia, świat oczekiwany, przyszłe spotkanie kochających się osób, Boga i człowieka. Ta perspektywa nie osłabia troski o inne sprawy, o świat. Owszem, tę troskę wzmacnia. Człowiek chce dzielić się szczęściem.

Chce dzielić się szczęściem przede wszystkim z Bogiem. Budzi więc w sobie akty wiary, nadziei i miłości. Im doskonalsze są te akty, tym doskonalsze jest przebywanie z Bogiem, wspólne życie człowieka i Boga, życie Boże w człowieku.

„Wewnętrzne życie Boga w Trójcy Jedynej przelewa się dzięki wcieleniu na święte człowieczeństwo Syna Bożego, dzięki odkupieniu (przez Kościół i jego liturgię) na dusze nasze, iżbyśmy byli zjednoczeni z Chrystusem, a przez Chrystusa z Bogiem w Trójcy Jedynym”. Drogę i uzasadnienie łaski w człowieku tak sformułował ks. A. Żychliński w swoim *Wtajemniczeniu w umiejętność świętych* (1933, s. 112).

Łaskę utraconą po chrzcie człowiek odzyskuje w sakramencie pokuty. Odpuszczają się jego grzechy i nie istnieją. Należy o tym pamiętać: grzechy po rozgrzeszeniu nie istnieją. Tylko trwa pamięć człowieka i świadomość, że Bóg nie był kochany. Ten fakt wywołuje ból i żal. Wywołuje też żal świadomość, jak u Anieli z Foligno, że nie kochamy Boga całkowicie, na serio, rzeczywiście. Że tak często tylko pozornie kochamy.

Gdybyśmy w pełni kochali Boga, uświęciłaby nas jedna Komunia święta. Tak sądzi także o. Marmion. Zaczerpnęlibyśmy w pełni Boga. A czerpiemy Go faktycznie tylko w takim stopniu, w jakim jesteśmy miłością. Miłość jest miarą i terenem zatrzymywania się w nas Boga. Bóg najczęściej zamieszkuje część duszy ludzkiej. Zamieszka w całym

człowieku, gdy cały człowiek będzie miłością, gdy cały będzie stanowił mieszkanie Trójcy Świętej. Trzeba więc duszy ludzkiej wielu Komunii świętych, długiego posilania się Ciałem Chrystusa, napełniania swych żył Krwią Bożą. I dopiero wtedy stanie się to, że życie nasze będzie przebywaniem człowieka z Chrystusem w Bogu.

A jeżeli tak jest, jeżeli nasze życie polega na przebywaniu z Chrystusem w Bogu, to najbardziej naturalnym dla człowieka stanem jest właśnie stan modlitwy. I inny stan jest zupełnie nie do przyjęcia. Jeżeli człowiek nie jest w stanie modlitwy, to znaczy nieustannego, wewnętrznego oddawania w sobie wszystkiego Bogu, jest automatycznie w służbie innych celów ostatecznych. Jeżeli bowiem człowiek nie oddaje Bogu wszystkiego wciąż i nieustannie, przynajmniej na chwilę zatrzymuje coś dla siebie. Służy tej zatrzymanej sobie rzeczy, wybiera ją, wyróżnia. W jakimś stopniu człowiek przekracza tu pierwsze przykazanie, a tym samym przykazanie miłości.

Powtórzmy więc za Mertonem, że modlitwa jest jedynym środkiem kształtowania sumienia. I jedynie modlitwa kształtuje w nas prawość.

Prawość to jest ta sprawa, o której zwykle się myśli w taki sposób: umieć bez pomyłek wybrać najprawdziwsze dobro. Tą umiejętnością jest właśnie prawość, czyli sąd wyrobiony modlitwą, ciągłym podnoszeniem w sobie wszystkiego do Boga, sąd bezbłędnie oceniający i warunkujący wybór rzeczywistego dobra. Po długim już omawianiu z Bogiem całego swego życia, swoich zaniedbań, opóźnień, pomyłek w umiłowaniach, upadków, pokus, myśli, ludzi, spraw świata, spraw nieba, człowiek wreszcie umie trafić w swoim wyborze na dobro.

Nie wolno jednak nigdy podczas modlitwy zajmować się sobą. Człowiek modląc się powinien myśleć tylko o Bogu i zwracać swą miłość tylko do Boga.

W tej sytuacji życie wewnętrzne rozpocznie się od pochwały stworzenia. Aby pochwalić, trzeba umieć eliminować dobra mniej wartościowe. Dzięki umiejętności wyboru człowiek trafia na pełnię dobra, na Boga, odkrywa Boga i wybiera Boga.

W tym działaniu jednocześnie zjawia się umartwienie jako skutek naszego odchodzenia od rzeczy mniej wartościowych do bardziej wartościowych, do najwartościowszych, do Boga. Umartwienie więc, powtórzmy raz jeszcze, jest

konsekwencją umiejętności wyboru dobra. A tę umiejętność zdobywa się w modlitwie jako sposobie stwierdzenia całą duszą, całym poznaniem i miłością, że Bóg jest dobrem najwyższym, o które przede wszystkim należy zabiegać.

## SKRUCHA Z MIŁOŚCI

Wszystko zależy od Ciebie, Boże. Cóż my możemy zrobić? Możemy tylko otworzyć Ci serce i duszę. Możemy czekać, aż przyjdiesz. Możemy też ufać. Bo przecież przyjmiesz ofiarowaną Ci miłość.

I mógłbyś tak świetnie objawić swe miłosierdzie i miłość, gdybyś nas podniósł z duchowej nędzy i przekształcił w ludzi, w których Bóg ma upodobanie.

„Ten jest syn mój miły, w którym sobie upodobałem”. „Doskonałymi bądźcie, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. „Kto mnie umiłuje, i Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy”.

Daj nam kochać Cię nade wszystko. I daj się przekonać, że jesteś naszą największą miłością. Chcemy osiągnąć maksimum, które możesz dać człowiekowi na to przecież, abyś był uwielbiony. Gdybyśmy takie maksimum miłości otrzymali, jakże dobrze ułożyłoby się życie: nie byłoby już wreszcie grzechu, męki oddalenia od Ciebie, Panie Boże. Mógłbyś pokazać, ile cudów może działać Twoja miłość nawet w najgorszej duszy. Ale niech się stanie, jak Ty chcesz. Nie odejdę od Ciebie, Boże.

Kiedy przybędziesz, Panie, mój Boże? Kiedy przybędziesz mnie uleczyć? Tak długo Cię nie ma i gdy przyjdiesz, możesz mnie nie zastać. Wpada bowiem nieprzyjaciel, wyniszcza ogrody, zasypuje źródła, zmienia w gruzy miasto Twoje, Jeruzalem. Staję się suchą i bezwodną ziemią. Szarpią mnie tęsknoty, zwierzęta pustki. Biegam po pustyni i pragnę się ukryć. Wlokę swoje kości, lecz piasek zasypuje oczy. I gdy przybędziesz, Panie, mogę Cię nie dostrzec, nie zobaczyć. I możesz mnie już nie zastać. Więc kiedy przybędziesz, Panie?



Dlaczego jednak myślę o sobie i chcę ratować siebie? Dlaczego moją jedyną troską nie jest Bóg mój? Dlaczego nie płaczę, że Bóg nie odbiera chwały, gdy zmarnowałem w swej duszy uprawne pole Boże?

Gdybym umiał płakać, gdy Bóg płacze...

A może, gdy ja płaczę, to właśnie Ty wtedy płaczesz we mnie nad moim losem? Może to Twój jęk jest w moim płaczu i Twoja prośba o rosę niebios dla ziemi bezwodnej, mej spustoszonej duszy? Panie mój, mój Boże.

Przypominam sobie: „grzechów jego pamiętał nie będę”, „nad śnieg wybieleje”, „ponieważ zwracał się do mnie, wysłucham go i uwielbię”.

Żal mi, że jednak były grzechy. Poczucie czegoś na zawsze straconego.

Lecz czy takie poczucie nie jest raczej miłością własną, pamiętaniem o sobie, podczas gdy powinienem pamiętać tylko o Tobie, Boże? Co mnie obchodzą grzechy teraz, gdy był żal. Nad śnieg wybieleją. Lecz i nie o to chodzi.

Bóg spełnia miłosierdzie, wybacza, podnosi, wprowadza, daje. Po prostu zostajesz z nami, Boże, i razem idziemy. Były grzechy, lecz już teraz po żalu i spowiedzi nie istnieją. Pozostaje tylko we mnie pamięć wyrządzonej Ci krzywdy: Bóg nie był kochany. Lecz będę mógł oglądać Cię, Boże, jak owi błogosławieni czystego serca. Grzechów nie ma. Jest tylko żal, głęboki, aż do dna mego bytu żal.

Żal to nie jest sprawa targu i otrzymania nieba. Jesteśmy razem i dlatego otrzymuję Ciebie, mój Boże, i niebo. Nawet gdy już były grzechy. One nad śnieg wybieleją i Bóg ich nie pamięta. Bóg ich nie pamięta. Jest więc we mnie sytuacja czystego serca i ukochania. I Ojciec miłuje nas i czyni mieszkanie.

Lecz wciąż żal, że jednak zawiodłeś się na mnie, mój Boże. Grzeszyłem.

\*

Nigdy nie odszedłem od Ciebie, Boże. Grzechy moje chciały mnie od Ciebie oddalić, Tobie odebrać, lecz zawsze przecież jednak moja tęsknota była przy Tobie i przywracała Ci moją miłość. Moja miłość zawsze była przy Tobie. Grzechy tylko Ciebie przesłaniały. Owszem, chciały mnie zgubić. Ale nie odchodziłem, pozornie odchodziłem, ponieważ kocham Cię. I dlatego za grzechy żałuję. Ze względu na Ciebie płaczę. Że nie

byłeś zawsze przeze mnie wielbiony, że słabła modlitwa, że odchodziła od Ciebie moja myśl. Ponieważ jednak moja tęsknota była zawsze przy Tobie, jesteś przedmiotem mej miłości. Ty jesteś moją miłością.

Płaczę, że nie w pełni Cię kocham i że nie jesteś kochany przez wszystkich ludzi. Ludzie nie zawsze biegną do Ciebie, nie zawsze przyjmują w Komunii. Są obok Ciebie, lecz nie w Tobie. Nie tęsknią do Ciebie. Może dlatego, że i ja swoim złym życiem zmniejszam w świecie ilość miłości, którą powinienes, mój Boże, otrzymać? Z tego powodu jest Ciebie mniej wśród ludzi. I mniej łaski. Wybacz nam grzechy.

Właściwie o to jedno powinniśmy zabiegać, abyś był pierwszy w nas, Boże. I abyśmy umieli wypełnić się Tobą. A wszystko po to, abyś był miłością duszy ludzkiej.

I często nie jesteśmy jeszcze nawet u początku drogi. Nie możemy wdrapać się na ten próg, za którym jesteś i skąd już nie odchodzisz, Boże nasz, łzy nasze, tęsknoto nasza. Był grzech, mój Jezu!

Powinienes był zabrać mnie z tego życia, mój Boże, w momencie, gdy byłem najbliżej Ciebie, zanim zgrzeszyłem. Nie zabrałeś. I znoszę najstraszniejszą samotność, życie bez Ciebie, smutek człowieka, który utracił ukochaną osobę. Sam jestem, bez Ciebie, w tragicznym wyborze siebie. Bo przecież nie ma Cię w duszy ludzkiej, gdy jest w niej grzech.

Lecz właśnie żałuję. Grzech jest nonsensem i moją krzywdą. Nigdy nie jest radością. I jest krzywdą wyrządzoną Bogu.

Piszę słowa smutne, lecz treścią ich jest ufność. O jedno bowiem chodzi, o miłość Twoją, o Ciebie, mój Boże, mimo wszystko o Ciebie. O Ciebie!

I dlaczego nie ma w nas tego ogromnego płaczu, który jest płaczem samotnej tęsknoty i życia bez Ciebie? Samotny Chryste, Jezu beze mnie, uratuj nas. Przyjdź i pozostań! Stań się naszym kościołem, podporą, na której oprzemy się jak bluszcz i licho powójsz i wy dźwigniemy się w górę na wysokość Ciebie. Czy odejdziesz i pozwolisz, abyśmy upadli znowu? Czy pozwolisz, aby przegrała miłość, wiara, nadzieja?

Jezu, zmartwienie nasze, nasz cały świecie, poezjo nasza, utracony, zawsze ten sam, szukany, wszystko moje, nasza samotności. Mimo grzechów. Mimo niewierności. Mimo odchodzenia, nasz Boże. Wybacz, uratuj, zabierz.

Jesteśmy najzwyczajni ludzie, biedni, uwikłani w nastroje i kompleksy pokolenia, pełni tęsknot, szukający przyjaciół, życzliwości. Czytamy książki, pisma, chodzimy codziennie do pracy, żyjemy. I spoglądamy ku górze z dna naszej biedy.

Z dna naszej biedy wołamy do Ciebie, Panie. Pozwalamy swoim grzechom rozgabić siebie. Podnieś nas! Jeżeli będziesz patrzył na grzechy, czyż wytrzymamy Twój gniew? Lecz Ty wybaczysz.

Tak już długo nie umiemy natychmiast wstać, wszystkiego zostawić i pójść za Twoim głosem, gdy go słyszymy. Tyle spraw zmarnowaliśmy w swoim życiu, tyle zmarnowanej Twojej chwały. Idziemy przez życie z myślą o Tobie i wciąż uciekający od Ciebie, mój Boże, od męczeństwa wyboru Twojej drogi. Pozostała nam teraz jedna droga: Twoje miłosierdzie.

Widzę to i Ty to widzisz, mój Boże, że jedynym, najprawdziwszym smutkiem mojego życia są grzechy. Żałuję, że były, że wyrządziły Ci krzywdę. Krzywdę miłości.

Gdy czytamy smutną książkę, oglądamy tragiczny film, martwimy się znajomymi, wiem, że każdy nasz ból jest tym jednym bólem, milczącym żalem z powodu wyrządzonej grzechami krzywdy Tobie, mój Boże.

Jak myślisz, czy wszystko będzie jeszcze dobrze? Czy zdobędziemy Twą miłość tyle razy odrzucaną? Czy stanie się tak, że Twoje sprawy będą naszymi najważniejszymi sprawami? Czy uświęcisz nas w takim stopniu, że Bóg otrzyma maksimum możliwej od nas swej chwały, uwielbienia i miłości? Czy możesz to jeszcze zrobić? Przyjść i uczynić mieszkanie? Wypełnić sobą nasze tęsknoty, tak żeby już nie były nasze, lecz Twoje?

Gdybyś podniósł nas, mój Boże, z dna naszej biedy, gdybyś nas uratował i według swej obietnicy uświęcił, poszerzyłaby się chwała Twoja o cały teren naszych dusz. A my mielibyśmy Twoją miłość. Osiągnęlibyśmy swój cel: być z Bogiem naszej duszy. Który uwesela młodość. Który ocala. Miłosierdzie, ufność, miłość nasza.

Niech mi się zawałają moje sprawy, niech stracę wszystko, bylebym odzyskał Ciebie. Niech będą niepowodzenia, niech będzie samotność, lecz i Ty ze mną, Boże mój.

Co mam robić, abym nie szukał siebie nawet w modlitwie? Oddaję Ci całą tęsknotę mego życia. I pomóż, aby nie było sytuacji, w której przez Ciebie i niebo szukałbym człowieka. Wtedy przecież jest złudna religijność, nie chodzi bowiem o Ciebie.

Chcę szukać Ciebie. Pomóż, abym Cię wybrał, wszystko czynił dla Ciebie i potem od Ciebie szedł ku wszystkiemu. Abym zachował przykazania i trwał w Twej miłości, Panie, który nas umiłowałeś, który jesteś winnym krzewem, źródłem mojego życia w Tobie.

Rozpocznę od początku całe swe życie. Będę wrywał się najpierw z grzechów i z przywiązania do zła. Lecz jak to robić? Wypełnię więc wyobraźnię Twymi sprawami, myślenie Tobą i Tobą swoje pragnienia. Z pragnieniami najtrudniej, więc naucz mnie, Boże, pokutować, odrywać się od wszystkiego ku Tobie. Naucz też modlić się. I bądź we mnie. Gdy odchodzisz, wraca zło, wątpliwości, słabość. Zostań, Panie, i zechciej przekształcając mnie, realizować we mnie swe zamiary. Wypełnij łaską — swym życiem. Panie, przecież wiesz, że więcej będzie chwały Bożej, gdy mnie uratujesz. Uratuj i uświęć.

Najtrudniejsza jest walka z pragnieniami. Męczeństwo pragnień. Chcielibyśmy przynosić Ci, mój Boże, wyrwany z siebie cień pragnienia. I ogołocić się ze swoich pragnień, aby napełnić się Twoimi. Lecz jeszcze tych naszych jest tak wiele. Niektóre tkwią mocno. Nie możemy ich ruszyć. Wywołują smutek i grzech. Więc płaczemy. I cierpimy, ponieważ nie dajemy sobie rady z sobą.

Samotność jest także wtedy, gdy nie posiada się tego, co najbardziej ukochane. Nie mamy Ciebie, Panie. Jakże bardzo jesteśmy samotni. Ratuj nasze dusze.

Weź wszystko, Boże nasz. Usuń nas z naszej własnej duszy. I przyjdź. Twoje sprawy i Twoje pragnienia przyjdą z Tobą. Popłyną ku światu strugami naszych umiejętności. Bądź w nas, źródło naszego dobra i naszej miłości.

W codziennym życiu człowiek musi mieć kogoś bliskiego. Przychodzi do domu i gawędzi, dzieli się troskami, użala, umacnia. Dlaczego więc, mój Boże, nie jesteś wciąż z nami? Skoro według Twego pomysłu jesteśmy tylko latoroślami, a szczepem winnym Ty

jesteś, dlaczego Cię nie ma? Bez Ciebie kroku nie możemy uczynić. Dlaczego nie jesteś wciąż z nami, zawsze?

Wiem, że musi się w człowieku dokonać pewna suma ofiary, jakieś odejście od siebie. Wtedy dopiero na to wolne miejsce może przyjść Bóg. I Bóg walczy o to, aby był pierwszy w naszym życiu i w naszych tęsknotach. I my też walczymy, aby Bóg był naszą nade wszystko miłością.

Jakże jednak ta walka jest trudna dla Ciebie i dla nas, mój Boże.

Lecz jeśli zechcesz, możesz nas oczyścić. Panie, powiedz Twoje „Chcę, bądź oczyszczony”.

Całkowicie odejść od siebie to w sensie ascetycznym właściwie znaczy umrzeć. Lecz dopiero wtedy zacznie się życie, nasze w Twoim, życie nadprzyrodzone. Idziemy ku temu w ogromnym trudzie. Nie dałeś człowiekowi, mój Boże, drogi radosnego opuszczania zabawek, gdy wzywają do stołu.

Lecz jednak dla Ciebie hodujemy swą miłość.

Są dni suszy, dni wypełnione myśleniem i pragnieniami, nawet czynem przeciw Tobie. Są to jednak dni nie na serio. Powala nas słabość, zbyt mocne uczucie. Zawsze jednak wiemy, że odchodzimy od Ciebie wbrew ostatecznej decyzji.

Dlaczego, mój Boże, gdy wszedłeś w nasze życie, nie pociągnąłeś nas tak mocno, abyś Ty stał się jedynym naszym pragnieniem, jedyną naszą tęsknotą? I teraz musimy krok po kroku wspinać się na stromą górę miłości. A przecież moglibyśmy, gdybyś chciał, szybować w słońce. Wspinamy się jednak, spadamy na zboczach bardziej stromych. Ubezpieczyłeś nas ludźmi dobrymi, Twoją troską. Ale wciąż jesteśmy daleko od Ciebie.

Każdy krok ku Tobie to pokonanie siebie. W trudzie oddajemy Ci duszę, ciało, oczy, ręce, pragnienia. Oddajemy dobrowolnie, oddajemy siebie i swoje tęsknoty, swoje umiłowania, Tęsknoto nasza, Umiłowanie nasze. Tobie, Boże nasz.

\*

Dlaczego, mój Boże, wybór Ciebie jako naszej najgłębszej miłości dokonuje się najczęściej tak późno? Dlaczego wahamy się tak długo? Dlaczego nie przybiegamy od razu do Twego Serca? Zachęcałeś do tego dając nam zdolność rozpoznawania wartości, zsyłając

mękę pomyłek i tęsknot. Dlaczego jednak nie prowadziłeś szybciej do siebie, gdy wrywaliśmy się krok po kroku z przywiązań i swoich umiłowań i gdy wikłaliśmy się w nowe? Dlaczego jesteśmy tak bardzo słabi? Kiedy nie będziemy szukali w niczym siebie i niczego dla siebie?

Jakże mi szkoda tego i jakże żal, że były w mym życiu całe godziny bez Ciebie.

Dlaczego nie spuszczasz ognia na ołtarz, na którym złożyliśmy Ci siebie, i nie przyjmujesz ofiary? Czy jeszcze nie wszystko przynieśliśmy? Przemień nas, ukształtuj według siebie. Dlaczego wyglądamy wciąż ku Tobie, wciąż bez Ciebie? Dlaczego tylko tęsknimy? Dlaczego nie ma Cię, Boże, tu blisko, w naszej duszy? Jest tylko tęsknota, jest żal, jest ufność, że przyjmiesz nas, podniesiesz. Jest miłość, która czeka i wybiega. Przysłaniamy ręką oczy i wyglądamy Cię, Panie. Dlaczego wciąż nie ma Cię, Boże?

Dlaczego zamiast rozwijać miłość zastanawiamy się, czy oddać Ci serce? Teraz jednak będę się modlił, abyś miał dostęp do mnie całego i abyś mógł przekształcać nas w siebie, Jezu Chryste, jedyny Boże w Trójcy Osób.

\*

Wybrałem Cię, Boże, od początku, lecz jakże długo zatrzymywałem się po drodze. Jakże mi wstyd i szkoda. Zatrzymywałem się przy sobie. Daj mi teraz nie pamiętać o sobie, lecz Tobą napełniać się całkowicie i uczestniczyć w Twym krzyżu. Takie są przecież Twoje sprawy: Twój krzyż. Późno to zrozumiałem. Czy zechcesz jeszcze, mój Boże, całego mnie wziąć dla siebie? Czy zechcesz we mnie wszystko tak ukształtować, abym był już nie ja, lecz Ty, ja o Twoim życiu wewnętrznym?

Pełno we mnie ufności i obaw, niepokoju i ciszy, tęsknoty za Tobą i płaczu. Pełno żalu. Pełno myśli o Tobie.

„Ten, któremu więcej darował, bardziej go miłuje”, „komu mniej odpuszczają, mniej miłuje”. Jakże dużo mi wybaczasz, Boże, jakże bardzo więc mogę Cię miłować. Ukocham Cię nade wszystko. Na miejsce wszystkiego, co było we mnie, wprowadzę miłość, którą Ty jesteś, mój Jezu. Wszystko, co działo się we mnie, a nie było Tobą, wiesz przecież, mój Boże, było bólem. Byłeś najgłębszą tęsknotą. Grzech oddalał Cię, Panie, ale nie zabrał całkowicie. Szalały burze, targały wichry. Dlaczego nie zakotwicyłem się w

Tobie i ze swych tęsknot nie wyprowadziłem decyzji nieustannego trwania przy Tobie, Panie Boże, jedyny w Trójcy, mój Jezu, Panie, Panie?

Całą biedą naszego życia jest to, że nie oddajemy Ci, Boże, całej miłości zaraz wtedy, gdy wszystko w nas się zaczyna. Zostawiamy sobie kontrolę i udział w radości. A potem od tęsknoty za radością nie możemy odejść. I radujemy się dla siebie, i kochamy dla siebie.

Zawsze jednak idziemy ku takiej sytuacji, w której wszystko jest Twoje. I jeżeli bierzemy coś dla siebie, to ze słabości. I ze słabości grzeszymy. A potem każdy grzech jest przyczyną płaczu i smutkiem, że znowu musiałeś oddalić się, mój Boże. I szukamy Cię. I tęsknimy. Tęsknoty rozbiegają się w różne strony. Biegając do Ciebie przystają po drodze, opóźniają dojsie. I znowu zrywają się do drogi. Nasze życie jest ciągłym podnoszeniem się z grzechów.

Dajemy Ci, mój Boże, tę najgłębszą tęsknotę za Tobą. Za miłością w Tobie. To wyglądanie ku Tobie. Jesteśmy wciąż tylko czekaniem.

Gdy przyjdiesz, nauczymy się w Twojej miłości doskonałego żalu, który usunie przeszłość i przeszkody i wniesie nas w Twoją miłość. A gdy zabierzesz naszą wolę, wszystko w nas będzie Twoim działaniem. I wtedy nie uczynimy nic złego. Lecz wszystko na chwałę Twoją. I na wieczystą służbę. Nie będzie okresów myślenia o sobie i tych próżni bez Ciebie, gdy nie biegną ku Tobie myśli, tęsknoty, słowa.

Przyśpiesz, Panie, przybycie do naszych dusz. I pociągnij ku doskonałości takiej, jaką ma Ojciec Twój Niebieski, kres i miara naszych dążeń. Taką miarę wyznaczyłeś. Jak ją uzyskać? Czy modlitwa i porzucenie siebie doprowadzą do Ojca? Kochamy Cię. I jedynie kochamy. Uczyń, abyśmy w sobie byli już nie my, nie my, lecz Bóg nasz, nasze wszystko.

Ileż mamy do nadrobienia, Boże mój. Ale wiemy także, że wystarczy jeden akt doskonałej miłości, by uzyskać duszę czystą i godną Ciebie, Twojej miłości. To prawda, że nie mamy jeszcze cnót, tych wszystkich sprawności psychicznych, umysłowych w woli i intelekcie, które są przygotowaniem się takim, że Bóg może w nas działać. I wiemy, że nie

chodzi tylko o te sprawności. Chodzi przede wszystkim o ukochanie Cię, mój Boże. Z miłości wypłynie reszta.

Grzech to straszna samotność człowieka, którego opuścił ktoś najbardziej kochany.

A właściwie tylko Ciebie nade wszystko chcemy kochać, Boże, ukochany Boże, zachwycająca Trójco Boskich Osób. Nasz jest Bóg, Bóg Ojciec, ukochany Syn Boży i Bóg Duch Święty.

I grzech. Jakże nam z nim źle, Matko łaski, przyczyno radości.

Za mało kochamy. Przychodzą burze i wichry. W ciałach naszych kłębią się ognie i dymy. Fale zalewają biegnące ku Bogu serce. Bezradni płaczemy. Aż się ulituje nad nami Bóg. Wypatrujemy Cię, Panie Boże.

Powiedz Chrystusowi, Matko Syna Bożego, że będziemy tak stać przed progiem Jego oczu. Musi nas zauważyć i podjąć naszą miłość. Jest w nas łkanie, żal, obawa, smutek, słabość ogromna, lecz i tęsknota, tęsknota za Bogiem naszym.

W modlitwie będziemy trwali przed Twym obliczem, Boże. Z modlitwy będziemy wychodzili do naszych prac, wciąż jednak trwając przy Tobie. I będziesz musiał nas znosić, aż przyzwyczaisz się do nas i nie będziesz mógł być bez nas. Pokaż na przykładzie naszych dusz, że nawet taką jak my będę można wewnątrz zamienić w Chrystusa.

Po prostu chcemy żyć myśląc o Tobie. Uczymy się oddawać Ci wszystko, rozmawiać z Tobą. I żeby tylko nie pomylić drogi. Drogą właściwą jesteś Ty sam. Ty właściwie sam urządzasz ludzkie serca i przychodzisz do nich. Przyjdź, uczynić mieszkanie.

Gdybyśmy umieli pojąć, Boże, że nie chodzi o nas takich, jakich sobie wymarzyliśmy, i że nie nam najpierw winno chodzić o nas, lecz Tobie, że tacy winniśmy być, jak Ty tego pragniesz. Jesteśmy przede wszystkim Twoją sprawą. Gdybyśmy to rozumieli, inaczej wyglądałaby nasza troska o nas, ponieważ byłaby realizowaniem Twoich wskazań i Twoich pragnień.

Stoimy na rozdrożu pragnień Ciebie i pragnień tylu innych. Wiemy, że trzeba dojść do Ciebie. Nie zawsze pamiętamy, że znajdując Ciebie, znajdujemy całe swe szczęście.

I znowu, Boże mój, co to się stało? Co się stało? Popełniliśmy grzech. Więc żal. Lecz jakże na bardzo długo pozostało pragnienie grzechu. Biedny jest człowiek, Boże,



pomyśl o tym, jakże bardzo biedny. Wybacz zło. Jak to się stało, że znowu zgrzeszyliśmy? Jak to się stało? Boże, jak to się mogło stać?

Jakże łatwo zgubić drogę do Ciebie, jakże łatwo. Ale odejść na zawsze nie można. Pusty i brudny jest świat bez Ciebie, Boże. Jakże ciężko, gdy Cię nie ma; gdy jest grzech. Świat nabywa innych wymiarów, gorszych, nieosiągalnych, gdy Ty jesteś daleko. I nie można dotrzeć do ludzi. Gdy Ciebie nie ma, ludzie są daleko. Bądź z nami, Boże.

\*

Tak. Chciałbym klęczeć przed Twym ołtarzem, Jezu Chryste, nasz Boże, i z ukrytą twarzą nagromadzone łzy wylewać do Twych stóp. Chciałbym realizować to jedno pragnienie: stać przy Tobie i wyznawać, że Cię kocham. Nic więcej. Kocham Cię, Boże. Najbardziej Ciebie i jedynie Ciebie.

A jednocześnie wiem, że jestem samą słabością i nędzą. Płacę, że nie zawsze jesteś we mnie, że odchodzisz, że wtedy sam, i biedny, i słaby upadam. Płacę, że były grzechy. Lecz nie o nich myślę, ale o tym, że nie byłeś wtedy kochany, Boże mój.

Chciałbym, aby pojawiła się we mnie tęsknota tak mocna za Tobą i żal tak autentycznie prawdziwy, bym mógł znowu zdobyć Cię dla swej duszy.

Uratuj od tej najcięższej chwili, w której odchodzisz, gdyż musisz odejść z mej duszy przez grzech. Naucz pokutować i nadrobić w mej duszy to wszystko, co straciłeś we mnie przez mój grzech. Grzech to zajęcie się drobną sprawą tego świata, odsuwającą od Boga. Ukochanie tej sprawy jako pierwszej i jedynej. Franciszek z Asyżu wszystko porzucił, aby mieć tylko Boga. Chciałbym być, jak Franciszek, szalonym zakochanym, który porzucił wszystko dla Ciebie, Jezu. Grzech jest naszą wspólną klęską. Ty tracisz mnie, ja tracę Ciebie. Niech więc nie będzie grzechu. Ulecz. Chcę natychmiast wstawać, zawsze natychmiast podnosić się z grzechu, wciąż aktem miłości powracać do Ciebie. Być z Tobą. W Tobie. Boże!

\*

Nie martw się, mój Jezu. Nie odejdę. Grzech mnie powala, ale powstanę. Z krzyżem na ramionach wejdę na szczyt góry. Nie wierz pozorom. Nie odejdę. Ufaj mi. Grzech nie zabierze mnie Tobie. Nie pójdę za nim. Powoduje rozpacz tęsknoty. A swoją tęsknotę

zaczepiam o Ciebie. I wejdę na szczyt mimo wichrów, burzy i słabości. Razem z Tobą. I w Tobie. Mój Boże. Ufaj mi. Nie odejdę. Nie martw się, nasz Boże.

### III. PRZETRWANIE POKUSY

#### POKUSA ZNIECHĘCENIA

Pokusa zniechęcenia atakuje raczej ludzi dorosłych, religijnie już wyrobionych, nawet dojrzałych. Na ludzi młodych nie spada. Młodość ma swoje, inne niebezpieczeństwa. Zniechęceniu ulegają starsi. Przychodzi ono po latach nawet serdecznego kontaktu z Bogiem. Człowiek długo już uczęszczał do sakramentów, modlił się, żył uczciwie i nagle zniechęcił się do życia religijnego, wiernego przykazaniom, nastawionego wciąż na ulepszenie postawy wobec Boga i ludzi.

Zniechęcenie może mieć trzy bezpośrednie źródła:

1. Może wynikać z niecierpliwego oczekiwania na wyniki pracy nad doskonaleniem się. Najczęściej wyników nie widać. Doskonałość moralna jest bowiem postawą, sprawnością, a nie nagromadzeniem cnót. Człowiek niecierpliwie i nieświadomie zdąza tu do fałszywego celu. Powinna w człowieku rosnać skrucha i tęsknota do Boga, a rośnie w nim pragnienie osiągnięcia doskonałości. Gdy to pragnienie jest zorientowane na siebie, nie na Boga, gdy bardziej myślę o doskonałości, a mniej o Bogu, przychodzi zniechęcenie jako reakcja na niepowodzenie.

2. Gdy człowiek przeżywa gwałtowne pokusy, gdy dokuczają mu nie dające się przez wiele lat opanować instynkty, namiętne uczucia, gdy pod ich wpływem nawet łamie przykazania nie mogąc uporządkować siebie tak jak by tego pragnął, gdy jednak przy tym

wciąż bez przerwy podnosi się przez akty żalu i sakrament pokuty, gdy za wszelką cenę chce być przy Bogu i gdy przez wiele lat to mu się nie udaje, przychodzi zniechęcenie jako żal do Boga, że Bóg nie pomaga, i przychodzi smutek pełen tęsknoty jako przerwa w pracy nad sobą. Trzeba tylko czuwać, by ta przerwa nie trwała zbyt długo. Tu także winę ponosi niecierpliwość i dołączające się do niej zniechęcenie.

3. Człowiek jest religijny, z radością spełnia praktyki religijne, uczciwie żyje, modli się, wygodnie mieszka, jest dobrze urządzony, lecz nawet nie dba o to, żyje problematyką religijną, Bóg mu błogosławi, człowiek nie ma trosk, gwałtownych pokus i wpada w zniechęcenie. Ze zdziwieniem stwierdza, że nudzą go sprawy religijne, że nie przeżywa niepokoju, a teraz lęka się, uważa, że stracił wiele lat, jest zdezorientowany i przede wszystkim zniechęcony, nie ma ochoty podejmować walki. Przyzwyczyił się do wygodnej ciszy i męczy go sytuacja niepokoju.

Można dać dwie oceny tych rodzajów zniechęcenia:

a. Oczekując na wyniki pracy nad sobą człowiek ma na uwadze bardziej siebie niż Boga. Gdy przeżywa bunt wobec Boga, żal, że Bóg nie pomaga w wewnętrznym urządzeniu spraw duszy, zwycięża także własna wola, pragnienie osiągnięcia swoich celów, celu, którym jest spokój, ład, cisza. Gdy człowiek pełen ciszy, spokoju i ładu nagle to traci, chce znowu swoich radości, swojej wygody, swojego „ja”.

To przecież jest oczywiste, że przy tej interpretacji zniechęcenia człowiek poszukuje siebie. Jest to poszukiwanie dyskretne. Nazywa się sprawą doskonałości, sprawą opanowania, sprawą wewnętrznej ciszy potrzebnej w życiu wewnętrznym.

Często nieświadomie myli tu człowiek sytuację duchową z sytuacją psychiczną. Przypuszcza, że samopoczucie w sensie psychicznym jest jakimś sprawdzianem życia religijnego. Nie zawsze tak jest. Przypuszcza też człowiek, że wychowanie, opanowanie temperamentu towarzyszy rozwojowi życia religijnego. Może towarzyszyć, ale nie oznacza rozwoju duchowego. Praca nad charakterem może być tylko sposobem wyrażania Bogu miłości. Należy ją podjąć. Ale powodzenia na tym odcinku nie są zasadniczym znakiem religijnego rozwoju duszy. Owszem, należy całą energię wkładać w pracę nad charakterem, ale nie całą miłość. Miłość w całej jej pełni należy skierować do Boga.

b. Gdy człowiek przeżywając różne typy zniechęcenia jednak za wszelką cenę chce być przy Bogu, wtedy zniechęcenie jest środkiem udoskonalenia. Wtedy to właśnie Bóg przy okazji pokusy zniechęcenia wyciąga człowieka z pomyłek, odrywa od błędnego celu, od małej ambicji zdobycia doskonałości, od potrzeby ładu psychicznego, stanu uspokojenia i duchowej sytości. Bóg daje tym samym znak swej troski. Zniechęcenie tak rozumiane jest znakiem, że Bóg pamięta o człowieku i pomaga mu odbierając drobne radości i cele, i skierowuje jego uwagę na siebie. Bóg zabiera człowieka dla siebie, a odbiera go wszystkim innym sprawom.

Jeżeli trwa w człowieku mimo wszystko tęsknota do Boga, nie należy bać się zniechęcenia. Jest ono oczyszczeniem, wyrwaniem człowieka ze służby sobie i skierowaniem do Boga, przede wszystkim do Boga.

Dotykamy tu problemów egoizmu, czyli służby sobie, centralnego problemu w życiu religijnym.

Tylko służąc Bogu i kochając Boga rozwijamy się religijnie. Gdy służymy sobie, nasze życie religijne nie istnieje. Znakiem, że mimo trudności życie religijne rozwija się poprawnie, jest właśnie tęsknota do Boga, troska o kontakt z Bogiem, o Komunię Św., pragnienie nieodejścia od Boga.

Pokusę zniechęcenia należy przezwyciężyć. Czasem trwa ona w nas całe lata. Zależy to od tego, w jakim stopniu wykryliśmy motywy egoistyczne w swym życiu religijnym i w jakim stopniu porzuciliśmy je. Bóg walczy o naszą duszę. Walczy z nami, z naszą postawą. Nie chce ustąpić i dlatego walka trwa tak długo.

Utrudniamy zwycięstwo Panu Bogu najczęściej z dwu powodów:

1. Nie przyjmujemy postawy umartwienia. Umartwienie polega na tym, że pomijamy siebie, że nie chcemy dla siebie różnych radości nawet nam należnych, że nie myślimy o sobie, lecz tylko o Bogu i ludziach, których spotykamy na swej drodze i których winniśmy kochać niczego za to nie żądając.

2. Chcemy podporządkować sobie nawet życie religijne i ciągnąć z niego korzyści. Chcemy mieć wewnętrzny spokój, radość, pewność kontaktu z Bogiem, wysłuchane prośby, życzliwość ludzi. Zachowujemy się niedelikatnie w stosunku do Boga. Dyktujemy

Bogu sposoby kontaktu z nami. Nie chcemy więc zaufać mądrości Bożej. Na modlitewnym spotkaniu zamiast rozmawiać z Bogiem wyklócamy się o różne prezenty. A tych prezentów (radość, cisza, życzliwość ludzi) Bóg właśnie nie chce nam dawać. Bóg chce nam dawać siebie. Swoją miłość. Pragnie, byśmy wybierali Boga. Nie trzeba więc upominać się o żadne radości, nawet nie należy walczyć o wewnętrzny spokój. Bardzo cenny jest taki spokój i Bóg go nam udzieli, gdy uzna to za właściwe. Należy walczyć o Boga. Tylko o Boga, nie o siebie.

Pokusa zniechęcenia, która opanowuje wszystkie władze człowieka, atakuje przede wszystkim rozum ludzki. Trzeba najpierw ratować myślenie. Trzeba odrywać myśli od siebie i podnosić je do Boga. Myśleć o Bogu. To jest sposób wyrwania się ze zniechęcenia. Nieważne są moje sprawy, ważny jest Bóg. I trzeba zaraz ratować wolę. Trzeba chcieć tego, czego chce Bóg. Trzeba zaufać Bogu. Myśleć o Bogu i ufać Bogu. To są dwa sposoby przewyciężenia zniechęcenia.

Praktycznie rzecz biorąc trzeba po prostu przez jakiś czas przestać myśleć o sobie. Nie myśleć ani o swej duszy, ani o swoim zbawieniu, ani o swoich grzechach. Myśleć o Bogu. O tym, że Bóg jest wśród nas, że przyszedł na ziemię, pozostał w Eucharystii. Że cierpiał, szedł na Kalwarię, pozwolił bić się, popychać, że nie wybrał domowej ciszy, a wybrał aresztowanie, sprawę sądową. Niósł na plecach ciężką kłodę krzyża. Chrystus wszystko to przetrwał i teraz z Ojcem i Duchem Świętym pozostaje już poza cierpieniami.

I trzeba starać się spełniać wszystkie prace dla Boga. Zmienić motywację swych czynów. Wszystko dla Boga. Nawet gdy nie mamy na to ochoty, należy ze spokojem podjąć dla Boga ciężkie codzienne kłopoty, już nie unosić się, gdy nas zdenerwuje żona lub dzieci, uśmiechać się, dzieciom kupić owoców, żonie kwiaty. Gdy będziemy dla Boga spełniali nasze prace, nie będziemy wyczekiwali na ludzką wdzięczność. Taka wdzięczność jest zresztą małą zapłatą. Zapłatą za dobro, które spełniamy, będzie sam Bóg.

Nasze prace możemy spełniać na wesoło lub na ponuro. Przyjemniej jest na wesoło. Ale optymizm nie jest konieczny do zbawienia. Boga kochają także ludzie smutni. Nie należy więc martwić się tym, że jesteśmy smutni, że święty smutny, to smutny święty. Nie należy myśleć o tym, lecz o Bogu. Wciąż o Bogu. Nie zastanawiać się, czy wiara w nas jest

mocna, czy słaba; należy zastanawiać się nad dobrocią Boga. Nie musimy rozumieć sensu świata, sensu życia. Wystarczy, że Bóg zna nasz los. Dlaczego nie dowierzamy Bogu i wciąż sprawdzamy Boskie posunięcia? Kontrolujemy Boga jak ktoś nieżyczliwy i obcy. I jak ktoś nieufny. Gdybyśmy myśleli o Bogu, Bóg myślałby o nas. Bóg wysłuchuje modlitwy, ale nie może nam dać tego, co nam szkodzi. Nie wiadomo, czy byłoby dobre dla nas to, o co prosimy. A często prosimy o drobiazgi w stosunku do tego, co sam Bóg chce nam ofiarować. Bóg ma większe niż my możliwości. Należy zaufać Bogu. I dlaczego sprawdzamy wciąż dobroć Bożą ilością wysłuchanych próśb? Usiłujemy podporządkować sobie Boga. Chcemy, by Bóg załatwiał nam różne sprawy, wyciągał nas z kłopotów. A powinno być odwrotnie.

Jesteśmy po to, by załatwiać Boże sprawy, by pomagać Bogu zbawiać ludzi.

Słusznie, mogą człowieka załamywać różne niepowodzenia, ale tylko wtedy, gdy te sprawy, które nam się nie powiodły, są dla nas najważniejszymi sprawami życia. Lecz gdy poznaliśmy Boga, czy może być dla nas sprawa ważniejsza niż Bóg?

I w tej sytuacji wszystkie inne sprawy są mniej ważne. Czy więc na przykład musimy znaleźć szczęście w życiu małżeńskim? Małżeństwo jest nie po to, by człowiek poczuł się dobrze i wygodnie. Może Bóg umieścił nas w małżeństwie tylko w tym celu, byśmy pomogli mężowi, żonie lub dzieciom wytrwać przy Bogu? Bóg mógł zlecić nam takie zadanie. A poza tym Bóg wcale nie obiecywał nam szczęścia. Obiecał krzyż tym, którzy Go kochają. I nakazał ten krzyż dźwigać. Nie można więc uchylać się od tej zaszczytnej funkcji. A niesienie krzyża jest przecież męką. Więc raczej wszystko w porządku. Bóg nie obiecał zmieniać naszego temperamentu. Zlecił to nam. Często chcemy, by Bóg za nas pracował.

Może przyjść na nas zmęczenie. Ale i wtedy nie należy traktować Boga jak urzędnika, który musi załatwiać nam różne sprawy. Należy porzucić ten służbowy stosunek względem Boga.

Bóg chce kierować naszą miłość do siebie. Kształtuje ją w nas. Daje nam przecież takie sytuacje, w których tracimy nasze radości. Po prostu Bóg je nam zabiera. Tęsknimy

do nich. A trzeba, byśmy tęsknili do Boga, i to zupełnie bezinteresownie, nie żądając za modlitwę zaraz załatwienia różnych spraw.

Boga tylko się kocha. To jest forma kontaktu z Bogiem. Kochać. Kochając Boga tęskni się do Niego, myśli się o Nim, rozmawia się z Nim. W tej rozmowie ofiarowuje się wszystkie troski i cierpienia. I nie należy czekać jak interesant na zapłatę za ofiarowany przedmiot. Bóg będzie uprzedzał nasze życzenia, gdy my będziemy uprzedzali życzenia Boże. A Bóg zawsze chce naszego dobra.

I wciąż prosba, byśmy nie myśleli o zakazach i grzechach, byśmy nie szukali ukojenia, ciszy, życzliwości. Starajmy się myśleć o Bogu, szukać Boga. Nie tylko św. Paweł wiedział jasno, co powinien czynić. My wiemy to także: mamy kochać. Kochać Boga. I kochać ludzi, którzy są wokół nas. Wolą Bożą jest nasze uświęcenie. A uświęcamy się trwając przy Bogu. A trwamy przy Bogu kochając Boga.

Bóg pamięta o nas, skoro odbiera nam drobne radości. Zachęca nas i trochę zmusza do umartwienia zsyłając codzienne kłopoty. Sam zwraca naszą uwagę na siebie. Czy może być troskliwszy znak Bożej opieki? Poza tym tęsknimy do Boga. To drugi znak opieki Bożej. I Bóg nie 'może pominąć kogoś, kto do Boga tęskni.

A więc realny kontakt z Bogiem przez Komunię św. Zwracanie wciąż myśli do Boga i modlitwa słowami miłości. Aby wyrwać się z siebie. Zobaczyć Boga i w Bogu swoją drogę.

Wszystko to jest naszą wielką szansą i wymaga wielkiej pracy z naszej strony.

## W SPRAWIE POKUSY SAMOTNOŚCI LISTY DO PANA BOGA

Zatrzymałem się na dłużej w mieście, w którym mieszkam. Gdy przybyłem, zapytano mnie o adres stały. Odpowiedziałem, że mieszkam u Ciebie i w Tobie. Zameldowano mnie więc na pobyt czasowy.

Obowiązki gościa na ziemi wypełniam raczej dobrze. Jak najbardziej tkwię w sprawach rodziny, która mnie gości. Codziennie rano z konieczności spostrzegam, że to nie mój dom, że przybyłem tu, by składać Ci chwałę i szukać nowych terenów chwały. Ogromna tęsknota za Tobą, ale zacynam zęby i czekam na kłopoty, które zjawiają się, by utrudnić poszukiwania, a przez to opóźnić mój powrót do Ciebie. Wiem, że kłopoty przyjdą codziennie, więc nie tyle się lękam, ile spokojnie czekam. Traktuję je zresztą jak interesantów w biurze. Podejmuję każdy kłopot, uprzejmie skierowuję gdzie indziej i znowu mam drogę prostą w kierunku spraw, które mi zleciłeś: składać Ci chwałę. I w taki sposób ratuję swój potrzebny mi wewnętrzny pokój.

Gdy przychodzą kłopoty, ze względów taktycznych tylko się dziwię, że tak tu traktuje się gościa. Że pozwala się mu zostawać w trudnych warunkach. A gdy są radości, wtedy się cieszę, by sprawić przyjemność znajomym, by w ogóle wyrażać wdzięczność, że spotyka mnie aż tyle dobra. A najgłębiej w sobie noszę tęsknotę. Jestem tęsknotą. Tylko poprzez listy możemy pogawędzić. Kiedy nastąpi rozmowa prawdziwa? Kiedy będę mógł już nie tęsknić, być z Tobą?

Na ziemi bez zmian. Jest wielu przyjemnych ludzi i wielu bardzo źle wewnętrznie ukształtowanych. A najbardziej przykre są ciągłe bójkę. I to nawet specjalnie, spokojnie organizowane w taki sposób, że cała duża społeczność ludzka napada na inną. To jest okropne. Człowiek, którego się bije, myśli o ranach, nie może myśleć o Tobie.

Teraz dużo błota. Muszę wyznać, że świat wcale nie jest tak znów uroczy. Nie wiem, czy w ogóle Ci się udał, drogi Panie Boże. Wybacz, ale doskonale przecież wiesz, że nie wszystko jest najlepiej.

Pocieszałem jakąś smutną osobę w ten sposób, że nie należy się martwić brakiem urody. To jest Twoja sprawa. Tak nas stworzyłeś. Problem więc niepokoju czy wstydu mógłby dotyczyć raczej Ciebie. Twój człowiek świadczy o Tobie. Tak się teraz mówi na ziemi.

Piszę to, abys uradował się, mój Boże, że obciążenie Ciebie brakiem urody człowieka jest dodaniem skrzydeł człowiekowi. Na skrzydłach szybciej przybiega się do Ciebie.



Całemu Niebu pozdrowienia. Aniołom i świętym najlepsze słowa. Do rąk Najświętszej Matki się chylę z prośbą, by przekazała Osobom Trójcy całą mą miłość.

Nie widzieliśmy się nigdy, a tyle o sobie wiemy. Znasz mnie tak dobrze, a pytasz o moje myśli.

Właściwie myślę dla Ciebie. Myślę o wielu rzeczach, lecz właśnie ze względu na Ciebie. I to nie jest dziwne. Spowodował tę sytuację nawyk gawędy z Tobą o wszystkim. I szukanie wciąż podarunku. Podarunku dla Ciebie.

Moje myśli są i teraz pytaniem, czy nie widzisz błędu w rozwiązywanym przeze mnie zadaniu mego życia. Tak właśnie zawsze pytałem pod koniec rozmowy. Przecież pamiętasz. I są moje myśli także słuchaniem Twego zdania. Są, jak to nazwaliśmy, ołówkiem, którym piszę swoją księgę. Wolałbym jednak inną przenośnię. Nazwijmy je może kwiatami. Wiem, że to dla myśli kwalifikacja wysoka, lecz Ty jesteś tak dobry.

Przyjaciele nasi, ponieważ są przyjaciółmi, wyśmieją przenośnię. To dobrze. Kwiaty dla Ciebie będą przystrojone uśmiechem.

Aby brnąć dalej i zasługiwać na grymas smakoszków stylu, oszczędności słowa, dodam, że podaję Ci moje kwiaty w koszu wrażeń z podróży. Podróżuję po tej ziemi maszerując ku Tobie. A więc myśli podróżnika jako kosz kwiatów. Nie jest nieprawdą to, że podróżuję, tak jak nie jest nieprawdą przekonanie „Męża doskonałego”, że „księżyc nie jest niepiękny, a muzyka nie jest niemiła”. I nie jest nieprawdą to, że bardziej myślę o Tobie niż o życiu, które zleciłeś mi tu odbyć. Taką praktykę tęsknoty. Student odbywający praktykę. Myślę o Tobie także dlatego, że stało się to, o czym śpiewa francuska piosenka: wpadł mi do oka kawałek księżyca, nie większy od pieniążka, i nie mogę go wyjąć. Kawałku księżyca w mym oku, przesyłam Ci kosz kwiatów. Ułożyłem je według koloru nastrojów. Powiedzą Ci o Tobie i o mnie. Pytasz bowiem o moje myśli. I usłyszysz szept słów chwały.

\*

Tym razem piszę w sprawie zakazu samotności. Nikt jeszcze takiego zakazu nie ogłosił, więc chciałbym tę sprawę najpierw z Tobą omówić. Zwykle bowiem samotność raczej się zaleca. Mój Anioł Stróż namawia mnie jednak i zachęca, by od niego prywatnie

kolegom ludziom zakaz samotności zakomunikować. Nie wiem, co robić. Stąd ten list. Aniołowie są zdania, że w zakresie tej sprawy ludzie myślą cel i środki. Wiadomo, że jednym z zadań aniołów, o czym informuje psalm 90, jest troska o sprawy materialne człowieka. Ponieważ człowiek wciąż nie chce tej troski aniołom odstąpić, aniołowie doszli do wniosku, że człowiek jest samotny. Wynika to z prostego rozumowania. Człowiek z uporem sam myśli o sprawach swego ciała. Ponieważ ciało obok duszy jest istotną składową częścią człowieka, człowiek więc myśli o sobie. Myślenie o sobie jest znakiem, że nie myślimy o czymś drugim myśląc wciąż o sobie. Wypełnieni więc jesteśmy sobą. Zamyśleni i zapatrzeni w siebie. Nie przyjmujemy przez to nic z zewnątrz. Teoretycznie rzecz biorąc nie ma na to w nas miejsca. Klęska. Nie rośniemy. Powolne umieranie z duchowego głodu i jakiś nastrój ludożerczy. Zjadanie siebie. Odżywianie się tylko sobą. Sytuacja w ogóle skandaliczna. Aniołowie zakrywają oczy białymi skrzydłami. Błagają, by ogłosić zakaz zajmowania się sobą, zakaz samotności.

Oprócz tej złej samotności, która polega na zajmowaniu się sobą, jest inny jeszcze rodzaj złej samotności. Człowiek odchodzi nie tylko od wszystkiego poza sobą, ale także od wszystkiego w sobie. Od każdej sprawy, od każdej tęsknoty, od każdego umiłowania. Rozpada się, zanika, ginie. Staje się to wtedy, gdy człowiek potraktuje samotność jako cel. I na tym polega pomyłka.

Samotność jako środek to co innego. Jest odejściem od wszystkiego na jakiś czas, aż dusza zapełni się Bogiem, aż Bóg napłynie w całą duchową próżnię przygotowaną umyślnie. I z Bogiem wszystko powróci, cały świat rzeczy i spraw. Świat stanie się wtedy, tak jak być powinno, materiałem ofiary, terenem wciąż ze wszystkiego składanej chwały.

Zajęcie się tylko ciałem to klęska. Okropna sprawa wyłączenia się ze świata w pomyłce przypuszczenia, że tkwi się w świecie. I zajęcie się tylko własną duszą to także klęska braku dostaw, napływu sił z zewnątrz. A przecież rozwijamy się i żyjemy przez nabywanie. Odchodzenie, jeżeli jest celem, zuboża i prowadzi do pustki. Nabywanie, jeżeli jest celem, prowadzi także do pustki, bo stawia perspektywę bycia tylko z sobą i nabytym bogactwem. Stąd zakaz samotności jako celu. I zalecenie samotności jako środka, jako

sposobu odejścia od wszystkiego, aby wybrać Boga. Dla dobra człowieka i ze względu na aniołów.

Ich sprawa to skandal w niebie: aniołowie nie spełniają obowiązków. Nie zajmują się sprawami materialnymi człowieka. Niesumienny anioł. To brzmi tragicznie. Czy może jednak delikatny, subtelny anioł zajmować się nami, gdy mu nie pozwalamy? Gdyby człowiek myślał o Bogu i Jego sprawach, aniołowie mogliby zająć się sprawami człowieka. Lepiej byśmy stali, bo aniołowie są inteligentniejsi. Bądźmy więc w Bogu.

Zresztą jako ludzie jesteśmy od razu w nieskończoności. Nie ma poza tym spraw naszych własnych. Są sprawy Boże. Jesteśmy przecież nie na własnym świecie, lecz Bożym. Jesteśmy gośćmi zasiadającymi do stołu. Zabieranie więc sobie świata jest kradzieżą. I zabieranie sobie ciała, samemu sobie, jest także kradzieżą. Jedyną uczciwą sytuacją jest uznać to, że przebywamy przy Twym stole, mój Boże, że mamy realizować nie nasz, lecz Twój projekt naszego życia.

Jeżeli w sprawie zakazu samotności masz inne zdanie, drogi Panie Boże, przyślij wiadomość jak najszybciej. Czekam na Twe natchnienia.

## POKUSA PIĘKNA I POKUSA MIŁOŚCI

Istnieją dwa typy poetów: poeta, który żyje wieloma sprawami, a tworzy poezję z tej racji, że to jest jego najlepszy wkład w kulturę, i poeta, który tworząc poezję jednocześnie jej służy jako jedynej wartości, jedynej sprawie tego świata. Poeta w pierwszym wypadku nie przeżywa pokusy piękna, poeta w drugim wypadku przeżywa tę pokusę.

Twórczość poetycka zupełnie wciąga, bardziej niż nauka zabiera całego człowieka, jeżeli człowiek jest wyłącznie poetą. Poeta jest cały przy tym kształcie, który tworzy. Kieruje tam całe myślenie, całą wolę, wszystkie uczucia i wszystkie wrażenia. Tym samym

służy pięknu, które tworzy. Dosłownie służy. A w tym czasie, gdy jest całym sobą, całą swą naturą jedynie przy pięknie, nie jest przy Bogu. Nie jest.

Twórczość poetycka, jeżeli jest jedyną sprawą życia, na długie lata zatrzymuje ludzką uwagę i ludzkie serce przy pięknie. A wtedy człowiek nie jest całym swoim sercem przy Bogu. Tkwiąc przy pięknie nie jest przy Bogu całą miłością. Tworząc poezję, jedyny cel swego życia, człowiek opóźnia swoje dotarcie do Boga. Poza tym tworzenie poetyckie jest zawsze wielką pokusą. A jeżeli trzyma człowieka tak mocno jedynie przy pięknie, staje się przeszkodą w życiu religijnym. Gdy staje się jedyną wartością człowieka, ma w sobie coś z atmosfery grzechu, ponieważ zatrzymuje i uwodzi. Tak, to dobre słowo. „Uwiodło was piękno” mówił prorok Daniel. To już nie przeszkoda w drodze do Boga, to już wybranie innej drogi. Służba tylko pięknu, a nie służba Bogu. O ile człowiek oczywiście jest wyłącznie poetą.

Poeci są na trudnej drodze, ponieważ piękno jest subtelną wartością i otwiera oczy na metafizykę. Poetom często wydaje się, że tworzenie piękna jest zbliżaniem się do Boga, prawie dotykaniem Boga. Tymczasem dotarcie do piękna jest dotarciem tylko do piękna, nie do Boga. Jest jakimś uprawianiem metafizyki, a nie miłości Bożej. I stąd sztuka nie jest objawieniem Boga. Jest zawsze objawieniem piękna. I nigdy ściśle biorąc nie zobaczy się Boga przez piękno. Na tej drodze nie zobaczył Boga nawet Platon. Zobaczy się najwyżej ideę piękna. Kolejność realna, nie poetycka, jest inna. Trzeba najpierw dotrzeć do Boga. W Bogu zobaczy się piękno, które zachwyci, ale które nie jest pięknem świata i dzieł sztuki. Piękno dzieł sztuki ma raczej charakter jedynie fotografii, aluzji, skojarzenia, i to dla niektórych tylko ludzi już wierzących. Merton pisze, że kontakt z pięknem dzieł sztuki kształtuje w nas prawość, prawe sumienie. Można teraz dodać, że człowiek prawy, nie fałszujący faktów, spotykając rzeczy, ich związki i prawa, spotykając istniejące byty czasowe, dotrze do ich istniejącej pozaczasowo przyczyny, do Boga. Gdy już jest przy Bogu, wtedy spotkane w rzeczach i sztuce piękno przypomina mu Boga. Jak fotografia.

Wiemy przecież, że piękno nie doprowadziło do Boga tylu prawdziwych poetów, a więc ludzi, którzy są przy pięknie. Raczej na wiele lat zatrzymało ich przy sobie. I często nigdy nie przekazało Bogu.

Piękno, które tworzy człowiek, i piękno Boga to zupełnie różne rzeczy. Bóg, owszem, jest ontycznie piękny. Piękno jest zamienne z Jego bytem. Ale to jest piękno bytu Bożego. I sztuka, która jest innym bytem, tego piękna nie przekazuje. Sztuka objawia swoje własne, jej ontycznie przynależne piękno. Taka jest w filozofii zasada realizmu i wielości bytów. Sztuka pokazuje piękno dzieł pięknych, a człowiek patrząc na to może przez analogię z piękna rzeczy dojść do piękna Bożego. Ale tylko do piękna. W metafizyce lub w estetyce mogłoby to wystarczyć. Metafizyk wykryłby podmiot nieskończonego piękna i Boską naturę tego podmiotu. Metafizyka jednak to nie jest życie religijne. Estetyka także nie jest życiem religijnym. Człowiek może kochać piękno Boga, a nie kochać Boga. To są zupełnie różne sprawy. I wywołują różne skutki. Gdy zachwycam się pięknem Boga, jeszcze nie zawsze zachwycam się Bogiem.

I właśnie tu gdzieś także tkwią subtelne przyczyny niepowodzeń w religijnym rozwoju duszy. Sprawy naprawdę tak subtelne, że mogą sobie z nimi praktycznie poradzić jedynie święci. Ostatecznie każdy człowiek powinien sobie poradzić z tymi sprawami, ponieważ wszyscy jesteśmy wezwani. Lecz w naszych wysiłkach zbyt często docieramy do piękna łudząc się, że docieramy do Boga.

Otóż sztuka jest jednak objawieniem piękna, nie Boga. Tu gdzieś tkwi także ta subtelna przyczyna, dla której Bernard z Clairvaux krytykował sztukę, a Franciszek z Asyżu nie pozwalał swym braciom odbywać studiów, poświęcać się nauce. Tylko nauce i tylko sztuce. Ich protest nie był protestem bez uzasadnienia. Byli zbyt wielcy. Myślę, że po prostu bali się niebezpieczeństwa wyłączości. Stałej w człowieku pokusy wyłączości. Bali się konfliktu między wiernością Bogu a służbą sobie, konfliktu między miłością Boga a miłością siebie.

Ten konflikt zresztą trwa. A stąd trwa konflikt między służbą pięknu i służbą Bogu. Franciszek dał dobrą poezję, ale zawsze była to dla niego druga sprawa. Poezja na tym nie ucierpiała, a zyskał Bóg. Zyskał miłość, którą Franciszek zwrócił do Boga, a nie do piękna.

Świętość otrzymuje się za ukochanie Boga, nie za ukochanie piękna. Ludźmi świętymi stają się tylko ci, którzy zrealizują skutki dostrzeżonej różnicy, którzy ukochają Boga nade wszystko. Piękno i Bóg to zupełnie różne sprawy, mimo że Bóg jest pięknem.

Czym innym jest bowiem estetyka i czym innym religia. Ukochanie Boga w porządku estetyki nie wystarcza. Musi to być ukochanie w porządku religijnym, w porządku nadprzyrodzonej miłości.

Prawie każdy człowiek jest jakoś twórczy w dziedzinie piękna i dlatego trzeba bardzo otwartych oczu i wielkiego poczucia prawdy, by minąć piękno, a dojść do Boga.

Poezja uwalnia nas od sprzeciwu wobec Boga, od niechęci. Czasem zupełnie odwrotnie. W każdym razie zawsze wyciąga nas poza siebie. Sztuka po prostu uczy przełamywać egoizm. Służąc pięknu nie służymy sobie. To już dużo. Ale jakże jeszcze bardzo mało w stosunku do miłości Bożej.

Modlitwa jest słuchaniem tego, co mówi Bóg. W poezji mówi człowiek i raczej nie Bogu. Mówi pięknu. Dla religijnego rozwoju duszy ważniejsze jest, gdy mówi Bóg i gdy człowiek mówi Bogu. Może zdarzyć się tak, że człowiek modli się w poezji. Ale w dobrym wierszu modlitwa jest raczej elementem, z którego artysta tworzy rzecz piękną. I modlitwa w dobrym wierszu realnie jest podporządkowana pięknu, służy bezpośrednio pięknu, nie Bogu.

I nie jest prawdą, że głębokie życie religijne, życie już mistyczne, daje się wyrazić jedynie językiem poezji. Jak gdyby była tu jakaś proporcja. Nie. Swoje największe powiązanie z Bogiem można wyrazić w sposób pełny jakimkolwiek językiem, tylko oczywiście takim, którym autor dobrze operuje. Tak się jakoś tylko złożyło, że prawie wszyscy mistycy najlepiej władali językiem poezji. Ale jednak nie wszyscy. Na przykład Abraham.

\*

Oto co mówił Abraham Bogu wtedy, gdy Bóg odwiedził Abrahama. Słowa Abrahama podaje Księga Rodzaju w rozdziale 18.

„Panie, jeśli znalazł łaskę w oczach Twoich, nie mijaj sługi twego, ale przyniosę trochę wody, a umyjecie nogi wasze i odpocznijcie pod drzewem. I przyniosę kęs chleba, i posilicie serca wasze, potem pójdziecie; dlategoście bowiem zstąpili do slugi swego”.

(„A gdy się najedli, rzekli do niego: Gdzie jest Sara, żona twoja? On odpowiedział: Oto jest w namiocie”. „I obrócili się stamtąd i poszli do Sodomy, lecz Abraham jeszcze stał przed Panem. I przystąpiwszy rzekł”):

„Czyliż zatracisz sprawiedliwego z niezbożnym? Jeśli będzie pięćdziesięciu sprawiedliwych w mieście, zginąż społem? I nie przepuścisz miejscu owemu dla pięćdziesięciu sprawiedliwych, jeśli będą w nim? Niech to daleko będzie od ciebie, abys tę rzecz uczynić miał i zabić sprawiedliwego z niezbożnym, i żeby był sprawiedliwy na równi z niezbożnym; niech to daleko będzie od ciebie! Ty, który sądzisz wszystką ziemię, żadną miarą nie dokonasz takiego sądu?”

„Iżem raz począł, będę mówił do Pana mego, aczem proch i popiół. A jeśliby sprawiedliwych było pięciu mniej, niż pięćdziesięciu, czy dla czterdziestu pięciu zatracisz wszystko miasto?” „A jeśli się tam znajdzie czterdziestu, co uczynisz?” „Nie gniewaj się, Panie, proszę, jeśli przemówię. A jeśli się tam znajdzie trzydziestu?” „Gdyżem raz począł, będę mówił do Pana mego. A jeśli się tam znajdzie dwudziestu?” „Proszę, nie gniewaj się, Panie, jeśli jeszcze raz przemówię: A jeśli się tam znajdzie dziesięciu?”

Bóg odpowiedział: „Nie zatracę dla dziesięciu”.

A podczas tej rozmowy, gdy Bóg był u Abrahama, gdy „ukazali mu się trzej mężowie, stojący blisko niego”, Abraham był wciąż zasłuchany, zapatrzony. Odmłodził się, całkowicie wypełnił rozmową, minął siebie. Zaprosił Boga do stołu. Nie był dawno, Panie! Skarżył się, radował, dyskutował, gdy Bóg naradzał się z nim w sprawie Sodomy i Gomory. Argumentował mocno, targował się, i wciąż w całej pełni zgody, zachwytu, rozkochania. Ponieważ przyszedł do niego Pan,

Rozmowa dotyczyła Sary i usprawiedliwienia Sodomy. Abraham nie mówił z Bogiem o sobie. Konkretnym językiem kupca tłumaczył swoich braci. Modlił się. Rozmowa z Bogiem jest przecież modlitwą.

\*

Teraz kilka trudnych myśli o pokusie miłości.

Jeżeli Bóg jest jedynym, najwyższym celem ludzkich dążeń i ostateczną miłością, to wszystko, co może poza Bogiem zatrzymać na zawsze przy sobie naszą miłość, jest pokusą.

Wszystko poza Bogiem jest w tym wypadku pokusą pominięcia Boga, pokusą odejścia od Boga przynajmniej na chwilę, by odpocząć w lesie, w kawiarni, przy ukochanym człowieku, którego miłości nie chcę podzielić z Bogiem. Bóg nie zabrałby sobie tej miłości, ale nie chcę jej dzielić. Chcę ją mieć tylko dla siebie. I tak dyskretnie wciska się tu egoizm, moje „ja”. Znowu uwzględniłem siebie dla siebie. Chodzi o mój dziwny odpoczynek, o wyrwanie się bardzo niewinne, zrozumiałe i niby uzasadnione, wyrwanie się z kręgu, którego Bóg jest ośrodkiem. Odpocząć od Boga. To jest pierwsza i stała pokusa, której zresztą uległ pierwszy człowiek. Przybiec do siebie i być na chwilę bez Boga, tylko w sobie. Sam dla siebie jestem pokusą. Ta pokusa odejścia od Boga, nawet nie odejścia na zawsze, tylko na chwilę, by odpocząć sam na sam z sobą, jest właśnie pokusą wyboru siebie. Pokusa miłości do siebie. Dzieje duszy przebiegają po tej linii, po linii trudu wybierania Boga, a pomijania siebie.

Wszystko, co może zatrzymać przy sobie naszą miłość, jest pokusą zachowania sobie choć części miłości. Jest zamknięciem oczu i serca na prośbę Boga, byśmy oddali Mu całą swą miłość. Prawie przeraża to dostrzeżenie.

Nie mogę, nie powinienem niczego poza Bogiem umiłować jako jedyne. Mogę, powinienem ukochać nade wszystko tylko Boga. I jednocześnie powinienem umiłować wszystkich i wszystko. Umiłować tak, by nie wpaść w pokuszenie. Czy więc umiłować tak jakoś na niby, skoro nie wolno mi całkowicie przyłgnąć do żadnej rzeczy? Całe moje serce musi należeć do Boga. „Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, ... a bliźniego twego, jak siebie samego” (Mk 12, 30. 31). Miłować drugiego człowieka tak, jak siebie. I miłować siebie? A „kto by chciał życie swe ocalić, straci je” (Łk 9, 24). Miłować i porzucić, oddać. Jak to pojąć? Nie zachować sobie ani odrobiny miłości. Nic dla siebie. Kochać Boga dla Boga. Kochać człowieka dla człowieka i ze względu na Boga. Jeżeli zachowam dla siebie miłość, którą jestem winien bliźniemu, stracę ją. Muszę ją oddać, aby ją uratować. Także miłości do Boga nie mogę zatrzymać dla siebie. Muszę ją porzucić, aby ją uratować. Muszę porzucić miłość, aby nie stracić Boga. Uratuję dla siebie Boga, gdy wybiorę tylko Boga, gdy więc porzucę wszystko, nawet miłość do Boga. Moim celem nie jest miłość, lecz Bóg. Sprawa ogromnie subtelna. Tak łatwo można się tu



pomylić, wziąć za Boga coś, co nie jest Bogiem, a na miejsce człowieka-bliźniego postawić człowieka-siebie.

Czym jest miłość? Jest w wielu wypadkach pokusą odpoczynku.

Wszyscy wiedzą, że gdy miłuję ze względu na siebie, miłuję źle. Tylko gdy miłuję ze względu na Boga, miłość jest dobra. Lecz kiedy miłuję dla Boga?

Człowiek umie stworzyć tyle pozorów i nawet okłamać siebie. Wydaje mu się, że cały wyniszczył się w służbie innych ludzi i Boga, a służył cały czas sobie.

Pokusa odejścia od Boga ku sobie jest pokusą umiłowania siebie. Lecz i dochodzenie do Boga, szukanie Boga może być pokusą szukania siebie i Boga dla siebie. A należy szukać Boga dla Boga. I kochać Boga dla Boga.

Obowiązek miłości jest najcięższą pokusą. Pokusa miłości jest uwikłana w obowiązek miłości. Kochać bliźniego tak, by nie odpocząć przy nim bez Boga, i kochać Boga tak, by nie zagubiła się miłość bliźniego. Wyłączność, a jednocześnie ogarnięcie wszystkiego. Wyłączność i wierność jako trwanie miłości.

Tu są mielizny, na których rozbija się ludzka świętość. Do tego wszystkiego dochodzi problem miłowania siebie i porzucenia siebie. Miłość siebie może być jedynie oddaniem siebie Bogu, nie może być zabieraniem sobie miłości Bożej. Umiłowanie siebie może wyrażać się w subtelnej potrzebie duchowego wypełniania, duchowej sytości. Nie chcę niczego od ludzi, świata, chcę tylko, by mnie ktoś kochał, by mnie w ogóle kochano. Pokusa potrzeby miłości. Pokusa odebrania drugiemu człowiekowi tego, co winien ofiarować Bogu. Potrzeba miłości, tęsknota do miłości może stać się pokusą odebrania Bogu miłości. Niby normalna potrzeba serca, a właściwie subtelna realizacja egoizmu. Każda zatrzymana jedynie przy mnie miłość ludzka nie biegnie do Boga, stanęła w drodze odpoczywając w czyjejś duszy, przy czyimś pięknie.

Pokusa umiłowania siebie kryje się często w motywach subtelnych i wśród dóbr, które Bóg stworzył dla nas.

Najczęstsza obok pokusy miłości jest bliźniacza pokusa piękna, której niełatwo się oprzeć. „Uwiodło was piękno” — mówił słusznie prorok Daniel.

Piękno jest pokusą. Bóg związał je z dziejami sztuki, które kształtują w nas prawość. Bóg związał je z ludzkim ciałem. Związał je ze wszystkimi rzeczami stworzonymi. Uczynił je własnością wszystkiego, co istnieje. I dał nam wrażliwość na piękno. Pragnie jednak, byśmy przy pięknie nie zostali, lecz poprzez nie przybiegli do Boga.

Piękno powiązał Bóg także z radością. Piękno i radość Bóg związał z ludzkim życiem, z rodziną człowieka, ze sprawą urodzenia człowieka.

Przez piękno ciała Bóg przybliży człowiekowi sakrament małżeństwa. Z pięknem powiązał Bóg walkę o szacunek dla ciała, o szacunek dla człowieka.

Męka pokus jest w tym punkcie często ponad siły. Chodzić wśród piękna i nie zabierać go sobie, a raczej ocalić dla Boga. Chodzić obok radości i nie zabierać jej sobie, lecz ocalić dla Boga.

Czasem na długie lata piękno zatrzymuje uwagę człowieka, jego serce, jego miłość i myślenie. Czasem na długie lata zatrzymuje człowieka piękno poezji, piękno ludzkiego ciała. Są to ogromnie trudne sprawy, które często odbierają Bogu należną Mu ludzką miłość. I stąd na długie lata zatrzymuje człowieka w jego drodze do Boga właśnie źle zorientowana miłość. Nie oddana Bogu nasza miłość. Nie oddana ludziom. Miłość zatrzymana dla siebie. Miłość siebie. Zakopane talenty.

\*

Czy jednak istnieje pokusa piękna i pokusa miłości? Wiemy tyle, że może nas odbierać Bogu samo piękno i że może nas zabierać Bogu nasza miłość do ludzi, nawet nasza miłość do Boga. Zależy od stopnia zaangażowania w egoizm. Przez egoizm rozumie się tu nastawienie na siebie, służbę sobie, często bardzo dyskretną, i zawsze odnoszenie wszystkiego do siebie. Słusznie więc Franciszek z Asyżu tak bardzo zalecał ubóstwo i zewnętrzne, i wewnętrzne, to właśnie odbieranie sobie wszystkiego ze względu na Boga, przede wszystkim odbieranie sobie samego siebie. A Ludwik Maria Grignon de Montfort radził ofiarować Bogu, porzucić w sobie nawet myśli o nagrodzie zbawienia. Aby spełniać wszystko wyłącznie dla Boga.

Bardzo prosta rada praktyczna: spełniać wszystko dla Boga i dla innych ludzi. Nic z myślą o sobie i nigdy nic dla siebie.

Dopiero przy tej postawie daje się zrealizować dobre życie, dobre małżeństwo, dobre kapłaństwo. Obawa tylko wciąż ta sama, by pod pokrywką służby innym nie szukać siebie. Albo pod pokrywką szukania Boga nie szukać ludzi i ich przyjaźni w swej ciężkiej samotności.

I często ludzie służący przez wiele lat Bogu jednak nie pogłębiają się w miłości, bo służąc nawet dobrej sprawie jako sprawie bardzo ukochanej, a więc radującej ich osobiście, służą w tym punkcie sobie. Bogu służy się tylko w ten sposób, że kocha się Boga całkowicie i nade wszystko. Nade wszystko. To jest właściwa forma służby Bogu. A kochając na przykład piękno nie oddaje się Bogu tej części miłości. Subtelny problem i bardzo trudny. Jak kochać ludzi, świat, rzeczy, siebie, by nie zabrać niczego z miłości należnej Bogu, a zgodnie z Bożym życzeniem kochać wszystko jak siebie?

Także i tu gdzieś tkwią przyczyny naszego wciąż małego wymiaru duchowego, który martwi Boga.

\*

W związku z powyższymi problemami można na przykład w następujący sposób odczytywać modlitwę „Ojcze nasz”.

Ojciec nasz jest nie z tego świata, mieszka w niebie i Jego dom jest naszym dziedzictwem, Jego sprawy naszymi sprawami. Jego imię jest pierwsze, sygnuje każde nasze działanie, firmuje nas i osłania. I nie nasze pomysły mamy realizować w świecie, lecz Boże. Nie naszą miłość, lecz Bożą. Nie dla siebie i nie w swoim imieniu. I nie powinniśmy zadomowić się na ziemi. Nie dla siebie zapełniać ziemię. Mamy zdobywać nowe tereny chwały Bożej dla Ojca. Swoje serce, swoje tęsknoty, swoją myśl mamy włączyć w Boże królestwo. W ten sposób stanie się to, czego życzy sobie Ojciec. Nie powinniśmy realizować swoich planów, lecz Boża Są one także naszymi planami. To Bóg zrealizuje je w nas, przy pomocy naszej myśli i naszej woli. Zrealizuje je w nas, na ziemi i w niebie.

Abyśmy mogli to spełnić, są nam potrzebne siły, codzienny Chleb, codzienny kontakt, codzienna konsultacja z Bogiem, nieustanne wsłuchiwanie się w myśl Bożą. Aby nie ulec własnym myślom, które nam wciąż towarzyszą i wciąż pokazują nam urok nas samych. Stąd tak blisko do zachwyty sobą i do katastrofy. Wtedy ja stanę się ośrodkiem działania. I będę służył sobie, nie Bogu. A służąc sobie, nie służę także bliźniemu. To jest wielka wina i mój grzech codzienny. Muszą go nam codziennie i bez przerwy odpuszczają nasi bracia. Grzech ten przestanie nas niszczyć, gdy odpuszczą nam bracia, a odpuszczą, gdy porzucimy służbę sobie. Służba sobie, a więc niekochanie Boga i ludzi, jest najcięższą naszą winą i źródłem zła. Wpadać w ten grzech jest tak łatwo, wyjść z niego jest trudno. Musi nas strzec sam Bóg. Musi nam pomóc sam Bóg. Sprawa zbyt trudna, byśmy sami dali sobie radę. Tak. Musi nas uwolnić od tego grzechu sam Bóg. Zbawić nas od tego zła. I prosimy, aby nas Bóg nie wprowadzał w sprawy zbyt dla nas trudne. Gdy tak się stanie, zrealizujemy wolę Bożą urzędowania w naszych duszach królestwa Bożego, w którym otrzymuje się z rąk Bożych Chleb Boży i Bożą miłość.

Wnioski końcowe rozważań o pokusie piękna i pokusie miłości.

Który uweselasz młodość, który jesteś, którego kocham. Wiaro moja, nadziejo, moja miłości. Umiłowany mój. Utracony, odnaleziona drachmo, najbliższy z przyjaciół, lzy moje, tęsknoto moja, życie moje, chwało moja. Pan mój ze mną, słowo moje, moja myśli, pragnienie moje. To, co najtrudniejsze, ukryte źródło, tajemnico. Ojcze.

## IV. Z JESUSEM UKRZYŻOWANYM

### DROGA KRZYŻOWA CHRYSTUSA PROGRAMEM NASZEGO ŻYCIA

Zaskakuje i zdumiewa fakt, że w drodze krzyżowej Chrystusa można odczytać bardzo wyraźnie także całą ascetykę, całą więc drogę krzyżową człowieka, prawdy dotyczące wychowania religijnego, po prostu sprawę uświęcenia, program i sposób życia z Bogiem.

Chrystus skazany na śmierć. Można to odczytać w ten sposób, że Chrystusowi Bóg zleca zadanie. I człowiekowi Bóg zleca sprawy do załatwienia włączając go przez chrzest do Ciała Mistycznego. Chrystus bierze zaraz krzyż na ramiona. Chrystus więc podejmuje zadanie. A potem Chrystus pod krzyżem upada.

Tych, którzy odbywają drogę krzyżową w Jerozolimie, uderza naturalna kolejność stacji. Pałac Piłata był za murami. Chrystus tam został skazany, obarczony krzyżem, i stamtąd szedł przez miasto w kierunku Kalwarii. Z terenu pałacu Chrystus przeszedł na

teren miasta przez bramę w wielkim murze, otaczającym Jerozolimę. Brama wprowadzała do miasta po kilku stopniach w dół z wyżej niż miasto położonego pałacu. I Chrystus upadł. Pociągany, popychany. Aż do tej bramy, do najdalszego punktu dostępnego dla ludzi nie związanych z pałacem Piłata, przysłała Matka. Przybiegła pocieszyć i towarzyszyć Synowi w męce. Gdy Chrystus przeszedł bramę, nastąpiło spotkanie. Matka patrzyła na pierwszy upadek pod krzyżem.

Nie umiemy załatwiać spraw Bożych. Często nie chcemy ich załatwiać. Nie umiemy spełniać prośb Boga. I w tym staje się grzech. Człowiek upada. I zaraz pojawia się Matka. Od początku drogi. I w momencie najtrudniejszym. Jest, aby pomóc powstać. Aby pomóc dźwigać. Chrystus dla nas przewidział pomoc swej Matki. Nam Ją dał pod krzyżem. I może dlatego przy swym pierwszym upadku nie przyjmuje Jej pomocy. Przyjmuje pomoc Cyrenejczyka. Przyjmuje naszą pomoc. Pomoc upadającego człowieka. Jak pomóc Ci, Panie? Jak załatwić sprawę, którą mi zleciłeś? I jaka to jest sprawa?

Chrystus daje odpowiedź w stacji Weroniki. Weronika ociera twarz Chrystusa. Umęczone, zniekształcone oblicze. Ocierając twarz zniekształconą Weronika odsłania prawdziwą twarz Chrystusa. Wiem, Panie. Odsłaniać oblicze Twoje w duszy ludzkiej. To jest ta sprawa, którą dałeś mi do załatwienia. Grzech zasłania w duszy ludzkiej Twoje oblicze. Mówisz to wyraźnie obrazem następnej stacji. Chrystus drugi raz upada. Znowu grzech. I Chrystus mówi: „Nie płaczcie nade mną, lecz nad sobą i nad innymi ludźmi”. Tym wyjaśnieniem Chrystus wciąga człowieka w swe plany. I w swą mękę.

Niewiasty płaczą smucąc się cierpieniem Chrystusa, swego znajomego, kogoś bardzo bliskiego, kochanego. Chrystus przyjmuje ten wyraz współczucia i odpowiada dopuszczeniem niewiast do spraw uświęcenia. Mękę spowodował grzech. Aby pomóc Chrystusowi, należy zmniejszać ilość grzechu. Grzech można likwidować żalem. Chrystus zachęca niewiasty, aby przeżyły żal z powodu własnych grzechów i grzechów innych ludzi. Żal przywraca obecność Boga. Żal przywróci im Chrystusa. Jest przecież znakiem miłości. Jest także jej skutkiem. Chrystus prosząc o żal za winy odwołuje się więc do miłości, którą niewiasty kierowały do Boga. Chrystus wysoko ocenia i uznaje miłość tych niewiast. Chrystus więc w każdym człowieku wysoko ocenia miłość do Boga. Może zapraszać do

żalu, ponieważ jest w człowieku miłość do Boga. To zaproszenie jest łaską żalu. I łaską miłości.

Grzech jest wydarzeniem najstraszniejszym. W Ogrójcu Chrystus przeżył mękę, którą wywołał w Nim grzech, mękę, którą grzech powinien wywołać w każdej zresztą duszy ludzkiej, kochającej Boga. Chrystus kocha Ojca. Kocha Go tak bardzo, że bierze na siebie grzechy świata, by usunąć to, co sprawia ból Ojcu. Jest niewinny i jednocześnie realnie obciążony naszymi winami. Między Ojcem i Synem w jakiś sposób stanęły grzechy. Rozdzielają. Rzucają cień na miłość, pochodzącą od Ojca i Syna. Cierpienie ponad możliwość naszego pojmowania. Chrystus jak gdyby przez grzech zostaje odsunięty od Ojca, z którym w Trójcy Świętej jest jednością. To odsunięcie sprawia mękę konania, mękę utraty miłości Bożej, utraty Ojca.

Gdybyż człowiek tak ogromnie cierpiał, gdy pojawi się grzech. Gdybyż odejście od Boga było dla człowieka cierpieniem nie do zniesienia, ponad siły.

Chrystus, właśnie udzielając łaski żalu, zaleca żal. A więc działanie, sposób powrotu do Boga razem z Bogiem. To wynika z rozmów, które Chrystus przeprowadził z niewiastami na drodze krzyżowej. Rozumiemy to zalecenie, płaczemy, powracamy. Wiemy, że liczą się powroty. Taki jest rytm dojrzewania duchowego. Ciągłe powracać. I trwać przy Bogu. Być razem. Jesteśmy. Idziemy razem. I znowu trzeci upadek pod krzyżem.

Cóż może zrobić człowiek zupełnie słaby i całkowicie niezdolny do wytrwania? Wspomóż nas, Boże! Jak odsłaniać Twoje oblicze w ludzkich duszach, skoro zniekształcone jest w mojej duszy? Nie jestem zdolny bez Ciebie nawet kroku postąpić.

Rozumiem, że mam odsłaniać Twe oblicze w swej duszy i w duszach innych ludzi. Ale wreszcie rozumiem także, że nie ja mam to robić. „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. To Ty masz odsłaniać swą twarz w mej duszy moją wolą. Ty sam. Ty bowiem dźwigasz krzyż. Cyrenejczyk tylko pomaga. Ja mam tylko pomagać. I nie mogę Cię zastąpić.

Jakże to proste, że zasadniczą pracę w człowieku wykonuje łaska. Łaski udziela sam Chrystus. Zasadniczą sprawą jest łaska w duszy ludzkiej. Wprowadzać, dopuszczać łaskę.

To jest właśnie ta sprawa, którą mam Bogu załatwić w tym życiu. I na tym chyba polega odsłanianie oblicza Bożego w duszy.

Pracą najwłaściwszą, bezpośrednim odsłanianiem najświętszej twarzy jest udzielanie łaski. Uzasadnia się tu i rysuje niezwykle mocno rola kapłaństwa. W porządku ascetyki świetne rozwiązanie trudnej sprawy pominięcia wszystkiego, co nie jest Bogiem. I pominięcia siebie. W imieniu Chrystusa udziela się sakramentów. W Jego imieniu składa się ofiarę. Nawet modlitwa jest modlitwą Kościoła, a nie osobistą sprawą kapłana. Doskonały sposób zniknięcia. „Żyję ja, już nie ja”. Jest wszędzie Chrystus. „Ja umniejszam się, On rośnie”. Boży kształt mej duszy. Aby jednak to odsłonięcie było całkowite, Chrystus prowadzi do następnej stacji.

Najtrudniejsze i prawie ponad siły jest doświadczenie odebrania czci. Wiemy, że trzeba duszę swą stracić, by ją pozyskać, to znaczy trzeba pominąć, porzucić siebie całkowicie. Któż jednak potrafi to przeżyć? Żołnierze zdierają szaty z Chrystusa. A to znaczy dla Żydów, że Chrystus zostaje pozbawiony czci. Ukochany Syn Matki wzgardzony. Sąd orzeka, że jest złoczyńcą. Sąd odbiera Chrystusowi prawa obywatelskie i odbiera Mu prawo do szacunku. Nic nie pozostało. Zerwany kontakt społeczny. Tylko najwierniejsi mimo wszystko zostają, kochając brata, nawet złoczyńcę.

Doświadczenie nie do pojęcia. Utracić cześć, szacunek, zaufanie. I zgodzić się, by na serio moi bliscy i znajomi odeszli ode mnie, ponieważ nie zasługuję na szacunek, zwykłą ludzką uwagę. I wszyscy sądzą, że rzeczywiście popełniłem zarzucane mi przestępstwa. Wszystkie okoliczności są przeciw mnie. I ja sam jestem przeciw sobie. Cierpię i nie mam możliwości zmniejszenia cierpienia. Franciszek z Asyżu nazywał to największą radością, a rozumiał przez to porzucenie siebie, odejście od siebie, zabranie zadowolenia nawet z tego, żeśmy siebie porzucili. Już wtedy nic nie zostaje. Nawet i mnie nie ma. Jest tylko wciąż miłość i Ty, mój Boże, który znasz sprawę od wewnątrz. Pozostawiasz jednak człowieka w tym opuszczeniu. Następuje przybicie do krzyża. A Ty nie dopuszczasz kochających osób. Następuje konanie na krzyżu. A Ty nie dozwalamy na doznanie współczucia. Zapytujesz tylko Ojca, dlaczego nas opuścił. Chrystus przybity do krzyża. Chrystus na krzyżu umiera.



Stacja konania na krzyżu jest stacją utraty wszystkiego. Dokonał się trud wybrania tylko Boga.

Znamy boleść, która spada na człowieka, gdy umiera ktoś najbardziej kochany. Gdy traci się rzecz ogromnej wartości. Gdy umiera Syn. Gdy Bóg opuszcza człowieka z powodu grzechu. Wali się wszystko, w co człowiek wierzył i co kochał. Zostaje pustka. Nie ma nic z tego, co człowiek posiadał. Jest tylko Bóg, który posiada człowieka.

I taki program stawia Bóg człowiekowi. Umrzeć. Odejść od wszystkiego, co człowiek kocha. Zostawić wszystko, porzucić. Aby odnaleźć Boga. Aby pozostać tylko przy Bogu. Czasem trzeba odrywać od siebie w sposób bardzo bolesny to, co się kocha. I serce krwawi, jak u Augustyna. Czasem trzeba długich lat, by umarło, uschło i odpadło z duszy, jak u Hieronima, to, czego człowiek nie chce. A czasem trzeba, jak Antoni, znosić mękę obecności tego, co nie jest Bogiem. Lub trzeba mieć tyle ufności, ile jej miał Franciszek z Asyżu, który tak bezradnie rzucił się na krzak róży, gdy nie mógł odejść od tego, co nie jest Bogiem. Bóg, wzruszony chyba jego bezradnością i bezwzględnością, odebrał, jak mówi legenda, kolce różom, rosnącym w pobliżu Porcjunkuli.

Jakże łatwe jednak mimo wszystko jest wychowanie siebie dla życia Bożego. Po prostu chcę tylko Boga. Łatwo poznaję, co mam robić i czego pragnąć. Pytam, czy ta rzecz, która staje przede mną, jest Bogiem. Nie? A więc jej nie chcę jako celu, jako najważniejszej sprawy życia. Chcę tylko Boga. Ta postawa wymaga już ogromnie mocnej miłości. I tęsknoty, która nie dopuści do rozstania. To już zresztą jest sytuacja po stacji trzeciego upadku. Tu już Chrystus umiera. Tu człowiek już stracił siebie. Już tylko jest Chrystus, który przyjął naszą miłość.

I wreszcie Matka odzyskuje Syna. Stacja zdjęcia z krzyża. Odzyskuje resztę człowieka. Do tego jedynie ma prawo. Do pamiątki po Synu. Zwłoki przecież są tylko pamiątką po człowieku. Chrystus prowadzi swą Matkę po drodze ogromnie ciężkiej. Matka także rozpoznaje swe zadanie. Staje przy Synu. Cierpi z Nim. Jest jednak jak gdyby odsunięta. I musi porzucić to, co kocha. Musi oddać Bogu swego Syna. Otrzymuje zwłoki. A całą jej miłość Syn rezerwuje dla Ojca. I Maryja idzie tą drogą, obecna przy Synu modlitwą, składaną Trójcy.

I jest przy nas. Idzie z nami po drodze krzyżowej. Jest niewiastą ze stacji płaczących niewiast. I Ją na równi z innymi, cały więc swój Kościół, Chrystus zaprosił do przeżycia żalu, przybliżającego Boga i dającego wiedzę o miłości.

My także tylko niewiele mamy prawa do tego, co nie jest Bogiem. Mamy prawo tylko zarządzać oddaną nam w opiekę Bożą własnością. Mamy tylko załatwić zleconą nam przez Boga sprawę. A dla siebie otrzymujemy zwłoki: oderwaną i martwą część serca, uschnięty przedmiot naszej miłości, jeżeli nie był Bogiem. Ze względu na Boga nie zasilaliśmy go miłością, aby całą miłość można było oddać Bogu. Zachować i oddać.

Oddanie miłości jest śmiercią, grobem, a jednocześnie zmartwychwstaniem. Nie należy zachować sobie nawet miłości do Boga. Chrystus prowadzi więc nas do stacji grobu. Oddajemy wszystko. Oddajemy Bogu nawet naszą miłość do Boga.

I w tym akcie otrzymujemy miłość. Z miłością przychodzi Bóg. I czyni mieszkanie. I zaczyna się życie. Jest ono inne, nowe, to, do którego szliśmy. „Do Boga, który uwesela młodość”.

To pełne życie jest już jednak po drugiej stronie bariery.

Życie ludzkie musi przebiegać drogą krzyżową. Nie ma innej drogi do Boga. Tą drogą szedł Chrystus i bezpośrednio z tej drogi odszedł do Ojca. Tylko więc na tej drodze ocali się miłość i doniesie do rąk Boga. Bóg ją podejmie. A po chwili ostatniej to się równa życiu chwały składanej na wieki Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu.

## Z PAŁACU PIŁATA NA SZCZYT KALWARII

Pielgrzymów odwiedzających Jerozolimę uderza fakt naturalnej kolejności stacji drogi krzyżowej. Teren jest tak ukształtowany, że Chrystus właśnie w tym miejscu musiał upaść pod krzyżem, w tym miejscu spotkać Matkę, przyjąć pomoc Cyrenejczyka. Właśnie o tej przejmującej prawdziwości zdarzeń na drodze krzyżowej pragnę opowiedzieć.

Pałac Piłata był poza murami starej Jerozolimy. Zachowały się piwnice budowli, resztki murów i dziedziniec, na którym Chrystus był biczowany i ukoronowany cierniem, jeżeli oczywiście w tym pałacu Chrystus stanął przed sądem Piłata. Piłat bowiem często przebywał w innym pałacu. W każdym razie ze wzruszeniem staliśmy na kamiennych płytach, na które mogła być spłynąć najświętsza krew. Cały pałac, jak zresztą wiele miejsc świętych w Palestynie, nakryty jest kościołem. W tym wypadku obok kościoła jest klasztor, w którym zakonnice modlą się o zmniejszenie skutków zobowiązania, podjętego kiedyś w słowach: „krew Jego na nas i na syny nasze”. W tym pałacu, w miejscu, które nazywano Litostrotos, Piłat skazał Chrystusa na ukrzyżowanie. Chrystus wziął krzyż na ramiona i rozpoczął drogę w kierunku Kalwarii.

Z terenu pałacu, przylegającego do muru, który otaczał miasto, Chrystus przechodzi na teren miasta. W bramie są stopnie w dół. Chrystus z krzyżem na ramionach upada. Brama jest wąska. Nie można więc pomóc upadającemu. Nikt zresztą nie pomaga. A w pobliżu tej bramy stoi Matka. Nadeszła od strony miasta. Bliżej nie mogła podejść. Poza bramą jest teren strzeżony, gmachy przedstawicielstwa Rzymu. Matka patrzy na pierwszy upadek pod krzyżem. A Chrystus spotyka Matkę. I to jest już stacja czwarta. Jeszcze kilka kroków i droga skręci w prawo pod górę.

Chrystus teraz po lewej stronie ma świątynię Jerozolimską i dalej Górę Oliwną, za sobą pałac Piłata, po prawej stronie Kalwarię, przed sobą górę Syjon. Chrystus skręca w prawo i z łagodnego zbocza góry Moriah wchodzi na zbocze Kalwarii. Teraz po lewej stronie jest Syjon, po prawej częściowo Litostrotos, przed Chrystusem Kalwaria, za Chrystusem świątynia i Góra Oliwna. Chrystus jest zmęczony. Upływ krwi osłabił organizm.

To zbocze Kalwarii, które Chrystus ma teraz przejść, jest wewnątrz miasta. Wąska ulica, po obu stronach domy. Ulica jest dość długa. Prowadzi w kierunku szczytu. Przebycie jej wymaga siły. Żołnierze przymuszają Cyrenejczyka, by pomógł Chrystusowi dźwigać krzyż. Na ulicy niewątpliwie nastrój wschodniego miasta. Szybko poruszają się tragarze, osiołki, dzwonki, gwar, oślepiające słońce, przekupnie, maleńkie stragany z owocami, ludzie przystają i przypatrują się orszakowi. Spośród przystających osób wysuwa

się kobieta. Podchodzi do Chrystusa i ociera Jego zakrwawioną twarz. Kobieta jest przejęta współczuciem, jest odważna.

Żołnierze nie reagują. Chrystus jest jednak ogromnie wyczerpany. Ulica jest duszna, zasłonięta, słońce praży. Chrystus upada po raz drugi. Zamieszanie, krzyk, żołnierze zapewne biją skazanego, rozpędzają gromadzący się tłum, kobiety z tobołami w ręku lub na głowie, popychane, przejęte, płaczą. Płaczą także te kobiety, wśród których znajduje się Matka. Chrystus daje znak, że już lepiej, i prosi: „nie płaczcie nade mną”.

I to zapewne tak było. Ten sam bowiem nastrój przeżywałem w Jerozolimie idąc Chrystusowym szlakiem z grupą pielgrzymów, z którymi odprawiałem drogę krzyżową. Teraz dawny pałac Piłata jest wewnątrz miasta i nie ma bramy ze schodami w miejscu, w którym Chrystus pierwszy raz upadł. Jest jednak wyraźne obniżenie terenu. A dalej za zakrętem ta sama ulica, którą szedł Chrystus na Kalwarię. Ulica wąska, pełna hałasu, duszna, dość stroma, gwarna. Trudno się mijać. Dzieci arabskie przebiegają pod nogami, trzeba przystawać. Gdy grupa odprawiająca drogę krzyżową zatrzymała się przy tak zwanym domu Weroniki, zgromadził się tłum ciekawych. Arabowie zresztą towarzyszyli nam cały czas. Szli z nami starsi i młodzi. Szli zapewne podobnie w czasach Chrystusa. A Chrystus znowu upadł pod krzyżem. To już trzeci upadek i stacja dziewiąta.

Upadek nastąpił znowu koło bramy. Brama dość mała i niska. Można ją oglądać w klasztorным kościele, który nakrywa ją i ratuje przed zniszczeniem. Może przez nią przejść jednocześnie tylko dwu ludzi. A więc konieczność przepychania się, gdy grupa jest większa, a tym bardziej, gdy prowadzi się skazańca. Chrystus wyczerpany, popychany, upadł. I wreszcie odcinek drogi najtrudniejszy: poprzez bramę Chrystus wychodzi poza mury Jerozolimy. Serpentyna prowadzi na dość stromy szczyt Kalwarii. Chrystus doszedł. Żołnierze zdzierają szaty, przybijają Chrystusa do krzyża, podnoszą krzyż. Chrystus po długim konaniu umiera. Przyjaciele zdejmują ciało. Matka opatruje je na ostatnią drogę. I pogrzeb. Po drugiej stronie góry jest grób w skale. Przyjaciele składają tam ciało Chrystusa.

Szczyt Kalwarii nakryty jest także kościołem. Bazyliką Grobu. Posadzka bazyliki znajduje się na wysokości grobu. Wszedłszy jednak do bazyliki idzie się najpierw po

schodach w prawo i w górę na szczyt Kalwarii, ujęty w dwie kaplice: kaplicę przybicia do krzyża i kaplicę krzyża podniesionego. Na ścianach mozaiki, w kaplicy pielgrzymi, skupienie, modlitwa. Podchodzi się do ołtarza, by u jego stóp ucałować nakryte szkłem miejsce, na którym stał krzyż. Potem schodzi się po innych schodach jakieś trzy metry w dół na poziom bazyliki, do miejsca, w którym Matce oddano zwłoki Syna. I przechodzi się do kaplicy grobu. W środku okrągłej bazyliki stoi osobna, marmurowa kaplica, nakrywająca miejsce grobu Chrystusa. Pielgrzymi wchodzą kolejno, by ucałować grobowy kamień.

Droga krzyżowa właściwie skończona. Myśl jednak wciąż jeszcze biegnie do przyczyn tego wyniszczenia, które spowodowało, że tak ciężka była ta droga dla Chrystusa. Zaczęło się zresztą wszystko w Ogrójcu. Męka refleksji i podjęcia decyzji. Ogród u stóp Góry Oliwnej, potem aresztowanie i droga do pałacu Annasza po kamienistym zboczu góry w dół aż do potoku Cedron w dolinie Jozafata, i znowu wspinanie się na strome zbocze po przeciwnej stronie potoku. Droga ogromnie trudna, miejscami zupełnie stroma. Kamienie ranią stopy i kolana. I wreszcie schody. W pobliżu pałacu Annasza zachowały się do dzisiaj fragmenty kamiennych schodów, jedynych, które prowadziły w tym miejscu z domu Annasza ku miastu. Po tych schodach szedł Chrystus. Nie było innej drogi. W kościele, zbudowanym na miejscu pałacu, piwnice, w których spędził noc Chrystus. Zimna skała, wilgotne ściany. Potem Kajfasz i Piłat. Potem Herod i znowu Piłat. Ubiczowanie. Upał. I wreszcie wzięcie krzyża na ramiona, droga na Kalwarię i śmierć.

Jezu Chryste, nie mogę zapomnieć drogi krzyżowej, którą odbywałem w Jerozolimie. Daj ludziom umiejętność wyboru Twojej drogi do Boga, drogi krzyżowej.

## V. Z MATKĄ ŁASKI BOŻEJ

### CIERPIENIE MARYI W RADOSNEJ TAJEMNICY ZWIASTOWANIA

Tajemnice radosne w życiu Maryi, to tyle, co zdarzenia radosne. Były to zdarzenia wyraźne, lecz tak dalece obejmujące przeszłość i przyszłość świata, że często prawie niejasne. Były zrozumiałe, lecz jak gdyby niepojęte. Były więc tajemnicze. Radosne, tajemnicze zdarzenia.

Już pierwsze tajemnice Maryi, radosne dla Boga i świata, radujące też Jej duszę zakochaną w Bogu, przyniosły cierpienie. Żeby jednak zrozumieć cierpienie Maryi z okazji zwiastowania, trzeba zwrócić uwagę na fakt, że miłość Maryi była całkowicie zwrócona do Boga. Maryja w sposób pełny i całkowicie, nade wszystko kochała Boga.

Pragnę w krótkiej refleksji najpierw dotrzeć do kilku cech duchowości Maryi. Dzięki temu stanie się zrozumiałe cierpienie zwiastowania. To nie będą rzeczy nowe, lecz takie, które wciąż zdumiewają. Zdumiewają tym, że są w Maryi i że w swoistej formie mogą być w każdym w nas. Maryję doprowadziły do wielkiej świętości i nas mogłyby tam doprowadzić.

Maryja była pełna łaski. Wyjawiał to Jej i nam anioł, zwiastujący w imieniu Boga narodzenie Chrystusa. Dzięki tej pełni Maryja jasno widziała nieskończoną wartość Boga i nieskończenie mniejszą wartość wszystkich rzeczy tego świata. Była wolna i mogła, jak

kiedyś aniołowie, nie wybrać Boga. Aniołowie też widzieli nieskończoną wartość Boga, ale podziwiali raczej siebie i zostali przy sobie. Ewa także nie miała grzechu pierworodnego, a jednak Ewa wybrała swoje zdanie. Maryja wybrała zdanie Boga. Przewyższała wprawdzie Ewę pełnią łaski, ale też była wolna. Maryja wybrała przy zwiastowaniu zdanie Boga, ponieważ już od dawna Bóg był Jej najważniejszą sprawą, Jej miłością.

Można tu mówić z zachwytem o wartości posłuszeństwa, które jest zawsze skutkiem miłości, wyborem tego, czego życzy sobie osoba kochana. Maryja miłująca Boga wybierała to, czego życzył sobie Bóg. Posłuszeństwo Maryi było doskonałe, ponieważ Jej miłość była doskonała. Doskonała, to znaczy pełna. Całkowicie wypełniał Ją Bóg. Była pełna tęsknoty do Boga, myśli o Bogu, pracy dla Boga.

Zdumiewa i budzi podziw w życiu Maryi tajemnica Jej wyboru Boga. Maryja wybrała Boga. Była wolna, mogła ukochać cokolwiek, jak my biedni i mylący się to robimy, a ukochała nade wszystko Boga.

Maryja wybrała Boga, a tym samym z ascetycznego punktu widzenia pominęła wszystko inne, wszystkie dobra, które potem w Bogu odnalazła. Porzuciła je, to znaczy nie zabierała ich sobie. Dla siebie zarezerwowała tylko Boga. Uzyskała przez to stan zdumiewająco pełnego wewnętrznego ubóstwa. Tylko i nade wszystko Bóg. I natychmiast w tym fakcie zaistniało Jej dziewictwo. Maryja dostrzegła konsekwencje ofiarowania Bogu całej swej osoby. Ofiarowała duszę i ciało. Dokonała wyboru dziewictwa. Wybierając Boga, tym samym decydując wierność, Maryja złożyła przyrzeczenie czystości. Oddając Bogu siebie całkowicie z duszą i ciałem, wybrała całkowitą czystość, którą nazywamy dziewictwem, tak bardzo powiązany z wyborem całkowitego wewnętrznego ubóstwa.

Maryja więc szła do Boga drogą całkowitego wewnętrznego ubóstwa, a stąd drogą najdoskonalszej czystości, która pojawiła się w Niej w momencie umiłowania Boga nade wszystko i wyłącznie. I gdy wzrastała w Maryi miłość do Boga, wzrastała też czystość, jako wybór Boga, to ascetyczne odejście od wszystkiego, co nie jest Bogiem. Powtórzmy raz jeszcze, że wewnętrzne ubóstwo Maryi było porzuceniem wszystkiego dla Boga, Jej czystość była wyborem Boga, posłuszeństwo było racją zrealizowania ubóstwa i czystości, a wypłynęło z miłości do Boga. Miłość Boża rodzi bowiem w duszy ludzkiej

posłuszeństwo, czyli zgodę na życzenia Boże, które prowadzą do wyboru Boga. Ten wybór wyraża się pozytywnie w czystości i negatywnie w pominięciu, porzuceniu wszystkiego oprócz Boga. To porzucenie nazywamy właśnie ubóstwem, które jest jednocześnie odzyskaniem wszystkiego w Bogu, ale już nie jako własności, lecz tylko jako rzeczy miłowanej w miłości Bożej i w Bożym bycie. Im pełniejsze jest porzucenie rzeczy dla Boga, tym pełniejsze jest odzyskanie ich w Bogu. Bóg kochający człowieka sprawia, że człowiek kochający Boga kocha to, co kocha Bóg, a więc kocha siebie i ludzi, wszystkie rzeczy i świat, wszystko to, co odnajduje w Bogu. Kocha jako coś, co nie jest mu podporządkowane, lecz na życzenie Boże jest celem jego starań i troski.

Widząc i uznając czynem najwyższą wartość Boga, Maryja widziała swą nieskończenie mniejszą wartość. Tym faktem odsłaniała swą pokorę. Bóg przeogromnie święty i ja przeogromnie niedoskonały. Świętość i miłość rośnie w człowieku na miarę jego pokory, jego pochylenia się przed doskonałością Boga.

Maryja, jak pisze Guitton, tak dalece nie ceniła siebie, że może zrezygnowała z małżeństwa właśnie dlatego, aby nie wyrażać w żaden sposób jakiegoś swego prawa z racji pokolenia Dawidowego do zrodzenia Mesjasza. I może ze względu na to, jak pisze dalej Guitton, Bóg wejrzał na niskość służebnicy swojej. W każdym razie „anioł zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego”.

Droga do „fiat” była jeszcze daleka.

Jakże głęboko prawdziwa, autentyczna, naturalna była pokora Maryi, skoro w pozdrowieniu anielskim, w którym Bóg przez anioła wyrażał podziw dla duchowej sytuacji Maryi mówiąc „łaski pełna”, Maryja nie zareagowała na te słowa, to znaczy nie pomyślała o sobie, lecz o Bogu. Pomyślała najpierw o Bogu, o tym, że może będzie musiała dzielić miłość do Boga między syna i męża. Oddana Bogu przez całkowite wewnętrzne wybranie tylko Boga, bała się o Boga, bała się jakiegoś umniejszenia miłości przez kierowanie jej gdzie indziej. „Jak to się stanie?” Zamierzałam nie mieć męża.

Tu gdzieś pojawiło się pierwsze cierpienie Maryi. Jeszcze zupełnie zakryte, z perspektywą nadziei, lecz jakże jednak bolesne. Bóg, do którego jedynie tęskni Maryja, kieruje Jej uwagę na inne sprawy, jak gdyby odwraca od siebie. Maryja jednak rozumie w



lot sytuację. Jej Syn będzie Chrystusem, a jest Synem Bożym. Miłość zostaje przy Bogu. Cierpienie zmalowało.

Jednocześnie zaczęło się inne cierpienie Maryi. Maryja była już małżonką Józefa przez fakt uroczystych zaręczyn i zanim jeszcze zamieszkała w jego domu. Zdecydowała się na to małżeństwo, aby swoją miłość, ofiarowaną Bogu, ochronić i uratować dla Boga pod opieką Józefa w małżeństwie realizującym dziewictwo. Maryja inaczej nie mogła postąpić. Całkowicie przyłgnęła do Boga. Wszystko oddała Bogu. Nie chciała już i nie mogła wziąć dla siebie żadnej radości. Józef to zrozumiał. Otoczył Ją opieką. Przyjmując za małżonkę pomógł Maryi ukryć przed ludźmi Jej wyjątkowy sposób porzucenia siebie i wyboru Boga. Maryja spełniła przepisy prawa, a na mocy umowy z Józefem z motywów ostatecznie w pełni znanych tylko Bogu nie korzystała z uprawnień małżonki. I wtedy anioł zwiastował Jej wcielenie Syna Bożego. Maryja zrozumiała, że Jej miłość do Boga nie jest zagrożona. Przyjście Boga do człowieka jest doskonaleniem duszy ludzkiej i nadprzyrodzonej w człowieku miłości do Boga. Ale przyjście Boga do duszy Maryi miało być jednocześnie wcieleniem Chrystusa. I Maryja pomyślała o Józefie. Jednocześnie zaufała Bogu całkowicie. Odpowiedziała przez anioła: „Jestem służebnicą Boga, niech mi się stanie według słowa twego”.

Maryja poszła do Elżbiety, której oczekiwany syn był znakiem prawdziwości zwiastowania. A gdy wróciła z Ain Karim do Nazaretu, Józef cierpiał. Maryja także cierpiała, gdyż zadawała ból Józefowi nie mówiąc mu nic o zwiastowaniu i wcieleniu. Nie umiała tego powiedzieć. Zresztą postąpiła słusznie. Czyż sama mogła to wyjaśnić? Na co się powołać? Na prywatne widzenie? Józef zamierza Maryję porzucić, ponieważ z jednej strony prawo Mojżeszowe nie pozwala mu ukryć faktu, że syn jego żony nie jest jego synem, a z drugiej strony Józef nie chce ujawniać sprawy i oskarżyć Maryi. Jest czuły, delikatny, sprawiedliwy. Chce po prostu odejść ze swoim cierpieniem. Maryja wie o tym. Myśli o Józefie, o jego zmartwieniu, o jego bólu. Józef nie podejrzewa Maryi. Nie umie tylko zrozumieć sytuacji. Maryja jest niezrozumiana przez najbliższego człowieka. Tak bardzo wewnątrz czysta i pełna Boga, delikatna, o najwyższej klasie religijnej refleksji,

bardzo rozumna, roztropna, święta. Samotna. Niewinna. Biedactwo. I ma dopiero piętnaście lat.

Bóg wyjaśnia Józefowi całą sprawę. Józef wie o obecności Boga pod dachem swego domu. Adoruje Ciało i Krew Pańską, Boga-Człowieka, zapłatę odkupienia.

Ile jednak współczucia budzi w nas dola Matki Syna Bożego, nieśmiałej dziewczyny, już w pełni świętej, umiłowanej przez Trójcę Świętą. Tyle cierpienia w radosnej sprawie zwiastowania. Tyle cierpienia już u początku pełnego cierpień życia.

Zwiastowanie jako tajemnica naszego połączenia z Bogiem

W tajemnicach wiary, które inaczej możemy nazwać faktami religijnymi, oprócz nadprzyrodzonego zdarzenia zawiera się także duży ładunek wskazań, jak należy zbliżyć się do Boga. Pismo św. bowiem, które informuje o dziejach zbawienia, podaje zarówno wiecznie aktualne fakty przychodzenia Boga do dusz ludzkich, jak i pouczenie Boga, co czynić, aby miłość ludzka była w stanie przyjąć dar miłości Boga.

Zwiastowanie jest tajemnicą wcielenia Boga w osobie Syna Bożego. Jest tajemnicą i faktem połączenia natury ludzkiej i natury Boskiej w jednej osobie Chrystusa, który razem z osobą Ojca i osobą Ducha Świętego stanowi jednego, wiecznego i prawdziwego Boga.

Zwiastowanie jest jednak także tajemnicą i swoistym wzorem naszego połączenia z Bogiem. Pytanie bowiem Maryi, skierowane do anioła, który przekazał prośbę Boga o zgodę na wcielenie Chrystusa, jest także naszym pytaniem. „Jak to się stanie”, że Bóg będzie obecny w osobie ludzkiej? W jaki sposób zrealizuje się ten przedziwny fakt, że w duszy ludzkiej zamieszka Bóg?

Podjmy w tajemnicy zwiastowania ten właśnie aspekt pouczenia o przyjściu Boga do duszy ludzkiej.

Przyjście Boga do osoby ludzkiej, zamieszkanie w nas Boga, jest życiem religijnym. Co więc należy czynić, aby dar zamieszkania w nas Boga, aby życie religijne było pogłębianiem naszego udziału w wewnętrznym życiu Boga, aby było wzrastaniem przyjaźni między człowiekiem i Bogiem?

Zwiastowanie — powtórzmy — jest faktem realnego przyjścia Boga na ziemię w osobie Chrystusa i jest faktem przyjścia Boga do oczekującej Go duszy ludzkiej. Jest także

początkiem wzrastania pełnej obecności Boga wśród nas aż do epifanii w Jego ludzkim narodzeniu i tej epifanii, która jest oglądaniem Boga „twarzą w twarz”. Ze względu na to oczekiwanie pełnego przyjścia Boga Zwiastowanie kojarzy liturgię adwentu, czyli przepowiadanie znaków przyjścia Pana. Więc przyjdź, Panie Jezu!

„Jak to się stanie?” Co czynić, abyś przyszedł?

Liturgia drugiej niedzieli adwentu przynosi teksty, które mogą nam wskazać kierunek szukania odpowiedzi na pytanie „jak to się stanie”.

Pierwszą informację podaje tekst Ewangelii według św. Mateusza (3, 1—12): „Nawróćcie się, bo bliskie jest królestwo niebieskie”. Bóg więc przyjdzie do duszy ludzkiej, chce w nas zamieszkać, spodziewa się naszego oczekiwania, właśnie „bliskie jest królestwo niebieskie”. Stanie się to wszystko pod warunkiem, że dokona się w nas nawrócenie.

W starym tłumaczeniu zamiast „nawróćcie się” czytaliśmy „pokutujcie”. A. Ricciotti w książce *Życie Jezusa Chrystusa* wyjaśnia, że „słowa: «Pokutę czyńcie!» oznaczały ... «zmieńcie sposób myślenia». ... Tekst grecki podaje słowo «metanoete» czyli «zmieńcie myśl». Po hebrajsku używało się słowa „shub”, co znaczy „powróćcie” ze złej drogi na drogę właściwą.

Nawrócić się, to zmienić myślenie, zmienić postawę wobec Boga i wobec ludzi. Takie rozumienie nawrócenia podsuwa w liturgii drugiej niedzieli adwentu także tekst listu św. Pawła Apostoła do Rzymian (15, 4-9):

„Z taką ... dobrocią przygarniajcie siebie nawzajem, z jaką Chrystus przygarnął was — ku chwale Boga”. Zmienić myślenie, nawrócić się, to podjąć nasze relacje z Chrystusem. Ma to być nie tylko hołd, podziw, wdzięczność, ma to być podjęcie przygarnięcia nas przez Chrystusa. Ma to więc być osobowa relacja z Chrystusem, a przez Chrystusa z Bogiem.

Ta osobowa relacja z Bogiem, nasze właściwe życie religijne, nawrócenie, przygarnięcie nas przez Chrystusa staje się, gdy skierujemy do Boga miłość. Skierowanie do Boga miłości, to uzyskanie takiej postawy, którą można wyrazić w zdaniu: „nie mogę już żyć bez Ciebie”. Boże, nie mogę już żyć bez Ciebie! Tak właśnie określił nasz wybór

Boga Michael de Certeau („Znak” 208, 1971, s. 1415). Zmieniło się nasze myślenie, zmieniła się relacja z Bogiem: Bóg stał się dla nas koniecznością. Stanowimy z Bogiem wspólnotę osób dzięki naszemu udziałowi w wewnętrznym życiu Boga, dzięki uzgodnieniu naszych pragnień z życzeniem Boga, dzięki pełnemu otwarciu siebie dla przyjścia realnej obecności Boga w naszej duszy.

W obręb naszej wspólnoty z Bogiem wchodzi także inne osoby ludzkie. Św. Paweł zresztą zachęca: „przygarniajcie siebie nawzajem ... z taką dobrocią ... z jaką Chrystus przygarnął was ku chwale Boga”. Miarą więc naszego otwarcia wobec ludzi, ich przygarnięcia, jest dobroć. Można nawet powiedzieć, że dobroć jest właśnie tym otwarciem się na ludzi. Tak zresztą określił to Bóg także w innych miejscach Pisma świętego: „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnie uczyniliście”. Co uczyniliśmy? Jak się to staje, to właśnie czynienie dobroci? I Chrystus wyjaśnia: byłem głodny, spragniony, chory, smutny, biedny, oskarżony, a poratowaliście mnie.

Gdy to wszystko wykonamy, wtedy — jak dowiadujemy się z pierwszego czytania Proroctwa Izajasza (11, 1—10) na drugą niedzielę adwentu — „w ów dzień ... kraj się napełnił znajomością Pana”. Znaczy to przecież, że wspólnota ludzi będzie powiązana z Chrystusem. Znajomość Pana jest bowiem zmianą myślenia, przygarnięciem nas przez Chrystusa i relacją dobroci z ludźmi. Będziemy powiązani z Chrystusem, na którym spocznie „Duch Pana, duch mądrości i rozumu, duch rady i męstwa, duch wiedzy i bo jaźni Pana”.

Chrystus mieszka w nas, a więc i na nas poprzez Chrystusa spocznie Duch Święty. On dokona naszego pełnego nawrócenia, przekształci nasze myślenie, uczyni obecność w nas Boga naszym religijnym życiem, sprawi, że będziemy reagowali dobrocią na biednych, chorych, głodnych, spragnionych, smutnych, oskarżonych, wątpiących. Posyłany do nas przez Ojca i Syna spowoduje, że Bóg będzie dla nas życiową koniecznością, że z całą odpowiedzialnością i nadzieją wypowiemy modlitewne zdanie: nie mogę już żyć bez Ciebie. Boże, nie mogę już żyć bez Ciebie! Więc przyjdź, Panie Jezu!

Taka postawa i taka relacja z Bogiem wyznaczają naszą pełną modlitwę, która jest kontemplacją, czyli przeżyciem obecności w nas Boga na taką miarę, że nasze życie nie jest

już możliwe poza powiązaniem z Bogiem, czyli poza tym przygarnięciem nas przez Chrystusa i poza pełnymi dobroci relacjami z ludźmi.

To, że nie możemy już żyć bez Boga, jest swoistym zranieniem naszej duszy miłością. Dusza ludzka jest zraniona miłością Bożą obecną w nas przez Ducha Świętego.

I właśnie chodzi o to, abyśmy byli zranieni miłością Chrystusową. „Jak to się stanie?” Duch Święty to sprawi, gdy zmienimy myślenie, gdy w osobowych relacjach z Bogiem poprzez umiłowanie Chrystusa przygarniemy w dobroci biednych, głodnych, chorych, smutnych, wątpiących, gdy Chrystus nas przygarnie, aby „kraj się napełnił znajomością Pana” ku chwale Boga.

Omówione tu teksty liturgiczne z drugiej niedzieli adwentu zawierają więc odpowiedź na pytanie, które stawia przed nami tajemnica Zwiastowania: „jak to się stanie?” Jak to się stanie, że Bóg będzie obecny w osobie ludzkiej? W jaki sposób zrealizuje się ten przedziwny fakt, że w duszy ludzkiej zamieszka Bóg?

Tajemnica Zwiastowania ucząc nas myślenia na temat przyjścia Boga do duszy ludzkiej wywołuje też nadzieję i prośbę: przyjdź, Panie Jezu!

### SYN WYCHOWUJE MATKĘ PEŁNĄ ŁASKI

Syn najpierw daje Matce nieporównane szanse w życiu nadprzyrodzonym: miłość zawsze zwróconą do Boga i człowieczeństwo bez skłonności do grzechu, i bez grzechu. Stąd intelekt Matki, pełnej łaski, jakże jest wrażliwy na prawdę i jakże doskonała jest w niej umiejętność rozumienia spraw Boskich.

Gdy przyszedł anioł i zwiastował prośbę Boga, Matka przeżyła niepokój: czyż mam dzielić się z mężem i Synem miłością oddaną Bogu?

Jakże Maryja jest już zaprzyjaźniona z Bogiem, skoro martwiła się sprawami odkupienia i sprawą wiernej miłości. Pragnęła odkupienia, ale pragnęła też spełnienia swej ofiary: zupełnego oddania siebie Bogu przez dziewictwo ciała i duszy. Konflikt nie

zaistniał. Duch Święty to sprawił. Syn Maryi był jednocześnie Bogiem. Matka nie musiała dzielić miłości.

Często jest problemem dla matek kochanie całym sercem syna i kochanie całym sercem Boga. W jaki sposób kochając najbardziej Boga nie ukrzywdzić syna mniejszą ilością miłości i kochając bardziej syna nie ukrzywdzić Boga, ukochanego nade wszystko. Syn Maryi był jednocześnie człowiekiem i Bogiem. Mogła w pełni kochać Boga i swego Syna.

Ogromnie troskliwie Syn wyróżnił Matkę. Zabierał całą Jej miłość. Jako człowiek i jako Bóg.

A potem Syn zwrócił Matce uwagę, że pierwsze dla Niego są sprawy Ojca. Matka zrozumiała aluzję i zachowała w sercu. Po jakimś czasie dodał też, że sam zdecyduje, kiedy uczynić cud przemiany wina. Matka dostrzegła, że ważniejsza jest inna kolejność Jej powiązań z Synem: to jest Bóg i Syn, a nie Syn i Bóg. Kierowała swe myśli bardziej do Boga niż do Syna.

Przybiegła podczas drogi krzyżowej aż pod pałac Piłata. Znowu do Syna. Chrystus wtedy upadł pierwszy raz pod krzyżem. Nie przyjął jednak pomocy Matki, przyjął pomoc Cyrenejczyka. Matka została wśród płaczących niewiast. Chrystus wyjaśnił niewiastom, że powinny płakać nad sobą i innymi ludźmi. Płacz jest znakiem żalu z powodu cierpień Chrystusa, jest miłością przywracającą Chrystusa duszy ludzkiej i światu. Chrystus cierpiał z powodu grzechów ludzkich. Żal za grzechy własne i grzechy innych ludzi zmniejsza mękę Chrystusa. Matka więc płakała z powodu grzechów innych ludzi i zmniejszała cierpienia Syna. Miłość przywraca Boga. Matka kochająca Boga przywracała Syna Ojcu i Ojca Synowi, których rozdzielał grzech ludzki. Rozdzielanie było cierpieniem dla Syna i Matki.

Syn coraz bardziej przesuwiał miłość Matki w kierunku Ojca. Mówił: nie ja jestem Synem. Oto syn Twój. Odrywał miłość Matki od siebie, od Syna. I całą tę miłość kierował do Boga.

Gdy umarł na krzyżu, Matka otrzymała zwłoki. Otrzymała tylko pamiątkę po Synu: umęczone ciało.

Całego Syna otrzymał Bóg. Matka biegła więc tęsknotą do Syna, który jest z Ojcem. I znowu ogromnie troskliwie Syn wyróżnił Matkę: kochała Boga, który jednocześnie był Jej Synem.

Syn nauczył Matkę kochać Boga nade wszystko, bardziej niż własnego Syna. Z jednej strony nauka była łatwa, ponieważ Syn był Bogiem, z drugiej strony była trudna, ponieważ trzeba było ukochać Boga-Syna bardziej niż Syna-Boga.

O miłość Boga nade wszystko prosimy Cię, Matko.

### MARYJA KSZTAŁTUJE W NAS CHRYSTUSA

Bóg jest aktualnie w pełni doskonały i dlatego jest wieczną terażniejszością. Jeżeli raz coś zdecydował, bez przerwy i bez zmiany jest temu wierny. Zawsze to samo aktualnie, właśnie teraz realizuje. Jeżeli Bóg przez Matkę wszedł w ludzkość, bez przerwy w ludzkość tą drogą wchodzi. Jeżeli Duch Święty ukształtował dla nas Chrystusa w Maryi, to i teraz w sensie religijnym kształtuje Chrystusa w nas także przez Maryję, poprzez Jej osobę. Bóg przychodzi do nas tą właśnie drogą. To jest droga zasadnicza, ustanowiona w decyzji wcielenia.

Ze zwykłej psychologii kontaktów wiemy, że gdy prosi nas o coś narzeczona czy żona, najbliższy przyjaciel czy matka, zawsze spełniamy prośbę. Gdy Matka Boga prosi, aby Syn przyszedł do nas, Syn przychodzi. Gdy prosi, aby Syn dał więcej łaski polecanemu człowiekowi, Syn spełnia prośbę. Ludzie o tym wiedzą i bardziej ufają prośbom Maryi, kierowanym do Boga w naszym imieniu, niż swoim własnym prośbom przedstawianym Bogu. Ufają, że Maryja wprowadzi w ich dusze Chrystusa, że rzeczywiście i lepiej niż oni urządzi w naszej duszy mieszkanie Boga. Matka, która jest umiłowana przez Boga, która nie myśli o sobie, lecz o Synu, która milczy, oddając na zawsze głos Synowi.

Samo przecież słowo „Matka” z natury swej wskazuje na Syna, sygnalizuje Syna, kieruje do Niego.

Bóg w pełni doskonały wybrał Maryję i umiłował. W swym Synu stał się człowiekiem. Jest powiązany z Maryją. Z Synem i Duchem Świętym przebywa w Maryi. Maryja bowiem w sposób najdoskonalszy, ponieważ jest pełna łaski, ukochała Syna. A Syn mówił: „Kto mnie umiłuje i Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy”. Bóg z Synem i Duchem Świętym przebywa więc w Maryi. Maryja bowiem umiłowała Syna. Dzięki Matce odległy i niepojęty Bóg staje się bliski i zrozumiały. Dzięki Matce w ogóle jest wśród nas jako Syn Człowieczy.

Maryja jest przykładem tego, jak Bóg kontaktuje się z człowiekiem. Bóg przychodzi, jest w człowieku realnie obecny. Można Go kochać jak najbliższą osobę.

Słowa „Ona zetrze głowę twoją” zwracają uwagę na kompetencje Maryi jako wodza w walce z duchem złym. Nie dziwią więc miłe przypuszczenia św. Ludwika Grignon de Montfort, że św. Michał Archanioł jest wciąż u boku Maryi i czeka na Jej skinienie, by nieść pomoc tam, gdzie Maryja chce jej udzielić. Maryja jest wodzem w walce o królestwo Boże. A św. Michał, wódz zastępów anielskich, służy Bogu, służąc Pośrednicze łask.

Celem życia człowieka i celem świata jest chwała Boża. Wielka jest wartość, wielka sława tej chwały, którą otrzymuje Bóg w fakcie wewnętrznego ukształtowania się człowieka na wzór Syna, gdy „żyją ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”.

Kto wie lepiej niż Matka, jaki jest Syn? Zrealizowanie więc celu życia, ukształtowanie w sobie Chrystusa, nie jest prawie możliwe bez porad Matki. Zaufanie Jej, powierzenie Jej kierowania procesem wewnętrznego doskonalenia się człowieka jest powierzeniem się dobremu i kompetentnemu kierownikowi.

Duch Święty w Maryi kształtuje Chrystusa. Duch Święty w Maryi w sensie religijnym przekształca nas w Chrystusa. Właściwie więc nie można sobie wyobrazić życia religijnego bez Matki Boskiej. Po wcieleniu Bóg przez Matkę przychodzi do człowieka. Przez Nią rozdaje łaski. Przez Maryję jest w nas obecny. Zwiększanie więc swoich kontaktów z Maryją jest zwiększaniem szans uświęcenia.

Powtórzmy: Matka może najlepiej ukształtować w nas Syna, urządzić Go w naszej duszy. Zna Go bowiem najlepiej. Może nas też bronić przed duchem złym, z którym prowadzi walkę o naszą duszę. Jakże to wszystko w planie Bożym zdumiewająco



pomyślane. A Bóg jest nawet zobowiązany wobec nas, skoro jest zobowiązany wobec Matki. Ze względu na Nią nas uświęca.

Możemy bez obaw, ufając Matce, załatwiać tysiące różnych spraw tego świata. Ona w tym czasie i bez przerwy urządza w nas mieszkanie Boże, mieszkanie, którym my jesteśmy, przekształceni w Chrystusa.

Maryja wciąż zwraca naszą uwagę na Trójcę Świętą. Dzięki Maryi Trójca Święta jest sprawą zrozumiałą i bliską. Ojciec wybrał Matkę. Duch Święty ukształtował w Niej Chrystusa. Syn Boży został Jej Synem. Z Maryją przychodzi Chrystus, Maryja jest pełna łask, pełna Boga. I właśnie z Maryją przychodzi cała problematyka chrystologiczna. Im więcej w świecie Maryi, tym więcej Boga. Gdy front maryjny jest prawdziwie religijny i silny, silny też jest front Chrystusa.

Ufam o. M. Kolbe, który chciał cały świat przybliżyć do Boga przez przybliżenie człowieka do Matki Boskiej. Rozumiem pomysł. Do każdego domu wchodzi się przez drzwi. Do Boga też przychodzi się przez „Bramę niebieską”.

Maryjo, tęsknoto nasza do Boga, wzruszenie nasze, wzorze, tak bliska Trójcy Świętej, umiłowana, pełna łaski, która przynosisz ludziom miłość Chrystusową, która podnosisz naszą miłość aż ku Duchowi Świętemu, płacząca, pełna troski o moją duszę, o naszą świętość, o chwałę Bożą, aby nas Bóg wydzwignął, przeniósł w swoje serce, w swoją miłość, abyśmy stali się narzędziami Chrystusowych działań, Jego własnością, oddaj nas Bogu swymi rękami, Bożą rzecz i Twoją, ku Tobie kierujących oczy i duszę. Abyśmy Ojcu, Synowi i Duchowi przez Ciebie oddali chwałę, abyśmy ukochali Boga nade wszystko, miłość Twoją i naszą, tęsknotę Twojej i naszej duszy, abyśmy za grzechy wynagradzali miłością, abyśmy modlitwą ratowali ludzi, naszych braci, abyśmy umieli przebłagać za tych, których zgorszyliśmy, których przez zaniedbanie nie przybliżyliśmy do Boga. Uratuj ich, Gwiazdo mórz. Uratuj nas! Abyśmy umieli przeżyć żal, który da nam Boga, abyśmy zasłużyli na trwanie przy Tobie, dla Ciebie i przez Ciebie w Bogu. Nasza Matko.

## CODZIENNE ŻYCIE W DOMU JÓZEFA I MARYI

Wzorem naszego życia, naszego zachowania się i postępowania, naszych dążeń i realizacji jest Chrystus. Zawsze Chrystus. Jest także wzorem naszego życia w rodzinie. Chrystus w swojej rodzinie. Chrystus wobec swej Matki, Chrystus wobec przybranego ojca, Chrystus wobec swej babki Anny.

W jaki sposób Anna brała udział w życiu świętej Rodziny z Nazaret? I w jaki sposób uczestniczyła w tym życiu matka Józefa? Obie zakładały dom świętej Rodziny. Kołysały Jezusa. Pomagały swej młodej córce – synowej prać białiznę. Uczyły Ją gotować i troszczyć się o dom, męża i Dziecko. I uczyły Ją modlitwy.

Elżbieta, ciotka Maryi, wiedziała, że jej kuzynka, żona Józefa, jest matką Chrystusa, Syna Bożego. Wiedziała o zwiastowaniu. Wiedziała zapewne po narodzeniu Chrystusa także o wszystkim Anna, matka Maryi, i wiedziała o wszystkim matka Józefa. Wiedział o tym Józef. Cała rodzina знаła sprawę obecności Boga w ich domu. Patrzyli na Synka Maryi — Boga, który biegał za piłką, nosił wodę z Matką, płakał przy myciu, jadł z apetytem obiad, odpoczywał, pracował, modlił się. Z Jezusem rozmawiała Matka, Józef, babka, koledzy, ciotka Elżbieta. Modlili się, rozmawiając z Jezusem. Rozmowa z Jezusem jest bowiem zawsze modlitwą, ponieważ jest rozmową z Bogiem.

A teraz uwaga! Stwierdzam rzecz zasadniczą: obecność Boga i modlitwa montowały nastrój świętej Rodziny. Te dwie sprawy organizowały całe jej życie, budowały jej szczęście. Obecny Bóg i modlitwa.

Każdy ojciec rodziny, matka i dzieci, jeżeli chcą tworzyć dobrą rodzinę, muszą pamiętać, że Bóg jest obecny w każdym z nas na mocy chrztu, a poza tym jest obecny tam, gdzie trzech zebrało się w imię Jego. Rodzina na mocy sakramentu małżeństwa jest specjalnie zespołem osób, zebranych w imię Boże.

Czy można wyobrazić sobie świętą Annę, która by nie pomagała córce w pracy i nie rozmawiała z Nią O Bogu, obecnym z nimi w osobie Chrystusa? Czy można wyobrazić sobie Józefa, który by dokuczał matce swej żony, tak kochającej i kochanej? Przeciwnie.

Józef rozmawia z Anną, dowiaduje się szczegółów z życia Maryi, by ją lepiej poznać i podziwiać, by uczyć się od Maryi Jej zalet. Mąż uczy się zalet żony. A potem opowiada to swej matce. Matka Józefa podziwia pracowitość Maryi, Jej dyskrecję, pomaga Jej przy ciężkiej pracy, by mogła szybciej ją wykonać i mieć czas na poczytanie książki, przedyskutowanie jej z teściową, wspólne szukanie sposobów nabywania cnoty ciszy, ładu, wypoczynku, rozmyślań, tęsknoty do Boga, do piękna. Razem śpiewają. A Józef w drugim pokoju dyskretnie wyciera łzę wzruszenia i przywołuje Synka, by poczytał babci i Matce kilka stronik książki, by razem z nimi śpiewał.

W Nazaret toczyło się zwykle życie ludzkie. A więc przyrządzano posiłki, pracowano, rozmawiano, martwiono się, odpoczywano, rozmawiano z Bogiem. Józef cieśla nie zawsze miał pracę. Zmniejszały się dochody. Teściowa pocieszała synową, matka Maryi uspokajała Józefa. Teściowa Maryi zachęciła córkę, by poszła z mężem na spacer. Sama pomyślała naczynia. Jezusowi przykazała, by dziś starał się być dla Mamy specjalnie miły, ponieważ Matka ma zmartwienie. Synek więc jest radosny, chociaż też martwi się domem. Wszyscy podnoszą myśli ku Bogu, który przecież odziewa lilie polne i karmi ptaki niebieskie. Ufają. Modlą się. Przede wszystkim modlą się: Maryja i Józef rozmawiają z Jezusem. I razem z Jezusem zwracają swe myśli i swą miłość do Przedwiecznego Ojca. Chrystus będąc Bogiem trwa nieustannie swą miłością przy Bogu. I cokolwiek czyni, czyni z miłości i w miłości do Boga.

Rozmowa męża z żoną o Bogu jest modlitwą. Rozmowa teściowej z synową o Bogu jest modlitwą. Opowiadanie Bogu o kłopotach dnia, zmartwieniach jest modlitwą. Zaufanie do Boga jest modlitwą. Gdy tylko Bóg jest obecny w naszych tęsknotach. Gdy jest oczekiwany, jak syn powracający z wojska, od pracy, ze szkoły. Gdy jest oczekiwany z miłością, jak ktoś miły i wytęskniony.

Dzięki modlitwie, która jest rozmową rodziny z Bogiem, kształtuje się zasadnicza atmosfera domu, główna cecha rodziny, mianowicie dobroć. Wzajemna dobroć, wyrażająca się w trosce ojca o żonę, syna o matkę, zięcia o teściową, teściowej o żonę syna. Troska o wypoczynek, o czas na naukę, o duchowy rozwój, ulżenie w kłopotach, podtrzymywanie w przygnębieniu.

Z tej troski wynika postawa pomocy, pomagania sobie, a dalej przywiązania się do siebie. To przywiązanie jest miłością. I ta miłość rozwija się właśnie dzięki wzajemnej dla siebie dobroci wszystkich osób w rodzinie, dzięki udzielaniu sobie pomocy. A temu wszystkiemu zagraża zło, rozbijające rodzinę. Tym złem są kłótnie, niepomaganie sobie, nieprzywiązywanie się do siebie, nie wybaczenie, podburzanie jednych przeciw drugim, męża przeciw żonie, babki przeciw synowej, brak wspólnych rozmów, brak myśli o Bogu, brak dobroci, brak stałej więzi religijnej z Bogiem, wciąż chronionej przez nas i przez Boga.

To zło zabija życie rodzinne. Zabija pogodę, nastrój wypoczynku, atmosferę domu. W takiej atmosferze rodzi się przygnębienie, zniechęcenie, człowiek opuszcza ręce, staje się przykry dla innych, godzi się na grzech. Grzech zabija potem duszę. Człowiek staje się smutny, złośliwy, dokuczliwy.

Ratujmy się przed tym. Smutek jest przyzwyczajeniem. I radość jest przyzwyczajeniem. Czy nie lepiej jest przyzwyczać się do radości, pogody, dobroci?

Żyjemy przeciętnie siedemdziesiąt lat. Tak krótko. Czy warto psuć sobie to krótkie życie kłótniami, smutkiem? Uśmiechajmy się do siebie. Łatwiej wtedy ocalić dobry nastrój. A ten nastrój uchroni nas od zła. I w ten sposób ocalimy życie Boże w duszy, największy skarb, najważniejszą sprawę Bożą na tej ziemi. I naszą sprawę. To życie Boże w duszy ludzkiej jest ambicją

Boga i Jego chwałą. Gdyby stało się i naszą ambicją, Bóg cieszyłby się niezmiernie.

Chroniąc się przed grzechem nabywamy sprawności wykonywania tego, co lepsze, czego życzy sobie Bóg. W ten sposób licząc się ze zdaniem Boga rozwijamy w sobie życie religijne. Pamiętajmy: pierwszy etap życia religijnego to nie popełniać grzechów ciężkich; drugi etap — coraz częściej czynić to, czego życzy sobie Bóg. A Bóg życzy sobie obecności wśród nas. Chce być z nami, ponieważ nas kocha. I dlatego tęskni do nas. I chciałby być z nami jak ojciec z dorosłym synem. By rozmawiać. Gdy rozmawiamy z Bogiem, modlimy się. A modlitwa coraz bardziej zbliża i przywiązuje. Jest bowiem wspólnym przebywaniem. I znowu zapamiętajmy sobie: dzięki modlitwie przybliża się Bóg do nas, a w nas rozwija się i umacnia miłość do Boga.

Ta miłość i jej rozwój jest właśnie istotą życia religijnego. Poznać ją można na przykład po dwu sprawach: po tym, że przy coraz prawdziwszym przybliżaniu się do nas Boga pogłębia się nasze niezadowolenie z siebie, uświadomienie sobie naszej niedoskonałości, naszych wad. Po prostu widzimy, kim jesteśmy, i widzimy, kim jest Bóg. To nazywamy pokorą. Przy prawdziwej pokorze, która wzrasta w miarę przybliżania się do nas Boga, ponieważ Bóg ją w nas kształtuje, rozwija się żal, że nie jesteśmy tacy, jak tego pragnie Bóg. W aktach skruchy, żalu wyraża się miłość i przywołuje coraz bliżej do nas Boga. A to przywoływanie jest znowu modlitwą. I wtedy pragniemy, staramy się poprawić w sobie to, co martwi Boga. Gardzimy zbyt dużą troską o siebie. Dążymy do tego, by nas nie odbierało Bogu. Dążymy do wewnętrznego ubóstwa, do rzucenia na szalę wszystkiego, co w nas jest, by za to nabyć Boga. To wewnętrzne uzyskiwanie ubóstwa, оголошение duszy z siebie, a więc z tego, co nie jest Bogiem, można uważać za drugi znak rozwoju miłości Bożej. Pierwszym znakiem była pokora, czyli dostrzeżenie świętości Boga i naszej niedoskonałości. Drugim znakiem jest pomijanie siebie i poszukiwanie Boga, którego najbardziej widać w naszych bliźnich, w drugim człowieku. Nasze zbliżanie się do Boga wyraża się więc w zwiększającej się rozumnej trosce o drugiego człowieka, każdego, a specjalnie naszych bliskich.

Dzięki więc modlitwie przybliża się do nas Bóg. A dzięki temu przybliżaniu jaśniej widzimy naszą nędzę. To budzi skruchę. A skrucha rozwija miłość. A miłość, znaczone czynami miłosierdzia w stosunku do drugiego człowieka, zdobywa nam Boga.

Świadomość obecności Boga i modlitwa nie tylko więc budują nastrój dobroci, a tym samym pogodę, spokój i szczęście rodziny, lecz także rozwijają życie nadprzyrodzone człowieka. Codzienne życie naszej rodziny, tak jak w Nazaret, jest szkołą miłości Bożej. Wzrastająca miłość powoduje w nas wzrost życia Bożego. Pogłębia się też wtedy wiara, czyli uznanie rozumem i wolą prawd objawionych przez Boga i podanych do wierzenia przez Kościół. Pomnaża się także nadzieja, czyli nasza duchowa myśl i wolą obecność w sprawach Bożych, przebywanie tęsknotą przy Trójcy Świętej, przy Bogu Ojcu, Synu i Duchu Świętym, świadomość, że chodząc po świecie chodzimy przede wszystkim po pokojach Bożego domu, który jest tam, gdzie jest Bóg. A Bóg jest wszędzie.

Nie chcę wpadać w rozważania zbyt suche. Pragnę akcentować momenty, które montują rodzinę. I stwierdzam z pewnym nawet zdumieniem, że to samo, co kształtowało szczęście świętej Rodziny w Nazaret, kształtuje szczęście także naszej rodziny. To samo: świadomość obecnego Boga wśród nas i kontakt z Bogiem przez modlitewną rozmowę. W tych dwu sprawach święta Rodzina jest dla nas wzorem. W świętej Rodzinie Bóg był obecny w osobie Chrystusa. I cała rodzina rozmawiała z Chrystusem.

Bóg ma być wśród nas. I mamy z Nim rozmawiać. A ta rozmowa, która jest modlitwą, przybliży Boga. Z Bogiem przyjdzie dobroć warunkująca szczęście.

Charles de Foucauld wiedział, że święta Rodzina wychowuje do życia z Bogiem. Wyjechał do Nazaret, aby być bliżej atmosfery domu Józefa i Maryi. Dostrzegł, że rodzina jest przede wszystkim ciszą, ładem, spokojem, wzajemną pomocą, modlitwą. W rodzinie syn zapomina o sobie, by wszystkie siły poświęcić ojcu. Ojciec zapomina o sobie, by wszystkimi siłami pomagać dzieciom. Żona troszczy się o męża. Mąż o żonę. Teściowa o synową. Teść o zięcia. Następuje właśnie to, co jest znakiem miłości: porzucenie siebie, zapomnienie o sobie, оголоcenie siebie z egoizmu dla kogoś drugiego, lecz bardzo kochanego. I w ten sposób w rodzinie człowiek uczy się życia dla innych.

Miłość do Boga rozwija się podobnie. Różnica jedynie ta, że motywem pomijania siebie jest nie tylko żona, mąż, dzieci, lecz Bóg. Charles de Foucauld dostrzegł jednak, że to porzucenie siebie jest ciężkie i konieczne. Ciężkie, męczące, lecz konieczne. Nazwał to w ludzkim życiu etapem pustyni.

Na ten etap zaprasza nas Bóg. Zaprasza do przełamania egoizmu, pominięcia siebie, a nastawienia się na Boga i innych ludzi, by żyć ich sprawami, ich męką i radością. Oby to zaproszenie usłyszeli wszyscy, mąż i żona, teściowa i wnuki, wszyscy, każdy człowiek.

## VI. OCALIĆ DLA BOGA

### POSTAWY RELIGIJNE W KATOLICYZMIE

Przeżycie katolicyzmu zależy od stosunku intelektu i woli do Boga. Stosunek ten może być pozytywny *sensu stricto* lub negatywny. Negatywny jest wtedy, gdy człowiek odrzuca Boga. Stosunek pozytywny jest zgodą na Boga i nie może być tylko tolerowaniem obecności Boga lub pewnym minimum kontaktów uprzejmościowych. Wtedy bowiem zmieniłaby się jedynie zewnętrzna sytuacja w stosunkach między człowiekiem i Bogiem. Wewnątrz człowieka byłaby obojętność równa negacji.

Nawet walka wewnętrzna może być konsekwencją negacji, usiłowaniem stłumienia pracy Bożej w człowieku i dyskretnym likwidowaniem kwestii Boga.

Gdy jednak praca wewnętrzna jest wysiłkiem poprawiania siebie, gdy jest nawet ciągłym ratowaniem się przed utratą wiary, jest wtedy konsekwencją zgody na Boga, jest pozytywnym stosunkiem człowieka do Boga.

Gdy dalej inna jeszcze jest wewnętrzna sytuacja człowieka, taka mianowicie, że w tym wszystkim człowiek nie tyle myśli o swym wewnętrznym kształcie, o swoich trudnościach, ile przede wszystkim tęskni za rozmową z Bogiem, Jego obecnością, zbliżeniem się do Boga jak osoba z osobą, człowiek z człowiekiem, wtedy jest sytuacja zakochania, *sensu stricto* pozytywny stosunek do Boga. Postawa ukochania Boga.

Autentyczny katolicyzm mieści się w ramach tylko postawy pozytywnej. Postawa negatywna jest odrzuceniem Boga. Postawa *sensu stricto* pozytywna jest właściwym katolicyzmem, katolicyzmem zakochania. Jest to całe, pełne życie człowieka uzgodnione z Bogiem. I jest to postawa jedynie właściwa.

Postawa pozytywna niewłaściwa jest postawą form zewnętrznych i postawą walki, pod warunkiem, że wszystko to wynika z sytuacji, w której człowiek jeszcze nie jest

zakochany w Bogu, ale do tego zmierza. Należy dodać, że stojąc nawet poza katolicyzmem człowiek przez fakt tęsknoty za Bogiem należy do osób o postawie religijnej pozytywnej.

Można więc wyróżnić między innymi trzy postawy katolickie jako trzy możliwe przeżycia katolicyzmu.

1. Postawa oparta na przyjęciu form zewnętrznych mieści się w zakresie pozytywnego stosunku do Boga, lecz stosunku niewłaściwego. Niewłaściwość ta polega na obojętności i konwenansie. Owszem, człowiek godzi się na fakt Boga, jest włączony przez chrzest w życie Boże, lecz całą sprawę stawia na płaszczyźnie kontaktów uprzejmościowych i raczej Boga tylko toleruje. Swój związek ze sprawami Boga traktuje historycznie i zewnętrznie, a w ramach tego związku lojalnie jest wierny obowiązującym formom. Rzeczywiście wewnątrz jest daleki od połączenia swych spraw ze sprawami Boga, jest obojętny.

Obojętność i niedostrzeganie Boga, którego istnienie się akceptuje, jest przejawem jakiejś już negacji pogańskiej. Jest to po prostu pogaństwo katolickie. Pogaństwo charakteryzuje się zawsze handlowym potraktowaniem stosunków człowieka z Bogiem i potraktowaniem konwenansowym. Człowiek godzi się na fakt Boga, uzgadnia z Nim interesy, proponuje pakt o nieagresji na zasadzie obustronnych świadczeń. Świadczeniem ze strony Boga ma być opieka, lecz i niezapraszanie człowieka do przyjaźni, świadczeniem ze strony człowieka jest spełnianie przepisanych form szacunku. Jest to więc sytuacja osób obcych, nie mających sobie nic do powiedzenia, o własnych drogach i celach. Sytuacja wyminięcia, wykluczenia spotkań. Człowiek spełnia formy kultu, a wewnątrz kształtuje się poza Bogiem lub w ogóle nie kształtuje się. Przede wszystkim żyje celami pomijającymi Boga. Popełnia w tym ten błąd, że nie żyje celami pełnego człowieka, ustosunkowującego się do każdej wartości, a więc i do Boga.

Człowiekowi często wydaje się, że ratuje w ten sposób swoją wolność. Można jednak obawiać się, że jest to raczej sytuacja nieróbstwa i sytuacja zamknięcia procesu poszukiwań. To znaczy skończenia rozwoju. A człowiek winien zawsze się rozwijać, zawsze szukać i znajdować. I nie wolno mu nie podjąć tematu, który go niepokoi lub budzi wątpliwość. Człowiek musi szukać i musi być zawsze niespokojny, ponieważ wtedy idzie



ku pokojowi. Ratuje się przed obojętnością. Obojętność jest niewiarą, wewnętrzną raczej negacją każdej wartości i tym samym Boga, jest owym katolickim pogaństwem, które przewiduje udział człowieka w formach kultu bez zaangażowania intelektu i woli.

Najbardziej przykre jest to, że obojętność pogaństwa katolickiego jest zgodą na tresurę. Można bowiem nazwać pogaństwo katolickie katolicyzmem wytresowanym. Wtedy spełnia się formy kultu po to, aby usłyszeć grę organów, aby odbyć niedzielny spacer, aby uczynić zadość opinii i zwyczajom, aby wypełnić program niedzieli. Nigdy po to, aby uczestniczyć w ważnych własnych sprawach przy ołtarzu, aby spotkać się z ukochaną Osobą, aby rozmawiać przy wspólnym stole i posilić Chlebem organizm wewnętrzny. Tresura w ogóle dyskwalifikuje, krzywdzi, tłumi naturalny rozwój człowieka, uczy kłamstwa, prowadzi jednostkę i całe społeczeństwo po linii prostej do etapu, który opisał Balzak w Komedii ludzkiej. Opisani przez Balzaka ludzie stanowią typowe społeczeństwo wytresowane, które od strony form zewnętrznych stawia na pierwszym miejscu wartości katolickie, wewnątrz jednak żyje innymi zupełnie sprawami. Przesuwa się w sytuację kradzieży tych radości i działań, które można nabywać na drodze legalnej, na drodze prawości.

Balzak naszkicował wiernie obraz katolicyzmu wytresowanego, obraz krzywdy wyrządzonej człowiekowi, przemianę celu ostatecznego i adresata. Wszystko, co człowiek Balzaka mówi drugiemu człowiekowi, jest kłamstwem, ponieważ jest kierowaniem do człowieka słów i działań, które z natury są sposobem kontaktów z Bogiem. Gdy człowiek odrzuci Boga, na to miejsce coś musi postawić. I najczęściej stawia drugiego człowieka. Wtedy jakiegokolwiek słowa kierowane do tego człowieka, są słowami modlitwy. Każde zresztą słowa miłości są zawsze słowami modlitwy i tylko Bóg może pozwalać na składanie tych słów także na ołtarzu ludzkiego ciała. Sami, bez porozumienia z Bogiem, nie mamy do tego prawa.

Gdy katolik powie, że przed przysięgą małżeńską urodził człowieka, a więc przed podjęciem obowiązku stworzenia w rodzinie klimatu miłości, tak koniecznej dla rozwoju w człowieku dobra, i gdy nazwie tę sytuację żartem dla ubawienia rodziny, która szczyty się katolicką tradycją, wtedy jest sytuacja obrazów Balzaka, sytuacja tresury.

Katolicyzm wytresowany, postawa ludzi obojętnych, a to często znaczy niekonsekwentnych, leniwych i tylko układnych, konwenansowych, jest postawą form zewnętrznych. Jest przeżyciem katolicyzmu, krzywdzącym społeczeństwo i Boga.

2. Postawa walki może być dwojaka. Może być troską o wewnętrzny rozwój człowieka i to o rozwój w relacji spraw ludzkich do spraw Boga. I może być konsekwencją oporu, dziwnego nieotwarcia siebie na wszystko, co dobre i rozumne. Opór ten, wypowiadający się często w postawie obojętności, może właśnie stać się działaniem w kierunku stłumienia w sobie wszystkiego, co wniósł chrzest w duszę człowieka, i wszystkiego, co przewiduje nawet konwenans katolicyzmu wytresowanego. Może być usuwaniem form zewnętrznych obojętnego człowiekowi życia religijnego i może być niszczeniem pracy Bożej w duszy człowieka. Postawa taka wynika często z niedojrzałości ludzkiej, obserwowanej w społeczeństwach, które umieją tylko w sposób zbrojny rozstrzygać swe konflikty, w walce na pięści jak dorastający chłopcy. Człowiek chce całkowicie zniszczyć to, co budzi jego sprzeciw. Chce stratować zielone pola lub piękny klomb kwiatów. Jest to niszczenie dorobku kogoś drugiego na skutek stwierdzenia, że nie ma się własnego. Jest to więc ostatecznie walka o cele.

W sposób dziwnie przykry człowiek chce uzyskiwać pierwsze miejsca, nawet w sobie. Najgorzej, gdy w miłości małżeńskiej, a więc wspólnej, chce dać przewagę sobie, gdy więc sam szuka swego uwielbienia. Naturalne prawo miłości jest takie, że ktoś. drugi nas wielbi lub my jego. Bóg zna tę tęsknotę człowieka i to prawo miłości. I obiecuje kochając ludzi zgodnie z prawem miłości uwielbić człowieka (psalm 90). Naiwny i niecierpliwy człowiek czyni to Sam. Jest śmieszny i krzywdzący. Nie chce więc oddać w sobie pierwszego miejsca drugiemu człowiekowi, a nawet Bogu. Tłumi tym samym miłość. Jest pełen obaw, że musi rozdać siebie, przestać zajmować się sobą, a zajmować się inną osobą ludzką. Nie pamięta, że wtedy uzyska miłość i wymarzone uwielbienie. Walczy o cele w imię nieporozumienia. Ponosi skutki niewiedzy i niepojętności. Sługa egoizmu. Odchodzi więc w siebie. Zamyka się. Tłumi początek rozwoju naturalnych i dobrych kontaktów miłości z człowiekiem, a dalej z Bogiem.

Istnieje bowiem jednak tylko jedna miłość, która przebiega przez wszystkie przedmioty i obejmuje wszystkich. Jest transcendentna. Nawet kierowana do ciała ludzkiego przekracza je, ponieważ ciało jest tylko właśnie sposobem rozwoju miłości. Człowiek nie rozumie tego i wybierając miłość ciała często nie uzgadnia tego z Bogiem, a tym samym odchodzi od Boga. Wybierając miłość ciała człowiek często w ogóle przypuszcza, że musi porzucić Boga. Nie wie, że nie musi tak postępować. Nie wie i dlatego przyjmuje postawę walki, która w tym wypadku jest postawą czynnej negacji. Jest wyłączeniem się zewnętrznym i wewnętrznym z przeżycia religijnego. Jest wycofaniem się z naturalnego procesu umiłowania dobra. Jest niszczeniem miłości.

Wymienione przyczyny decyzji nie wyczerpują wszystkich przyczyn odejścia od Boga. Zawsze jest osobistą i wewnętrzną tajemnicą człowieka, dlaczego człowiek woli nie wybierać trudu poszukiwań, dlaczego nie otwiera się na wszystkie sprawy i prawdy, na wszystko, co lepsze, dlaczego ulega zewnętrznemu atakowi na osobistą i wspólną ludziom wiedzę o Bogu. I dlaczego ulega propozycji wyłączenia siebie z procesu rozwijania się miłości, gdy się dowie, że naturalny jej rozwój w kierunku dobra doprowadzi do Pełni Dobra, które nazwali ludzie Bogiem.

Seria zapytań, seria rozmaitych „dlaczego”, jest konsekwencją obserwowania postawy negatywnej walki, procesu zwrotu do tyłu ku obojętności i wyłączenia się z życia wspólnego z Bogiem. To wyłączenie się jest odchodzeniem od miłości.

3. Najtrudniej jest szkicować postawę *sensu stricto* pozytywną w przeżyciu katolicyzmu, postawę zakochania w Bogu.

Szkicowanie takie jest swoistym uogólnieniem, w każdym razie ewentualną sugestią biegu życia religijnego. Sugestia może być podjęta chętnie lub z oburzeniem. Trudno jest bowiem nakazać miłość, nawet do Boga. Poza tym miłość do Boga jest sprawą człowieka całkowicie wewnętrzną. Dodajmy jednak, że owszem, jest sprawą osobistą, ale i społeczną, ponieważ jest wspólną sprawą Kościoła jako jednego, nadprzyrodzonego organizmu. Z tej racji do tej postawy należy zachęcać, do postawy zakochania w Bogu.

Czy można pomyśleć, aby dziecko swoją miłość do rodziców objawiało przy pomocy konwenansów? Dziecko przerywa schemat potokiem uczuć, przyłgnięciem, rozradowaniem i tęsknotą.

Postawa dziecka jest postawą przeciwną postawie tresury. W tresurze kształtuje się jako pierwsze formy, w postawie dziecka jako pierwsza kształtuje się treść. Formy są czymś drugim, są wyrazem wprawdzie wyszukiwanym, lecz umownym i wspólnym wielu ludziom. Treść przeżycia jest jedyna, indywidualna. Sama miłość bowiem w każdym wypadku jest osobistą, tajemniczą sprawą Boga i człowieka, sprawą niepowtarzalną i wyłączną, lecz wspólną Bogu i człowiekowi, Kościołowi.

Życie religijne rozwija się jedynie w sytuacji zakochania w Bogu. Mogą być różne stopnie zbliżenia do Boga i różne sposoby rozwijania miłości. Nie ulega jednak wątpliwości, że istotą życia religijnego w sensie katolickim jest miłość człowieka do Boga, ukochanie Boga, zakochanie się w Bogu.

a. Należy zauważyć, że w sytuacji zakochania w Bogu może nie być przerw odejścia. Może być także pozorne odejście i spowodowany tęsknotą powrót. Uczucia i kłopoty mogą sprawić, że zakłóci się porządek trwania w radosnej rozmowie z Bogiem i nastąpi rozmowa o troskach, niepokoju i obawach. W każdej z tych sytuacji dokonuje się jednak proces rozwoju osoby człowieka, ponieważ dokonuje się proces rozwoju miłości do Boga.

Rozwój miłości w człowieku, czyli wewnętrzne kształtowanie się moralnej struktury człowieka, przebiega na dwu drogach: na drodze pracy nad intelektem i na drodze pracy nad wolą. Chodzi o to, aby inaczej niż dotąd widzieć świat, sprawy człowieka i Boga, i inaczej chcieć, a nawet innego chcieć dobra. W życiu religijnym i zgodnie z prawem zakochania właściwe jest tak widzieć świat jak osoba kochana, i w taki sposób chcieć dobra, aby to spełniało tęsknoty osoby kochanej, stwarzało klimat służący realizowaniu się dobra drugiej osoby i jej spraw.

Troska o sprawy Boga jest przede wszystkim troską o miłość jakkolwiek i gdziekolwiek. O każdą. O przeniesienie jej w ludzkie serca, a z ludzkiego serca w miłość Boga.

Aż łzy cisną się do oczu, gdy patrząc na tyłu młodych ludzi, wypełniających radosnym gwarem ulice i drogi, widzimy często obojętność na dobro drugiej osoby i tylko egoistyczną tęsknotę ludzi za zdobywaniem radości dla siebie. Taki egoistyczny cel przecież prowadzi w smutek i samotność jako sytuację braku zapełnienia duszy dobrem. W tej egoistycznej tęsknocie do radości jest także dużo erotyzmu, a nie ma miłości. I jest konflikt wypływający z nieporozumienia.

Czasem bowiem młodzi ludzie oddalają się od Boga woląc tęsknoty, które prowadzą tylko do ludzkiego ciała, nie rozumiejąc, że i ciało dane jest na to, aby człowiek znalazł Boga. Człowiek otrzymał zmysłowość na to, aby pojawiły się w nim tęsknoty. Tęsknoty zmuszają do szukania odpowiedniego dobra. I w tych poszukiwaniach człowiek trafia na Boga.

Należy z kimś zaufanym omawiać sprawy swego ciała i swej zmysłowości. Należy więc z Bogiem omawiać swoją zmysłowość, sprawy społeczne, bunty. Zmysłowość nie powinna oddalać od Boga, ponieważ jest normalną i przydzieloną nam przez Boga sprawą do rozstrzygnięcia. Bóg pozwala człowiekowi na realizację umiłowanych tęsknot nawet zmysłowych i tym samym broni człowieka przed deprymującym poczuciem porażki, upadku i nieuczciwie załatwionej sprawy. Bóg uratuje miłość, gdy tę sprawę człowiek z Bogiem omówi.

Dusza człowieka otwiera się jedynie na miłość. Stąd najbardziej powinna otwierać się dla Boga, który przecież jest miłością. Bóg jest miłością. Dusza ludzka otwiera się przed Bogiem, lecz tylko wtedy, gdy jest w niej miłość. Miłość jakiegokolwiek dobra. Autentyczna miłość, a nie tylko napięcie nerwowe, miłość, a więc woła troski o rozwój dobra w drugim człowieku.

I wtedy dzieje człowieka stają się dziejami jego miłości. Coś wtedy dopiero rzeczywiście dzieje się w człowieku. Rośnie dobro. Łączą się dwa życia. Łączy się życie człowieka z życiem Boga. Wtedy ze wszystkiego, co robimy, wyrasta dobro wspólne i chwała Boża.

Celem bowiem życia ludzkiego i świata jest chwała Boża. A rozwój tej chwały jest rozwojem miłości człowieka do Boga.

Bóg też jest w nas zakochany. Barkami swymi zakrywa nas i broni (psalm 90). Rozumie nas. Pozwala się sprzeczać, byle tylko nie grzeszyć, ponieważ jest Bogiem naszej prawości. Troszczy się o nasze konkretne potrzeby. Sam szuka męża dla Sary. Wśród przyjaciół jest towarzyski i radosny. Czyni dla Gerarda Majelli na jego prośbę cud natychmiastowego wiania techniki muzycznej w marzącego o tym chłopca, widzącego pierwszy raz w życiu fortepian. Jest dla nas Człowiekiem i daje prawo antropomorfizowania swej Osoby w Osobie Chrystusa. Ocala naszą miłość, by ją uwielbić i przetworzyć przez udział w swym życiu. Wzbogaca nas nie naruszając naszej wolności i tęsknot.

Jakże więc jest korzystne dla człowieka być w kontakcie z taką Osobowością bliską i wszechmocną, autentycznie ludzką i autentycznie Boską, szczerze pragnącą przyjaźni ludzkiej w celu rozwijania nas, zasilenia woli i intelektu. Bóg zaprasza nas do dyskusji i sporu z sobą. Bóg sprzeczał się z Jakubem, mocował się z nim tak długo, aż Jakub poczuł zmęczenie w ramionach i biodrach. Bóg pytał o radę Abrahama przed ukaraniem Sodomy. A zawsze wybaczają i kochają.

b. Trudno jest jednak przeżyć dobrze własne życie. Potrzebna jest do tego często pozytywna walka. Walka o ład, o kolejność głosu ludzkich tęsknot, o umocnienie wiary, by można było ukochać Boga. I potrzebna jest walka o umocnienie miłości, by można było wierzyć. O Bogu bowiem wie intelekt na podstawie poznania i na tej bazie ustawia wiarę i miłość. Jest to więc walka o to, aby cały człowiek był terenem chwały składanej Bogu.

Formą miłości może być także niekiedy wątpienie w istnienie Boga. Jest to trudna droga miłości. Polega ona na pracy intelektu, na ciągłym szukaniu. I często bez pociechy.

Taką formą może być też niepokój moralny, trud ogromny porządkowania wszystkich dążeń, które ciągną do egoistycznych celów, jak sława i przyjemność. Ochota więc brania sobie wcześniej tego wszystkiego, co przyjdzie do człowieka, lecz w konsekwencji uzgodnienie tych spraw z Osobą kochaną, z miłością, z samym Bogiem. Lecz ta walka nie jest etapem koniecznym, wyznaczającym miejsce człowieka w drodze do Boga. Jest często przewidzianym dla człowieka środkiem rozwoju i pracy. Jest to jednak środek przydzielony ludziom raczej silnym.

c. Może być też jeszcze inaczej. Człowiek jest zupełnie blisko Boga. I całym trudem człowieka jest wpatrywanie się w dobrą twarz Bożą. I składanie Bogu dowodów przywiązania. Wtedy wszystkie sprawy otrzymują rangę środków i elementów urzędowania w duszy jak najwłaściwiej mieszkania Bożego, rangę spraw, które można w każdej chwili inaczej ustawić, o ile tylko nie pociągnie to za sobą krzywdy ludzkiej i Bożej, co zresztą z góry się wyklucza jako cel. Przypadkowa krzywda może być tylko ewentualnością, wynikającą ze słabości.

Działalność człowieka zmierza w tym wypadku do znajdowania sposobów tłumaczenia przed Bogiem innych ludzi, dyskusowania za nich, wstawiania się i uzyskiwania przydziału miłości, ponownego zaproszenia ich do Boskiego stołu, utrzymania warunków zgody i stworzenia okazji zaprzyjaźnienia.

Tak rozumiana postawa jest udziałem w życiu Bożym, udziałem w miłości, jest życiem człowieka zakochanego w Bogu.

Wszystkie te postawy mogą się oczywiście przecinać. Mogą ustawić Boga i człowieka w nieprzewidzianym zupełnie przez nas stosunku. To jednak tylko znaczy, że właśnie zawsze inny jest kontakt z Bogiem każdego osobno człowieka. Zgodny więc z naturą ludzką, substancjalną odrębnością człowieka i jego wolną decyzją, z jego intencją i osobistym uzgodnieniem tej sprawy w rozmowie z Bogiem.

Cała sprawa naszego religijnego życia sprowadza się do tego, by powiedzieć Bogu „tak” lub „nie”. Gdy się raz powie „tak”, cokolwiek by się potem działo, czy możliwe jest nie kochać Boga? Czy możliwe jest nie kochać, gdy się pokochało?

Bóg mimo wszystko kocha człowieka, a człowiek mimo wszystko kocha Boga.

## POSTAWA KATOLICKA

Postawa katolicka, a więc to, czego oczekujemy od człowieka powiązanego z Bogiem w sposób określony przez naukę Kościoła katolickiego, jest zespołem działań, które — ze względu na Boga i dla dobra ludzi — podporządkowujemy bezinteresownej

miłości. Ta miłość ustala tę postawę, a jednocześnie czyni ją obowiązkiem, to znaczy tym, czym winniśmy być wobec siebie, wobec innych ludzi i Boga na terenie rodziny, w pracy zawodowej, w sprawach publicznych, w obrębie Ludu Bożego, czyli wśród ludzi powiązanych z Bogiem przez Chrystusa. To, kim winniśmy być, a więc nasza katolicka postawa, jako zespół obowiązujących nas działań wobec ludzi i Boga, działań przenikniętych bezinteresowną miłością, wynika z naszych osobowych powiązań z ludźmi i z Bogiem, i wynika z tego, kim jesteśmy. Osobowe powiązania osób, a więc nasze związki z ludźmi i z Bogiem, jako zespoły działań, mają źródło w tym, że człowiek jest bytem rozumnym, zdolnym do poznawania rzeczywistości i dokonywania w niej w sposób wolny wyboru prawdy oraz dobra. Mają też źródło w tym, że człowiek będąc osobą podjął rozpoznane przez wiarę osobowe kontakty także z Bogiem. Naszą więc postawę, nasze działania, wyznacza to, kim człowiek jest w sensie strukturalnym oraz to, kim jest z daru przyjaźni ofiarowanej nam przez Boga i przez nas przyjętej w fakcie umiłowania Chrystusa, który powiązanych z sobą ludzi czyni nie tylko przyjaciółmi, lecz kimś włączonym w siebie na sposób części swego mistycznego ciała, nazywanego Kościołem.

Nasze działania, stanowiące faktyczne powiązania osób, są jednak rozumiane i wyrażane w kształcie, jaki nadała im kultura. W tej kulturze są dokonywane i odczytywane. Można nawet powiedzieć, że nasza katolicka postawa, oparta na faktycznym powiązaniu człowieka z Bogiem, który życzy sobie miłości w naszych powiązaniach z ludźmi, ma kształt kulturowy. Taki też kształt mają nasze obowiązki w życiu osobistym, rodzinnym, zawodowym, kościelnym, publicznym, i winny polegać na takim korzystaniu z kultury i na takim jej tworzeniu, aby kierunkiem i miarą działań ludzkich stawała się właśnie miłość.

Kulturę stanowi to wszystko, co ludzkość wytworzyła „czyniąc sobie ziemię poddaną” i co poszczególni ludzie przyswoili sobie jako kształt swego życia duchowego, w którym egzystencjalny fakt powiązań z ludźmi i z Bogiem jest przeżywany i wyrażany na miarę pojęć, teorii i wytworów, stanowiących kulturę. Z tego dorobku czerpiemy poprzez zespół wartości, wyznaczających nasz krąg kulturowy, który służąc nam zespołami wytworów wpływa właśnie na sposób przeżywania, odczytywania i wyrażania dokonujących się w nas faktycznych osobowych powiązań z ludźmi i z Bogiem.



Wyjaśnijmy, że osobowe powiązania wśród ludzi są wyrażane przez obecność, rozmowę, przyjaźń. Powiązania te między człowiekiem i Bogiem przejawiają się podobnie i są nazywane łaską, modlitwą, świętością.

Łaską nazywamy osobową obecność Boga w duszy ludzkiej i nasz udział w wewnętrznym życiu Boga. Przez modlitwę rozumiemy liturgiczne i osobiste skierowanie się do Boga, który na miarę naszej miłości, świadczony Chrystusowi, przychodzi do duszy człowieka i jako Trójca Osób czyni mieszkanie sprawiając, że razem z nami Duch Święty „wzdychaniem niewymownym” uwielbia Boga. Świętość jest utrwaleniem miłości między człowiekiem i Bogiem w wyniku zjednoczenia woli ludzkiej z wolą Boga, pełnym oddaniem Bogu naszej osoby, w której Duch Święty na miarę Chrystusa ukształtował obecne w nas wewnętrzne życie Boga.

Uwarunkowany tradycją kulturową sposób przeżywania i wyrażania tych naszych powiązań z ludźmi i z Bogiem wymaga naszej intelektualnej i stosowanej w praktyce kontroli, wyznaczonej faktem osobowych powiązań i światłem Ewangelii, która przekazuje objawione przez Boga prawdy wieczne również w kulturowym kształcie. Prawdy te, jako mądrość Boga, osobowo obecnego w człowieku, winny kształtować myślenie ludzi i doskonalić ich prawość w takim stopniu, aby wytwarzane przez ludzi dobra czyniły kulturę zespołem wartości, które nie zmieniając istoty człowieka, lecz wpływając na jego działania, powodują owocowanie dobroci, sprawiedliwości, wolności, ładu, piękna, miłości. Kształtuje się wtedy taka umiejętność życia, że dzięki ludzkiej mądrości, przenikanej darem Ducha Świętego, wszystko czynimy terenem chwały Bożej właśnie poprzez dobroć i miłość, wiarę i nadzieję. Wszystko też umiemy oceniać w świetle Ewangelii i tak kierować sprawami świata, że rozwijają się i dokonują według życzeń Chrystusa służąc chwale Stwórcy i Odkupiciela.

Jako osoby, a więc jako rozumne byty, korzystając z nabytej mądrości, która pozwala uzyskiwać dystans wobec kulturowego kształtu wiedzy, poznajemy rzeczywistość, kierujemy się w niej do prawdy i dobra jako faktów, mimo że ujmowanych kulturowo, i ukierunkowani miłością widzimy w tym sens, cel, a także swój ludzki obowiązek. Realizowanie tego obowiązku jest sumą działań, naszą postawą w przeżywaniu,

odczytywaniu i wyrażaniu osobowych powiązań między ludźmi oraz między człowiekiem i Bogiem.

Jako katolicy jesteśmy świadkami zmartwychwstania i życia Pana Jezusa, znakiem Boga żywego. Na mocy chrztu i bierzmowania, a szczególnie dzięki Eucharystii, podtrzymującej miłość do Boga i ludzi, uczestniczymy w kapłaństwie Chrystusa, w Jego nauczaniu i w królewskiej godności Jego Osoby sprawując właściwe całemu Ludowi Bożemu posłannictwo w Kościele i w świecie.

Nasze uczestniczenie w kapłaństwie Chrystusa polega na tym, że jesteśmy powołani i przygotowani przez poświęcenie Chrystusowi i namaszczenie Duchem Świętym do tego, aby rodziły się w nas coraz obfitsze owoce darów Ducha Świętego, a ofiarowując Bogu przez obrzęd eucharystyczny wszystko, co czynimy, oddajemy i poświęcamy świat Bogu.

Udział w nauczaniu Chrystusa jest naszym głoszeniem prawd Ewangelii swemu środowisku, niesienie myśli Bożej tam, gdzie nie dociera kapłan. W tym właśnie celu Chrystus ustanowił ludzi świeckich swoimi świadkami i w tym celu wyposażył nas „w zmysł wiary i łaskę słowa”. Chce, aby moc Ewangelii jaśniała w życiu codziennym, aby Ewangelia była realizowana także w zwykłych warunkach właściwych światu. I dosłownie chrześcijanin staje się świadkiem i żywym narzędziem misji zbawienia i uświęcenia ludzi, bo taka jest misja Chrystusa i Kościoła, którym jesteśmy wraz z Chrystusem.

Udział w królewskiej godności osoby Chrystusa realizujemy wtedy, gdy sprawiamy, że pojawia się i pogłębia miłość do Boga u coraz większej ilości ludzi, przez co Bóg uzyskuje większy teren chwały.

Świadcząc więc o zmartwychwstaniu i życiu Chrystusa na mocy osobowego powiązania z Nim w Jego kapłaństwie, nauczaniu i królewskiej godności, intelektualna natura naszej osoby doznaje w swej nabywanej mądrości udoskonalenia przez mądrość Bożą. Poszukujemy wtedy właśnie prawdy i dobra, miłujemy je, i dochodzimy dzięki Duchowi Świętemu „przez wiarę do kontemplacji i pojmowania tajemnicy planu Bożego”. Nasza postawa katolicka, zespół tych działań, których oczekujemy od człowieka powiązanego z Bogiem przez Chrystusa staraniem Ducha Świętego, staje się ożywianiem w

ludziach miłości do Boga przez ukazywanie im Chrystusa przykładem życia, stanowiącego umiejętność promieniowania wiarą, nadzieją i miłością.

Człowiek jest więc osobą. Jest rozumnym bytem, który poznaje i w sposób wolny wybiera dobro i prawdę. A wybierając Boga przez umiłowanie Chrystusa, staje się katolikiem, świadkiem zmartwychwstania i życia Pana Jezusa, znakiem Boga.

Ze względu na te fakty człowiek ma wobec tego prawo do zachowania swego istnienia, do zdrowia, do fizycznego i duchowego rozwoju, do kształcenia swego poznania i doskonalenia wierności dobru. Ma dalej prawo z racji swej wolności do jej ochrony i do wyboru osób, które chce obdarować swoją przyjaźnią, swym zaufaniem i wiernością. Ma prawo wśród osób wybrać osobę Boga, skierować do niej miłość i otrzymać miłość Bożą. Z racji powiązania z Bogiem ma prawo do udziału w wewnętrznym życiu Boga i do stanowienia z Chrystusem Kościoła, który jest zespołem osób powiązanych z Chrystusem przez obecność Ducha Świętego w Chrystusie i jednocześnie w nas. Ma prawo do obecności w naturalnej i nadprzyrodzonej rzeczywistości, do jej ochrony i doskonalenia.

Ta suma działań, których człowiek jest podmiotem, działań ukierunkowanych miłością i światłem Ewangelii, staje się katolicką postawą, a więc oczekiwanym wzajemnym zachowaniem się osób Wobec siebie. Zachowanie to wyraża się w formach, właściwych danej kulturze, stanowiącej zespół wytworzonych wartości. Postawa katolicka zobowiązuje do wnoszenia w ten zespół dobra, prawdy, sprawiedliwości, pokoju, wolności, ładu, powiązań z ludźmi w przyjaźni, w pogłębianiu poznania, w obdarowywaniu miłością osób, a także osoby Boga.

Człowiek o postawie katolickiej, jeżeli tę postawę przyjmuje, decyduje się ją realizować, czyli czyni ją zespołem swoich obowiązków. Tym obowiązkiem na terenie rodziny, środowiska pracy, spraw publicznych, staje się zabieganie o to, aby rodziły się w duszach ludzkich owoce darów Ducha Świętego (miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, łagodność, opanowanie), aby ubodzy w duchu, cisi, i ci, którzy płaczą, którzy pragną sprawiedliwości, którzy są miłosierni, czystego serca, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, zostali nakarmieni, gdy są głodni, napojeni, gdy są spragnieni, obdarowani gościnnością, gdy podróżują, przyodziani, gdy są biedni, otoczeni

troską, gdy są chorzy, pocieszeni, gdy są smutni lub uwięzieni, aby znaleźli pokarm, gdy trapi ich głód wiedzy, mądrości, tęsknota za dobrocią i miłością, aby spotkali Boga i doświadczyli udziału w jego wewnętrznym życiu. Wtedy dary Ducha Świętego, dar mądrości, rozumu, rady, męstwa, umiejętności, pobożności, bo jaźni Bożej, będą tę obecność Boga w nich umacniały. Ta obecność Boga w osobie ludzkiej wyznacza z kolei obowiązek rozumnego rozstrzygnięcia celu i sensu życia, przetrwania cierpienia, nieustannego podnoszenia się z upadków i poprawiania błędów, naprostowywania swej miłości w kierunku nieutralnej, nieprzemijającej, nieustannie kochającej ludzi miłości Bożej. Katolik tworząc i wciąż naprawiając kulturę ma dalej obowiązek poddania się dokonywanym niekiedy w nas wprost przez Boga przekształceniom, które mają na celu nie minięcie się dążeń osoby ludzkiej z ich celem, z faktycznym zetknięciem się człowieka z osobą Boga. To wyznacza obowiązek zaufania Bogu, który poszukując naszej miłości wprowadza nas niekiedy na bolesną drogę krzyża. Jest to obowiązek przetrwania pokus przeciw wierze, nadziei, miłości, przetrwania niepokoju, i obowiązek obecności przy Bogu, nieogłdanego tu na ziemi, łączącego się z nami przez łaskę wiary. Katolik ma obowiązek umiłowania tych decyzji i życzeń Bożych, swego więc losu pielgrzyma, który całym sercem i w pełni odpowiedzialnej wiedzy „czyniąc sobie ziemię poddaną” tworzy kulturę, aby przez nią najwłaściwiej wyrażać swoje osobowe powiązania z ludźmi i z Bogiem. Celem tych powiązań i obowiązkiem katolika jest ostatecznie to, aby przez ukazywanie ludziom Chrystusa przykładem życia, przenikniętego wiarą, nadzieją i miłością, wzrastała w powiązanych z nami osobach miłość do Boga i Jego w nas obecność, nadająca miłości wymiar wspólnego dobra.

## INTELEKT A RELIGIJNOŚĆ CZŁOWIEKA

Intelekt jest umysłową zdolnością poznawczą człowieka i razem z wolą, która jest umysłową zdolnością pożądczą, powoduje, że obdarzony zmysłami i uczuciami, samodzielnie istniejący byt żywy staje się jednostką ludzką. Staje się więc rozumną osobą.

Właśnie intelektowi zawdzięcza się tę wysoką kwalifikację, dzięki której człowiek jest człowiekiem. Krótko mówiąc osobą jest zawsze ten byt, który jest rozumny.

Rozumność jest czymś niematerialnym. Nie jest bowiem mierzalna i stąd nie może być poznana metodami nauk szczegółowych. Wykrywa ją inny intelekt, stwierdzający myślenie człowieka. Cechą myślenia jest tworzenie pojęć powszechnych, sądów ogólnych, przeprowadzanie rozumowań. Jeżeli rozumność nie jest czymś materialnym, jest więc czymś pozamaterialnym.

Wielu filozofów stwierdza po prostu, że człowieka konstytuują dwa elementy: dusza i ciało. Dusza jest podmiotem rozumności człowieka i wolnego wyboru. Ciało jest podmiotem zmysłowych władz poznawczych i zmysłowych władz pożądarkich. W każdym razie w aktualnie żyjącym człowieku nie ma osobno duszy i osobno ciała. Jest jeden człowiek, którego konstytuuje element duchowy i materialny. I tylko na podstawie różnych działań człowieka stwierdzimy, że człowiek jest tak ukonstytuowany. Tylko człowiek zresztą jest złożony z rozumnej duszy i ciała. I jeżeli w jakimkolwiek bycie żywym stwierdzamy rozumność, możemy być pewni, że stwierdzamy duszę, a tym samym osobę ludzką, jednostkowy, samodzielny w istnieniu podmiot rozumny.

Intelekt pełni więc zasadniczą rolę w człowieku i nie tylko dlatego, że czyni człowieka rozumną osobą. Intelekt posiadając pierwsze miejsce wśród władz człowieka tym samym wyznacza tym władzom właściwe ich miejsce. Intelekt poznaje i reguluje przez to działanie innych władz. Wola więc chce tego, na co ją nastawi intelekt. Ważne niezmiernie jest to, by intelekt samodzielnie i bez uprzedzeń poznawał. Gdyby intelekt nie pełnił funkcji poznawczej, pełniłyby tę funkcję tylko władze poznawcze zmysłowe. Ich poznanie jest cząstkowe. A jako jedyne miałyby rangę poznania całego bytu. Wola byłaby wciąż źle informowana. Zmysły na przykład poznając ładny kolor oczu i tę ładność komunikując woli informowałyby w ten sposób, że cały człowiek jest piękny, a więc i w moralnym porządku, i umysłowym, i fizycznym. Zmysły są władzą poznawczą informującą przede wszystkim władze pożądarkie, którymi w porządku ciała są uczucia. Uczucia biegną za poznaniem zmysłów. Często jest tak, że intelekt nie interweniował w poznanie zmysłowe i poznanie to pozostało niezupełne. Jeżeli intelekt uznał wyniki tego poznania,

wola i uczucia wybierają poznany przedmiot, i nie zawsze najtrafniej. A gdyby poza tym zmysły lub uczucia uzyskały przewagę w człowieku, wtedy byłyby katastrofy. Wszystkie więc władze człowieka są ważne i świetnie spełniają swe funkcje tylko wtedy, jeżeli są podporządkowane intelektowi.

Jest już teraz dość oczywiste, że religijność nie może być funkcją na przykład uczuć. Wtedy bowiem Bóg byłby tylko zapotrzebowaniem nastroju. W historii katolicyzmu przewagę uczuć i tłumaczenie religii wewnętrzną potrzebą uczuciową nazywano modernizmem. Może być religijność wynikająca z potrzeb władz zmysłowych poznawczych. Wtedy przewagę zdobywa tylko kult zewnętrzny, przybierający na przykład formy magii. Sensowna religijność musi być rozumna. Musi być konsekwencją faktu poznania i uznania istnienia Boga. Fakt istnienia Boga, poznany i udowodniony rozumowo, daje szansę uznania Objawienia. Jeżeli bowiem Bóg jest, nie jest wykluczone, że objawił swą wolę.

W samej już religijności, gdy Bóg został poznany i uznany przez rozumnego człowieka, mogą w służbie Boga przeważać uczucia lub wola. Może też być negacja uczuć, zmysłów i woli, negacja ciała w ogóle. Lecz wtedy jest stan zachwiania równowagi. Cały bowiem człowiek winien uczestniczyć w religijności.

W wychowaniu religijnym reguluje się właśnie dysproporcję między różnymi władzami człowieka. Uczucia zajmują swoje miejsce, zmysły swoje, wola ludzka także. A miejsca te wyznacza im rozumność podporządkowana Bogu.

Religijność w dobrym znaczeniu jest postawą właściwie jednakową zawsze we wszystkich czasach i u wszystkich ludzi. Jest bowiem wyborem Boga jako pierwszego celu naszych działań.

Religijność katolicka może tym najbardziej różni się od innych, że jest obowiązkiem miłości i jednocześnie konsekwencją miłości. Człowiek wie, że Bóg przede wszystkim kocha i realnie przez sakramenty przychodzi do duszy ludzkiej, i w człowieku „czyni mieszkanie”. Nie wystarczy odstąpić Bogu kilku pokoi. Nie wystarczy płacić Mu daniny. Człowiek musi kochać Boga. I tylko wtedy jest katolicyzm. Wtedy Bóg nie jest

gościem, poborcą podatkowym naszych dobrych czynów. Jest towarzyszem życia, najbliższą Osobą, celem miłości, samą miłością człowieka.

Łatwo z tej pozycji zrozumieć, że wiedza religijna to jeszcze nie jest religijność katolicka. I łatwo zrozumieć, że nawet kultura religijna nie jest jeszcze tym, co katolicyzm rozumie przez religijność. Dla katolicyzmu religijnością jest wewnętrzne, duchowe ukochanie Boga.

Wiedza religijna jest erudycyjnym stosunkiem do Boga — czy też tylko właśnie do religii jako zjawiska społecznego. Można mieć wiedzę religijną i nie być w ogóle religijnym.

Kultura religijna jest wyższą formą stosunku do religijności. Jest nie tylko erudycją, ale już zespołem religijnych sprawności, wciąż zresztą w porządku poznawczym. Wydaje się, że niektóre wyznania nawet 'chrześcijańskie są tylko kulturą religijną. Bóg nie wnika wtedy w człowieka. Jest tylko poznany i na terenie tego rozpoznania załatwia z człowiekiem sprawę zbawienia. Buddyzm jest też religijnością w porządku poznania. Człowiek rozpoznał, podobnie jak stoicy, wartość czynów moralnie dobrych i uznał, że należy postępować moralnie. Buddyzm ćwiczy w działaniu moralnie dobrym. A celem tego wszystkiego jest samo właśnie postępowanie moralne: być człowiekiem moralnie dobrym. Taki akcent daje się wyczytać i w książkach Suzuki, piszącego o buddyzmie w Nowym Jorku. Można więc stwierdzać świetną kulturę religijną na przykład niekatolików, a nawet niektórych katolików. I to jest już coś więcej niż tylko erudycja religijna. To jest już działanie, które jest konsekwencją rozpoznania bardzo poprawnego. Nie dokonało się jednak to, co jest istotne w katolicyzmie. Człowiek nie wyszedł poza siebie, ponieważ nie ukochał Boga. A katolicyzm, jak ktoś powiedział, to nadanie kierunku miłości. Ukochać drugą osobę. Ukochać więc przede wszystkim Boga i wszystkie osoby ludzkie, i cały świat, jako to, co Bóg ukochał.

Religijne ukochanie Boga jest więc wewnętrznym przekształceniem całego człowieka. Nie może to być tylko przekształcenie intelektu lub tylko uczuć, lub tylko woli. Musi to być przekształcenie właśnie całej osoby ludzkiej w taki sposób, że człowiek staje się tym, co kocha. A ponieważ kocha Boga, staje się człowiekiem o boskim kształcie

wewnętrzny. Katolicka formacja religijna wymaga właśnie przekształcenia całego człowieka, urobienia go według wzoru, którym jest Chrystus, ukochany przez Ojca. To urobienie polega na ukochaniu Chrystusa. A gdy Chrystus zostaje ukochany, wtedy człowieka ukocha Ojciec. I wtedy, według słów Ewangelii, przychodzi do człowieka cała Trójca i czyni mieszkanie.

Miłość nie jest nastrojem, nie jest uczuciem, nie jest napięciem zmysłowym. Jest umysłowym wyborem przedmiotu miłości i trwaniem przy wybranym przedmiocie. Na zawsze. Boga wykrywa się i poznaje tylko intelektem. I dalej tylko umysłowym aktem woli można się z Bogiem kontaktować. Stąd ogromna rola intelektu. Miłość rodzi się z poznania. Nie kocham tego, czego w ogóle nie znam. Trzeba świetnie poznać Boga, by Go kochać. I trzeba bardzo Go kochać, by chcieć poznawać. Trzeba poznać, że Bóg jest, i trzeba poznać to, co Bóg o sobie powiedział w Objawieniu. Im głębsze poznanie tym głębsza miłość. I im większa miłość, tym głębsze poznanie. Nie chodzi oczywiście tylko o poznanie szkolne i podręcznikowe. Chodzi o zrozumienie Boga, Jego miejsca w świecie i w duszy ludzkiej. Bóg dobrze poznany, a więc jako najdoskonalszy byt, pełni dobra i sama miłość, porywa wolę człowieka i ześrodkowuje wszystkie tęsknoty. Człowiek jest na serio przy Bogu i przede wszystkim przy Bogu. Tym samym jest na serio przy każdej rzeczy, ponieważ Bóg jest wszędzie.

Chodzi jeszcze o taki problem, by Bóg realnie przyszedł do człowieka. Chodzi o problem autentycznej obecności Boga w człowieku. Może się bowiem zdarzyć, że tym, co człowieka kształtuje, jest nie Bóg, lecz pojęcie Boga. Można urobić sobie świetnie pojęcie Boga, a nawet religijności. I to urobione pojęcie w nas trwa, ale z tego nie wynika, że Bóg przekształca człowieka. A z drugiej strony o to chodzi, by Bóg realnie był w człowieku. Zrozumiała więc jest obawa o to, by nie utracić autentycznej obecności Boga. Obawa, by nie ukochać pojęcia. I w tym miejscu zaczyna się właśnie trud pracy, którą można nazwać uświęceniem człowieka.

Znakiem, że nie przekształca nas pojęcie, lecz realny Bóg, jest nasza miłość do Chrystusa. Wtedy bowiem, gdy ukochamy Chrystusa, Bóg w nas przebywa wnosząc łaskę,



cnoty nadprzyrodzone i dary Ducha Świętego. Owoce darów stanowią naszą dojrzałą religijność.

## SPOŁECZNA WARTOŚĆ ZAKOCHANIA

Przyczyną wielu ludzkich nieszczęść jest często niewiedza, niepojętność, schematyczne myślenie i działanie, egoizm i brak wrażliwości na to, co słuszne.

Niewiedza i niepojętność są chorobami intelektu i powodują, że człowiek nie jest gotowy do podjęcia każdego badania, każdego pytania i nie patrzy na rzeczywistość, lecz na swój własny lub obcy, niedoskonały na nią pogląd. Nie porównuje i nie sprawdza. Poddaje się schematowi. Uprawia jakiś codzienny kantyzm, tworzy hipotezę i podporządkowuje jej siebie, ludzi, świat, lub narzuca światu siebie jako normę. Człowiek nie chłonie świata, nie poszerza się, nie przyjmuje. Jest zamknięty.

Taka sytuacja intelektualna wyznacza niekiedy podobną sytuację w woli. Człowiek zwraca się do siebie, wymierza świat sobą, stawia siebie u celu dążeń. Wpada tym samym w tragiczną chorobę egoizmu. Zamyka się na sprawy drugiego człowieka. Nie troszczy się o niego. Nawet nie troszczy się o siebie, ponieważ w egoizmie, polegającym na zacieśnieniu życia tylko do własnych spraw i uznania siebie za cel działań, człowiek nie szuka tego, co mu potrzebne, co go rozwija, lecz bierze ze świata bez wyboru wszystko, na co wskażą beładne pragnienia, bierze nawet to, co mu szkodzi.

Pragnienia opanowują wolę, stają się tęsknotami o takiej sile, że uniemożliwiają człowiekowi pracę. Wszystkie bowiem pragnienia uzyskują pozycję pragnień głównych. A to wyznacza typową sytuację chaosu. Człowiek pragnie każdego przedmiotu w sposób zupełny. Wyczerpuje się psychicznie i błądzi.

Należy się obawiać, że błądzi w ten sposób wielu ludzi. Błąd polega na tym, że nie ma w człowieku dominującej tęsknoty. Nie ma wykroczenia poza siebie do jakiegoś celu życia, któremu służą wszystkie inne pragnienia jako siły napędowe zbliżające do celu.

Pytanie o cel życia stawiamy zawsze wtedy, gdy przełamujemy niewiedzę, gdy rozwijamy się w kierunku zrozumienia świata i drugiego człowieka, gdy otwartymi oczami patrzymy na rzeczy i usiłujemy je zrozumieć, a nie podciągnąć pod schemat myślowy. Gdy pragniemy wielu rzeczy i tęsknimy, lecz nie według kaprysów egoizmu, gdy mianowicie tęsknimy do poszerzania się, rozwinięcia, otoczenia troską innych ludzi i ułatwienia im pracy. Gdy przestajemy być celem dla siebie.

Chaos pragnień jest znakiem egoizmu i znakiem jednocześnie niewiedzy, ciasnoty i schematów w naszym myśleniu i działaniu. Jak jednak wydobyć się z egoizmu? Jak dojść do tego, by być przekonanym, że tworzenie klimatu życzliwości, troszczenie się o czyjeś dobro jest właściwym człowiekowi działaniem? Jak polubić pomijanie siebie w zdrowym sensie pomagania innym?

Po prostu człowiek musi zacząć od ukochania drugiego człowieka. W pewnych sytuacjach to nie jest łatwe i może być często fikcją, specjalnie w wypadku prac społecznych. I może być fikcją w wypadku narzeczeństwa, nawet małżeństwa. Może nam się wydawać, że kochamy.

Pomijając jednak wszystkie specjalne wypadki można się zgodzić, że często zachodzi miłość między jednym a drugim człowiekiem, specjalnie między osobami, które w określonym czasie nazywają się narzeczonymi.

Narzeczeni to taka grupa osób zakochanych, które oficjalnie przyznają się do zakochania, lecz jeszcze sakramentalnie nie przysięgły sobie wierności. Wierność bowiem jest właśnie stałą troską o dobro drugiej osoby, o jej sprawy. Jest zgodą na to, by tę osobę stawiać przed własnymi sprawami, przyjmować jej kłopoty i oczami poszerzonymi o ukochanie jej wyglądać na świat innych ludzi i siebie. Ten akcent wierności, wyraźny w zaprzysiężonej miłości, jest jednak cechą, i to specjalnie cechą każdej miłości. Inaczej przebiegająca miłość nie jest prawdziwą miłością. Jest egoizmem.

I właśnie rzecz ciekawa. Natura człowieka sama broni się przed egoizmem. Naturalnym bowiem procesem w człowieku jest ukochanie drugiej osoby. Człowiek zakochany tym samym najbardziej zwyczajnie i naturalnie przestaje myśleć o sobie, a zaczyna troszczyć się o kogoś, by wybranemu komuś było łatwiej, lepiej, by był radosny i

dobry, i aby nas pokochał. A w wypadku zakochania małżeńskiego i rodzinnego człowiek nawet bez pamiętania o własnym trudzie przyjmuje na siebie kłopoty żony i dzieci. Rodzina staje się stałym przedmiotem jego miłości, przez to czynnikiem jego rozwoju wewnętrznego, ponieważ nie pozwala wpaść w egoizm, w ciasnotę własnych spraw. Wydobywa człowieka ku światu, ku nowym problemom, ku pytaniom i właściwemu życiu. Miłość więc powoduje, że człowiek zostaje uratowany dla uspołecznienia, że zaczyna interesować się różnymi sprawami, by móc pomagać osobie kochanej, że wciąga w tę sprawę innych ludzi, żyje społecznie.

Ktoś powie, że to jest typowy problem wysublimowanej erotyki, szukania kobiety jako głównego motywu ludzkiego działania. Można jednak przeciwstawić się temu twierdzeniu. Erotyka bowiem dotyczy takiej sytuacji, w której celem człowieka staje się przyjemność. Gdy jednak celem działania ludzkiego jest troska o to, by drugi człowiek przy mnie nie tracił, by się rozwijał, by stawało się wspólne dobro, wychowujące prawość i uczciwość, wtedy jest miłość, której podporządkowała się dobra, słuszna w człowieku i normalna zmysłowość jako jeden ze sposobów rozwijania miłości.

W tej sytuacji wszystkie tęsknoty zakochanego są w relacji do dobra, któremu służy, są sposobem i środkami wyrażania i rozwijania miłości, są uzgodnionym planem, są projektem życia. Mają cel i perspektywy. Są ładem, a przez to dalekosiężnym i kulturotwórczym życiem, realizującym konkretnie przeżywaną miłość.

Człowiek chętnie idzie za dążeniem do miłości. Człowiek bywa zakochany. Wtedy nie jest egoistą, nie szuka tylko siebie i swej przyjemności. Wtedy myśli o osobie drugiej, otwiera się na jej sprawy. Wsłuchuje się w jej trud. Człowiek zakochany przełamuje więc tragiczną chorobę woli i tragiczną chorobę intelektu. Zyskuje na tym osobiście. Zyskuje także społeczność. Człowiek zakochany wychowuje więc społeczeństwo. I na tym właśnie polega społeczna funkcja zakochania. Oczywiście problem wychowania jest szeroki, trudny i bardzo złożony. Wymaga świadomego działania. To działanie może pojawić się wtedy, gdy człowiek chce pracować nad sobą i innymi. Takie chcenie nie pojawia się automatycznie. Jest także wychowywane.

Wybór tego, co słuszne i dobre, nazywa się prawością. Prawość jest jakąś wcześniej ukształtowaną w człowieku, w okresie już jego pierwszych kojarzeń, łatwością wyboru tego, co słuszne. Wybór tego, co słuszne, nie jest łatwy. Wymaga nauczania się podejmowania trudu. I kojarzenie dążeń z odpowiednimi przedmiotami, i podejmowanie trudu są poza tym akcją rozbudzania myślenia, które w swej naturze jest zawsze ujmowaniem i sądzeniem rzeczy, otwarciem się na nie, przyjęciem ich jako przedmiotu dążeń i oceny. Przedmiot ten rozwija człowieka. Nastawia go na właściwe, rozumne cele ludzkiego działania i zbliża do sytuacji wyboru. Wybór jest zawsze dostrzeżeniem celu działań, którym jest dobro. Zostanie przy tym dobru jest miłością. W pełni zostaje człowiek przy człowieku, przy rozumnej osobie.

Do tego ostatecznego stania przy człowieku wychowuje miłość. Wychowuje najpierw przez spontaniczne, radosne przyłgnięcie dziecka do rodziców, do rodzeństwa, dalej przez zachwyt nad pięknem świata, pierwszych czytanych książek, nad pierwszą dobrocią ludzką. Wychowuje też przez głód uczciwości, przez ciekawość tego, jak jest naprawdę, przez potrzebę widzenia wszędzie ludzi szczęśliwych, przez ochotę pomagania im, naprawiania ich. Przez radość pracy dla jednej, wybranej osoby, by tym samym zyskiwał cały świat. I ta radość jest koroną innych motywów. Jest właściwą płaszczyzną osiągnięć ludzkich. Jest terenem chwały człowieka i chwały Boga.

Jedynie zakochani umieją dwie rzeczy. Umieją w swej naturalnej, własnej pracy kochania wyjść poza to, co niszczy człowieka, co go zniekształca, schematyzuje. I umieją mieć słuszny, dobry stosunek do człowieka. Czynią dobro w codziennej trosce o radość drugiego człowieka, o zwykłe sprawy. Stwarzają klimat, w którym człowiek rośnie. I można dodać w związku ze społeczną funkcją zakochania, że jedynie i tylko zakochani wychowują społeczeństwo.

Jakże ważna jest ta sprawa przy stwierdzeniu, że Bóg jest Osobą, a nawet Człowiekiem. I jak jest prawdziwe, że tylko zakochani w człowieku mogą nauczyć zakochania w Bogu. Oczywiście słuszniej byłoby powiedzieć, że zakochani w Bogu umieją jedynie nauczyć zakochania w człowieku. Chodzi jednak o kwestię przykładów. Bardziej czytelne i bardziej konkretnie znane jest zakochanie się człowieka w człowieku. Łatwiej

jest obserwować atmosferę tego właśnie zakochania, by nią leczyć się z egoizmu i praktycznie Wiedzieć, jak kochać Boga. Wiedzieć, że to nie nadzwyczajnie trudnego, że to tylko stała tęsknota do kogoś drugiego, o kim wciąż się myśli i marzy.

Jest oczywiście dużo egoizmu i ludzi złych, nieuczciwych, ciasnych. Jest także wielu ludzi, którzy nie mogli czy też nie chcieli się rozwijać. Ciasnota umysłowa jest też naszą chorobą społeczną. Niezależnie od tego stwierdza się fakt, że zastraszający egoizm wskazuje na brak miłości. Jest dużo erotyzmu, wypiełgnowanego w naszej kulturze, a mało miłości, czyli tej prostej sytuacji, w której zmysłowość służy człowiekowi, a nie człowiek przyjemności. Gdy nie ma miłości, jest niewolnictwo. Człowiek jest w niewoli pragnień, które go wyniszczają, w niewoli chaosu, ciasnoty, siebie. Nic więc dziwnego, że człowiek nie chce dobra, że nie nauczył się kochać wielu osób, a tym samym Boga, skoro nigdy nikogo nie kochał. Kochać wiele osób to znaczy troszczyć się o ich dobro i o ich rozwój wewnętrzny. Własny rozwój uzyskuje się różnymi środkami. I także przez narzeczeństwo, przez małżeństwo, przez zakochanie. Najbardziej przez zakochanie.

Katolicy znają słowa: „Ubi caritas et amor Deus ibi est”, „Tam gdzie jest miłość, jest Bóg”. Bóg jest blisko człowieka zakochanego. Potrzeba jeszcze tylko decyzji świadomego pokochania także Boga. Tak jak się kocha wybranego człowieka. I w podobny sposób wypełnienia tęsknot i pamięci. Razem z Bogiem dialog rozmów i spojrzeń. Trwanie w Bogu, z którego wychodzi się do innych zajęć. Tak jak u zakochanych, którzy doskonale pracują tylko wtedy, gdy myślą o osobie kochanej. Człowiek bowiem pracując tylko dla siebie, nie dla kogoś drugiego i siebie, krzywdzi i okrada społeczność, a także własne szczęście.

Od zakochanych więc mogą się wiele nauczyć ludzie, którzy nie umieją kochać Boga. Mogą nauczyć się podobnej tęsknoty, wypełnienia pragnień i myśli Bogiem. Zakochany w Bogu był Franciszek i Teresa z Lisieux. Dziwiło to potoczną pobożność. Franciszek i Teresa nie uczyli się jednak zakochania. Nie odbyli długiej drogi zbliżania się do Boga. Zakochali się od razu w Bogu i od Boga szli do ludzi. Poszerzeni i tak miłujący, że ludzie zapragnęli kochać Boga.

Często kochając człowieka boimy się, by nie odszedł od nas zakochawszy się w Bogu. Nie wiemy, że każda prawdziwa miłość jest miłością Boga, ponieważ w każdym autentycznym przebiegu jest wyborem dobra. Wybór dobra jest zawsze tęsknotą za Bogiem. A tęsknota jest znakiem miłości. I nie wiemy, że miłości człowieka do nas nie zatrzymamy dla siebie. To byłoby znowu egoizmem. Tego rodzaju egoizmu nie umiemy ustrzec się czasem nawet zakochani. Nie umiemy dopuścić Boga do swej miłości. A nawet sądzą, że ich wyłączną własnością jest miłość ciała. Ta miłość jednak także winna być pewnym sposobem uwielbienia Boga.

Dwie są drogi uratowania ludzi przed egoizmem i ciasnotą. Zakochać się najpierw w Bogu, bo wtedy jak najbardziej i dobrze kocha się człowieka; albo pokochawszy człowieka dojść aż do Boga i dopiero stąd wychodząc poprawiać swą miłość, wreszcie właściwie i najpełniej kochać człowieka. Na tej drugiej drodze pomaga nam uczenie się od zakochanych, a mianowicie uczenie się oddania w sobie pierwszego we wszystkim miejsca osobie ukochanej, w tym wypadku Bogu.

Spółeczna wartość zakochania polega więc także na tym, że zakochani uczą kochać Boga. Poprzez przeżycie dobrej miłości. Poprzez troskę o dobro.

I gdyby zakochani w człowieku zakochali się także w Bogu! Wszak winni spełnić to doskonale. Wtedy ich funkcja społeczna polegałaby nie tylko na wydobywaniu ludzi z egoizmu, na ratowaniu tym samym społeczeństwa, na wychowywaniu prawości, na pouczaniu ludzi o sposobie kontaktów z Bogiem. Funkcja ta polegałaby także na autentycznym i szerokim realizowaniu Ostatecznej Przyjaźni, pełnego życia ludzkiego, ogromnej radości, że człowiek nadał swej miłości kierunek najważniejszy i najtrafniejszy.

## DROGA ŚWIECKICH I DUCHOWNYCH W ŻYCIU RELIGIJNYM

Czy istnieją podobieństwa i czy istnieją różnice w sposobie przybliżania się do Boga osób świeckich i duchownych? Inaczej mówiąc, chcę odpowiedzieć na pytanie, czy duchowni są wyróżnieni powołaniem do większej doskonałości niż świeccy, czy też w ten

sam sposób i duchowni, i świeccy mają dążyć do tego samego celu: wielkiej ku Bogu miłości. Chodzi oczywiście o aspekt psychologiczno-ascetyczny. Pomijam inne aspekty tego zagadnienia.

Zauważmy więc najpierw, że istnieje podobieństwo, nawet tożsamość zasadniczych celów życia osób duchownych i świeckich. Dla jednych i drugich tym celem jest chwała Boża, oddawana Bogu w doskonaleniu się ludzi. Miarą doskonałości jest doskonałość Boga. A ponieważ cel jest tym, co człowieka ku sobie pociąga, swoiście przywołuje, można powiedzieć, że główny cel naszego życia jest jednocześnie naszym powołaniem.

Oddanie chwały Bogu przez religijny rozwój wewnętrzny, dokonujący się w ukochaniu Boga, stanowi nasze powołanie.

Istnieje też tożsamość środków, takich samych dla osób duchownych i świeckich. Środkami udoskonalenia religijnego są sakramenty i realizacja rad ewangelicznych. I duchowni, i świeccy tych środków używają, a nawet muszą używać, jeżeli chcą iść za Chrystusem.

Sakramenty realnie kontaktują nas z Bogiem, a dla utrzymania tego kontaktu wszyscy bez wyjątku zawsze musimy być czyści, umartwieni i posłuszni Bogu, tak jak to wyrażają rady ewangeliczne. A więc i duchowni, i świeccy jednakowo muszą używać środków sakramentalnych, jednakowo realizować rady ewangeliczne. I w tym nie ma różnicy, są podobieństwa.

Różnica może istnieć jedynie w ascetycznych skutkach przyjęcia niektórych sakramentów.

Różnica więc między drogą świeckich i duchownych zaczyna się dopiero tu, w typie umartwienia, wyznaczonego przez przyjęcie sakramentu kapłaństwa albo małżeństwa.

Mamy więc z jednej strony podobieństwo w celach i środkach takich jak sakramenty i rady ewangeliczne, różnice, jeżeli chodzi o ascetyczną stronę sprawy, jedynie w typie umartwienia, wynikającego z przyjęcia sakramentu małżeństwa lub kapłaństwa.

Rola i funkcja kapłana jest inna w Kościele niż rola i funkcja ludzi świeckich. Jest jednak ta sama dla wszystkich droga ascetyczna, to znaczy droga przybliżania się do Boga. I stąd można wszystkich duchownych i świeckich, kapłanów, zakonników i zakonnice,

traktować na drodze do Boga jednakowo. Można jednak duchownych uznać za grupę ludzi stosujących ten sam typ umartwienia, wynikający z życia opartego na zobowiązaniu się ślubem do zachowania rad ewangelicznych, a osoby świeckie można uważać za grupę stosującą umartwienie, właściwe ludziom nie zobowiązującym się ślubem do zachowania rad ewangelicznych.

Stan ślubu u osób duchownych jest konsekwencją wyboru typu umartwienia, uznanego przez Kościół za powołanie życiowe danego człowieka. Stan tych, którzy nie ślubowali rad ewangelicznych, nie jest przez to mniej doskonały, ponieważ po prostu nie zostali powołani do szczegółowo określonego typu umartwienia. Zostali tym samym powołani do samookreślenia swego umartwienia.

Z punktu widzenia ascetycznego wielkim wyrzeczeniem, pominięciem siebie jest dobrowolne tego typu ubóstwo, które wyraża się w ofiarowaniu Bogu i nie podjęciu życia małżeńskiego. W małżeństwie można także realizować pełne ubóstwo. A więc jedna i druga droga jest tylko wtedy środkiem naszego uświęcenia, gdy jest realizowaniem powołania. Powołanie jest wolą Boga. Zbawiamy się realizując wolę Bożą.

Z tego nie wynika, że jest łatwo rozpoznać swoje powołanie.

Pewne sprawy są jednak jasne. Zrozumiałe mianowicie jest to, że zostaliśmy powołani, aby ukochać Boga. To ukochanie Boga jest jakoś proporcjonalne do pominięcia siebie. Jest bowiem tylko wtedy czymś faktycznym, gdy nie jesteśmy sami dla siebie celem działania, gdy rezygnujemy z siebie, czyli gdy przełamujemy egoizm. Odejście od siebie sprawdzamy stopniem przejęcia się innymi ludźmi, naszymi bliźnimi. Im dalej jesteśmy od siebie z miłości do bliźnich, tym bliżej jesteśmy Boga, ponieważ aby dojść do Boga, trzeba odejść od siebie. Nie idzie się przecież do Boga, gdy się egoistycznie trwa przy sobie. Z racji więc powołania do ukochania Boga jesteśmy powołani do przełamania egoizmu, powołani i zobowiązani.

Z racji powołania do miłości, czyli bezinteresownego przejęcia się kimś drugim, a przede wszystkim Bogiem, jesteśmy też powołani do używania środków przełamujących egoizm, a rozwijających miłość do Boga. I jesteśmy tym samym uprawnieni do stosowania tych środków.



Jesteśmy więc ogólnie powołani do życia rodzinnego, czyli z punktu widzenia ascetycznego do takiego życia, w którym nasza miłość w sposób naturalny i prawie automatyczny kieruje się do bliskich nam osób. Człowiek w rodzinie przestaje zajmować się sobą i być celem swych działań, ponieważ zajmuje się rodziną, żoną, dziećmi, innymi ludźmi. Zabiega o ich sprawy i ich dobro. W sposób naturalny nastawia się wtedy na dobro i potrzeby innych osób. W sposób naturalny uzdrawiamy swą miłość wyzwalając ją z egoizmu, z nastawienia na siebie, a tym samym w sposób prawie automatyczny kierujemy tę miłość do Boga.

Ogólne więc powołanie do miłowania Boga, a więc i wyzwiania się z egoizmu, jest także powołaniem do stosowania środków oczywiście sakramentalnych i rad ewangelicznych, ale także i naturalnych. Tym naturalnym środkiem, zaplanowanym dla nas przez Opatrzność, jest właśnie rodzina, powstająca przez przyjęcie sakramentu małżeństwa i nastawiająca człowieka na inne osoby z pominięciem siebie.

Ale gdy Bóg powoła kogoś do kapłaństwa, czy zmienia się wtedy coś w dziedzinie celów i środków rozwoju miłości Bożej?

Wiemy już, że zasadnicze cele człowieka świeckiego i zasadnicze cele osób duchownych są te same. Te same są też środki sakramentalne i ascetyczne. Jest tylko różnica w sakramentach i różnica funkcji, jaką spełnia dany człowiek w nadprzyrodzonym organizmie mistycznym Chrystusa przyjmując kapłaństwo lub małżeństwo. Przyjmując sakrament małżeństwa człowiek świecki uzyskuje swoje podobieństwo do Chrystusa przy pomocy także takiego środka, którym jest rodzina, naturalna okazja do przełamania egoizmu, a inaczej mówiąc racja innego typu umartwienia. Przyjmując sakrament kapłaństwa człowiek duchowny musi uzyskać swój rozwój religijny przy pomocy innego niż świeccy umartwienia. Człowiek świecki zajmując się rodziną przestaje przynajmniej w pewnych momentach zajmować się sobą. Człowiek duchowny nie mając tego środka korzysta z innego, mianowicie z cnoty męstwa i cierpliwości, a przede wszystkim ze swoistego przez śluby przywiązania do Chrystusa. Zamiast rodziny i jej spraw, które odrywają od egoizmu, człowiek duchowny jako środek odejścia od siebie ma sprawę swej samotności, czyli skupienia się w Bogu przez większą pokutę, której nie mogą pełnić na

przykład matki i ojcowie rodzin. Samotności nie należy nigdy rozumieć jako pustki, lecz jako trwanie przy Bogu i tym samym przy wszystkich sprawach Bożych i Bożych troskach, z których największa dotyczy zbawienia ludzi, naszych bliźnich. Człowiek skupiony w Bogu jest swą modlitwą tam wszędzie, gdzie jest Bóg.

Zobaczmy jednak najpierw, jakie jest podobieństwo między kapłanem, zbawiającym ludzi razem z Bogiem, a człowiekiem świeckim, który także razem z Chrystusem zabiega o ocalenie dla Boga miłości ludzi. Te podobieństwa między kapłanem i wiernym niekapłanem rozpatrzmy w aspekcie jedynie psychologiczno-ascetycznym.

Kapłan to człowiek, którego zadaniem życiowym, a tym samym powołaniem jest roztaczanie opieki nad Eucharystią, nad Ciałem Chrystusa, które Bóg w całkowitym zaufaniu oddał w opiekę ludziom. Stąd kapłan musi mieć wiele cech ojcowskich, braterskich, rodzinnych, wiele troski o Chrystusa, którym się opiekuje. A dalej kapłan to ktoś opiekujący się Osobą. Wynika z tego obowiązek rozmowy. Kapłan rozmawia z Osobą, którą się opiekuje. Kapłan więc to ktoś tym samym pełen modlitwy, znający Boga, Jego objawienie i drogi ludzkiego dochodzenia do Boga.

A katolik świecki także jaką przecież serdeczną troską otacza Chrystusa w Eucharystii. Odwiedza Go wdzięczny za to, że Chrystus nieustannie ofiarowuje Ojcu swą miłość za nas i w naszym imieniu. Wierny świecki wyraża słowa podziękii, modli się więc, przybliża do Boga, zna Go i ceni. Zna objawioną wolę Boga i katolicką duchowość.

Różnica między kapłanami a świeckimi polega więc jedynie na tym, że świeccy nie są powołani, a tym samym uprawnieni do przeistoczenia, do sprawowania w jakimś sensie ojcostwa, którym jest zamiana chleba w Ciało Chrystusa. Ojcostwo świeckich dokonuje się w porządku przyrodzonym. Ojcostwo kapłanów jest nadprzyrodzone.

Osoby świeckie — powtórzmy to raz jeszcze — nie różnią się więc od osób duchownych w zakresie celów i stanu rad ewangelicznych. Nie różnią się też od kapłanów w zakresie sytuacji psychologiczno-ascetycznej. Różnią się jedynie funkcją w nadprzyrodzonym organizmie mistycznym Chrystusa. Różnią się stąd typem umartwienia i ofiary składanej Bogu. A różnica płynie z przyjętego sakramentu małżeństwa lub kapłaństwa.

Kapłan odprawia Mszę św. Wierni niekapłani także ją odprawiają przez uczestniczenie. Lecz na ich słowa chleb nie staje się Chrystusem. Na słowa kapłana chleb staje się Ciałem Chrystusa, a wino Jego Krwią.

Może dlatego, że kapłan z racji swego urzędu jest w wielu momentach już podobny do Chrystusa, droga kapłana do Boga jest trudniejsza. Jest trudniejsza, ponieważ wiąże się z koniecznością posiadania cnoty męstwa w stopniu zaawansowanym na tyle, aby kapłan mógł trwać przy Bogu mimo trudności w przełamywaniu swego egoizmu bez naturalnych środków, dostępnych w rodzinie ludziom świeckim. Kapłan musi swą miłość wprost umieścić w Bogu, mimo że jeszcze nie zawsze przebył już drogę oczyszczenia, że często przeżywa wahania, mękę pokus przeciw cierpliwości, mękę zmęczenia samotnością i walką o Boga.

W zaprawieniu się do trudnego życia miało kapłanowi pomóc seminarium, a zakonnikom i zakonnicom nowicjat. I seminarium, i nowicjat są znakomitym okresem życia, w którym człowiek, zanim uzna za niewątpliwą wartość trwanie przy Bogu, jest zabezpieczony przed ewentualnością pójścia za jakimś mało wartościowym i drobnym celem życia poza Bogiem. Inaczej mówiąc, w okresie drogi oczyszczenia i wahań ma środowisko duchowne, które go podtrzymuje, poucza, pomaga przetrwać niepewność i złe nastroje. Duch Święty bardzo więc wyróżnia tych, których przeprowadza przez seminarium duchowne czy nowicjat. Powołanie do kapłaństwa nie jest wyróżnieniem, jest służbą, jest zadaniem do spełnienia, realizowaniem zamierzeń Bożych, wynikających z sakramentu kapłaństwa, tak jak podstawą realizowania innych zadań w Ciele Mistycznym jest sakrament małżeństwa. I kapłaństwo jest powołaniem, i małżeństwo jest powołaniem.

Ale pobyt w seminarium czy nowicjat, trwanie w kapłaństwie czy zakonie jest wyróżnieniem, przez które Duch Święty mówi wybranym, że ich zaprasza do intensywniejszego życia w miłości Bożej. Seminarium i zakon jest z tej racji wyraźnym wezwaniem do życia świętego. Wszyscy jesteśmy powołani do życia świętego, ale duchownym Duch Święty mówi przez fakt prowadzenia ich do seminarium i nowicjatu, że właśnie ciebie, tego oto człowieka specjalnie raz jeszcze zaprasza. Może świeccy są tymi ludźmi, którym nie trzeba przypominać ich powołania do świętości. A może, ponieważ

częściej są obojętni, nie bardzo chcą realizować życzenia Ducha Świętego. Duchownych wyraźnie przez propozycję samotności i ślubowania rad ewangelicznych Duch Święty zaprasza na ten etap życia, który jest na serio porzuceniem siebie, a wyborem Boga. Zaprasza, a więc podsuwa główny cel życia.

Ale seminarzysta i kapłan, zakonnik i zakonnica nie są wolni i na tej drodze od niebezpieczeństw.

Świeccy na swej drodze także spotykają tysiące niebezpieczeństw, a głównie te, które wyróżnia Jan Apostoł: pożądlivość oczu, pożądlivość ciała i pycha.

Dla duchownych, tak kapłanów, jak zakonników, oprócz tych trudności i pokus niebezpieczeństwem może być samo kapłaństwo i samo życie zakonne. Może im się wydawać, że celem ich życia jest kapłaństwo lub stan zakonny. I będą realizowali tylko kapłaństwo i urządzali się w stanie zakonnym. A tymczasem celem życia jest jedynie Bóg. I nie powinni przejść się bardziej swym kapłaństwem i zakonem niż Bogiem. Powinni przejść się Bogiem, tylko Bogiem. Z tego wypłyne wszystko. Obudzi się w nich pasja służby Bogu. Nie ma tej pasji, gdy nie ma przejścia się Bogiem.

A najtrudniejszym niebezpieczeństwem jest nieumiejętność rozróżnienia powołania do kapłaństwa lub życia zakonnego od powołania na drogę oczyszczenia. W tym powołaniu, które jest zbliżeniem się człowieka do Boga, a nazywa się drogą oczyszczenia i początkiem zjednoczenia, człowiek przeżywa poczucie zmęczenia sprawami Boskimi, poczucie odrzucenia od Boga, niemożność modlitwy, ale i wciąż palącą tęsknotę do Boga. Przeżywa pokusy przeciw cierpliwości, męstwu, czystości. I człowiek jest zdezorientowany. I może mu się wydawać, że utracił powołanie do służby kapłańskiej czy zakonnej. Nie, nie utracił tego powołania, tylko Bóg chciał pogłębić jego życie wewnętrzne przez dokonanie oczyszczenia. Człowiek nie rozpoznał tego działania Bożego. Ileż takich pomyłek stało się początkiem wielkich wewnętrznych tragedii ludzkich. Ile z tego powodu Bóg utracił ludzi, którzy myląc drogę funkcji w Ciele Mistycznym z drogą pogłębiającego się życia religijnego, cofnęli się. Dali się wciągnąć w nastrój przygnębienia, zniechęcenia, poczucia przegranej. Zatrzymali się. A Bóg chciał, aby przeżyli żal i ufność. Żal przybliżyłby im Boga, a ufność pomogłaby przetrwać pokusę.

I ludzie świeccy ileż razy, przeżywając zniechęcenie w stosunku do spraw Boskich, niemożność modlitwy, jakieś przypuszczenie odrzucenia przez Boga, poddają się tej sytuacji, rezygnują z walki. Dezorientują ich pokusy przeciw męstwu, cierpliwości, czystości. Gdyby wtedy uchwycili się tej trwałej w nich tęsknoty do Boga. Nie ufają tej tęsknocie. I nie przechodzą dalej, cofają się, nie zbliżają do Boga, stoją, wegetują. Jakże martwi się nimi Bóg, miłujący tak bardzo dusze, które doskonali miłość. Ale właśnie muszą przejść tę mękę. I gdy są bliżej Boga, męka ta jest większa.

Dusze zjednoczone doświadczają tym bardziej pokus przeciw wierze, nadziei, miłości. Prawie konają z bólu. Ale w tym bólu są podobne do Chrystusa w Ogrójcu i z krzyża. Bo tak właśnie przebiega i ludzka droga do Boga: drogą krzyżową, która kończy się utratą siebie. Zgoda na taką drogę wymaga wielkiej ufności i miłości.

A więc znowu niebezpieczeństwo podobne, prawie te same trudności duchownych i osób świeckich. Bo właśnie mało jest różnic, a więcej podobieństw w drodze ludzi do Boga. I duchowni, i świeccy idą tą samą drogą, ku temu samemu Bogu.

Świeccy są podejmowani przez Boga, a kapłani podają do stołu. Podają Chleb Boży wszystkim, których do wspólnego trwania w miłości zaprosił Bóg, nasz Ojciec.

Duchowni dla świeckich są poza tym specjalistami w miłości Bożej. Uważa się ich często postulatywnie za ludzi, którzy nie tylko wiedzą o Bogu, nie tylko realizują sprawy Boskie, lecz także i przede wszystkim dlatego je realizują, że kochają Boga.

Duchownych uważa się za osoby wyspecjalizowane w prawdziwej, autentycznej miłości do Boga. Uważa się ich za osoby kochające Boga nade wszystko.

Także i w tym leży odrębność drogi duchownych, w tym postulowaniu ich dogłębnego przejścia się na serio Bogiem.

Byłaby więc między duchownymi i świeckimi następująca różnica: obowiązek duchownych dawania z urzędu przykładu miłości Bożej i różnica w umartwieniu, wypływająca z przyjęcia sakramentu kapłaństwa. Nie ma bowiem, rozpatrując sprawę od strony ascetycznej, różnicy w celach osób świeckich i duchownych ani w środkach zdobywania Boga.

A niekiedy specjalną różnicę w drodze ludzi do Boga powoduje sam Bóg, gdy przez cierpienie, niby przez swoistą klauzurę, oddziela człowieka od spraw, których dla danej osoby nie przewidział, i kieruje go wyłącznie do wieczystych z sobą rozmów i miłości.

## CZŁOWIEK SAMOTNY

Celem naszego życia religijnego nie jest oczywiście człowiek i jego działalność. Celem jest Bóg. Zawsze Bóg. Jedyne Bóg. Bóg nasza miłość, nasza tęsknota, nasza nadzieja i wiara, nasz los, przyszłość, nasz Ojciec.

Ale realne spotkanie człowieka z Bogiem nie jest możliwe, gdy człowiek znajduje się w grzechu. Porzucenie grzechu, a więc nakierowywanie miłości na Boga i posiadanie tej miłości jest warunkiem spotkania człowieka z Bogiem. Kierowanie więc swej miłości ku Bogu stałe i wytrwałe jest naturą doskonalenia się. Doskonając się rozwijamy w sobie miłość, która jest właściwym środowiskiem Boga. Bóg jest w nas, gdy jest w nas miłość.

Bóg jest celem człowieka. I Bóg sam prowadzi nas w tym życiu ku sobie. Prowadzi według swego pomysłu. Kształtuje nas przy pomocy środków, które dla nas sam przewidział. Umieszcza nas w kapłaństwie, w sytuacji ślubów zakonnych, w małżeństwie albo zupełnie poza tymi grupami. Nasze zadanie polega na uznaniu planów Bożych, tym samym na zgadzaniu się z wolą Boga.

Osoby samotne, nie powołane przez Boga ani w szeregi duchownych, ani w szeregi małżeństw, jeżeli nie zawiniły w stosunku ani do jednego, ani do drugiego powołania, są przez Boga powołane na wyjątkową i trudną drogę pustelniczą. Tak to trzeba nazwać. Oczywiście tego powołania można nie podjąć i można je utracić. Ale tak to jest. Merton w swej książce pt. *Thoughts in solitude*, New York 1958, pisze, że „samotność jest młodszym bratem męczeństwa. I tylko sam Duch Święty rozstrzyga, kto z nas ma pójść drogą męczeństwa, a kto ma pozostać człowiekiem samotnym”. Dla mnie być kimś samotnym znaczy być kimś powołanym do przebywania zupełnie i zawsze sam na sam z Bogiem w środku świata. Osobiście zresztą z punktu widzenia ascetycznego nie widzę różnicy między

gwarnym miasteczkiem a Saharą. Sam na sam z Bogiem można być wszędzie. Wydaje się, że powołanie do przebywania sam na sam z Bogiem jest wysokim powołaniem, które daje poza tym ogromną plastyczność i możliwość działania. Mogę być tam wszędzie, gdzie mnie potrzebuje Bóg głosem potrzeb moich bliźnich. Duchowni i małżonkowie mają określone zadanie przez fakt tego oto ołtarza, na którym strzegą Ciała Chrystusa, przez fakt tej oto rodziny, a samotni nie mają tych konkretyzacji, tych szczegółowo określonych obowiązków przez małżeństwo i kapłaństwo. Mogą wędrować jak św. Franciszek trubadur i nie myśląc o sobie nieść pomoc, która zawsze jest objawianiem miłości.

Osoby samotne, czyli te, którym Bóg nie zlecił obowiązku powiązania się z drugim człowiekiem w małżeństwie czy opieki nad Eucharystią i rozdawanymi sakramentami, są bez wątplenia powołane do swoistego umiłowania Boga. Stanowią z tej racji najbliższy krąg przyjaciół Bożych, jeżeli są na tę drogę autentycznie powołane. Z punktu widzenia ascetycznego powołanie pustelnicze, powołanie więc do przebywania sam na sam z Bogiem, jest perspektywą godną zazdrości.

Z punktu widzenia mody na konieczność małżeństwa albo kapłaństwa samotność nie ma sensu.

W perspektywach religijnych człowiek nie powołany ani do kapłaństwa, ani do małżeństwa nie jest człowiekiem bez określonej drogi. Ma drogę jak najbardziej określoną. Po prostu Bóg chce go mieć tak blisko siebie i dla swoich osobistych zadań, że nie wiąże go z obowiązkami wynikającymi z kapłaństwa ani z obowiązkami wynikającymi z małżeństwa. Owszem, prace nad kształtowaniem wewnętrznym człowieka Bóg zleca drugiemu, określone mu człowiekowi. I osoby samotne wiąże także z ich kierownikiem duchowym czy spowiednikiem. Ale Bóg podkreśla przez fakt wprowadzenia kogoś na drogę samotności, że tę osobę wybrał sobie do zadań specjalnych (na przykład takich, aby ktoś mieszkał na danej ulicy i na poddaszu, i codziennie przez dziesiątki lat wychodząc rano po chleb do sklepu uśmiechał się do ponurego sąsiada z poddasza, by go ratować przed pesymizmem; dzisiaj ksiądz jeszcze nie mieszka na poddaszu, ani nie mieszkają tu jeszcze zakonnice — a duszę ludzką z poddasza trzeba uratować). Te specjalne poruczenia, których może nawet nie znamy, Bóg rozdziela armii swoich wybranych przyjaciół, osób

samotnych, powołanych do przebywania z Bogiem sam na siani, w trudnej sytuacji pustelniczego powołania.

Być może mało jest osób samotnych, które tak widziałyby swoje powołanie. Takie ustawienie swego powołania wymaga oczywiście wielkiego zaufania Bogu.

Jeżeli więc celem naszego życia religijnego jest Bóg, któremu otwieramy duszę pogłębiając swą miłość, i jeżeli Bóg jest źródłem tego życia, a tym samym projektantem środków naszego rozwoju, to każdy pomysł Boży naszej drogi jest Jego wyjątkowym dla nas darem. Darem i wyróżnieniem ze strony Boga jest droga człowieka samotnego. Człowiek jest samotny z woli Bożej. Mądrością życiową jest uznać to i godnie realizować. Wiązą nas bowiem z Bogiem i zbawiają Jego życzenia.

Mogą więc być osoby powołane do przebywania sam na sam z Bogiem. Znakiem takiego powołania może być samotność, czyli sytuacja pustelnicza. Wezwanie na drogę pustelniczą jest często zapowiedzią zadań specjalnych, tych, które Bóg realizuje przez nas w poszczególnych duszach ludzkich.

Może być i tak, że ktoś nie chce takiego powołania, że wrywa się i buntuje. Ale niekiedy sprawa, którą człowiek ma zrealizować przez swoją samotność, jest tej wagi, że Bóg nie zmienia człowiekowi drogi i mimo jego niechęci, jak kiedyś Jeremiasza, trzyma danego człowieka w pustelni proponując cicho swą miłość.

Gdy człowiek samotny usłyszy prośbę Boga o ukochanie Go i gdy ukocha Boga nade wszystko, jego droga wyda mu się dobra, ponieważ jest dobra. Zawsze bowiem dobre dla nas jest to, co Bóg nam daje. Nie można uświęcić się realizując swoje plany, a porzucając Boże. A spełnienie życzeń Bożych jest wyznaniem miłości. Jest zarazem znakiem, że odczytaliśmy zamysł Boga, że więc Bóg oczyszcza nasz intelekt i naszą wolę.

## POZDRAWIAM STARCÓW

Z okien swego pokoju widzę codziennie na balkonie pobliskiego domu człowieka-  
starca. Zupełnie siwy, pomarszczony, wsłuchujący się w gwar miasta, przypatrujący się



kolorowym ubraniom spacerujących par ludzkich lub zaczytany w stosach jakichś swych ulubionych książek.

Pozdrawiam cię, człowieku stary, mój bracie, i pozdrawiam w Tobie wszystkich starców ziemi, czcigodnych ludzi, którzy noszą na sobie udzielone im przez Boga znaki zbliżania się czasu powrotu do domu, do Przedwiecznego Ojca. I myślę z nadzieją, która budzi wzruszenie, bardzo radosne wzruszenie, że dożyję lat, które i moją głowę przyprószą siwizną, dadzą mi pomarszczoną twarz, drżące dłonie, doświadczone serce, mądrą refleksję i miłość, ogarniającą młody świat, te wszystkie znaki, które są swoistym listem, pisany przez Boga do ludzi, że mają się przygotować do drogi.

Tak rozumiem starość. Rozumiem ją jako znak przywoływania nas przez Boga; jako nadzieję trwałego życia, którego treścią będzie miłowanie.

Starość więc to dla mnie stan nadziei i oczekiwania niezmaconej troskami miłości w sercu samego Boga.

Jakże Bóg jest dobry, że nie wyrywa ludzi nieoczekiwanie z ich spraw, że przypomina o podjęciu intensywniejszych aktów miłości do Boga i ludzi. Tylko przecież miłość załatwia właściwie każdą naszą sprawę, sprawę naszych bliźnich i sprawę Boga.

Na starców patrzę zawsze z zazdrością, jak na kogoś z biletem uprawniającym do podróży, do której nie jestem jeszcze powołany.

I swoją starość trzeba więc traktować jako powołanie. Powołanie to ma się realizować w osiągnięciu większej miłości do wszystkich, do Boga i ludzi, ale i w wyraźnej nadziei, że Bóg uznał naszą pracę, nasze spełnianie zadań wyznaczonych przez Opatrzność, że ma względem nas, przechodzących w starość, już teraz nowe plany, plany pogłębienia człowieka przez ujawnienie mu swego wewnętrznego życia „twarzą w twarz”.

\*

To, co mówię, nie jest przywoływaniem śmierci. Jest to tylko zwrócenie uwagi na to, że Bóg przez starość ludzką objawia światu swą troskę o ludzi. Pokazuje, że nasze właściwe życie jest zawsze życiem w Bogu i że to życie osiąga swoją najpełniejszą miarę w sercu Boga, w samej Trójcy Świętej. Św. Paweł wyraźnie mówi, że nasze właściwe życie ukryte jest wspólnie z Chrystusem w Bogu.

To tylko człowiek, gdy jest mniej usprawiony w chrześcijańskiej nadziei, przypuszcza, że starość odbierze mu wszystkie siły, możliwość działania. Nie. Starość potęguje nasze działanie, oczywiście nie fizyczne, lecz duchowe, ponieważ daje nam szansę, gdy będziemy „twarzą w twarz”, szeptania wprost Bogu spraw ludzkiej, często zaplątanej miłości.

Wiem, starość może być ciężka. I bardzo polecam Bogu starców, którzy buntują się przeciw swej starości, którzy nie widzą u kresu jasno swej drogi, którzy z racji swej bezsiły zdani są na opiekę mało delikatnych rodzin. I wiem, że inna jest starość człowieka zdrowego, inna chorego, inna człowieka świeckiego, inna kapłana, zakonnika, zakonnicy, kogoś samotnego, bez własnej rodziny, otaczającej troską ostatnie lata życia człowieka. Ale zawsze starość zorientowana na właściwe cele człowieka jest nadzieją i ma ważną funkcję zwracania oczu świata ku Bogu.

I dziękuję Bogu, że są ludzie starzy, że znakami swego przygotowania się do odejścia świadczą o życiu, które poza doczesnością trwa już bez naszej nędzy i zmartwień.

Ludzie starzy są znakiem dobroci Boga. Są pochwałą naszych wysiłków, obietnicą Bożego błogosławieństwa, ozdobą świata, przypomnieniem nam tajemnicy wiecznego życia, celu i tej chwały, którą Bóg przygotowuje ludziom, dopuszczając ich aż do swego wewnętrznego życia, wyrażającego się nieskończonością Ojca, Syna i Ducha Świętego, umiłowanej Trójcy Osób będących samą mądrością, ładem, miłością. Nade wszystko miłością.

Drodzy starcy, to wy uczycie nas miłości ukazując nam przybliżanie się Boga ku ludziom, których Bóg już zaprasza do swego domu. Jesteście więc nam ogromnie potrzebni, jesteście lekcją naszych pragnień, naszej wiary i tęsknot.

Dziękuję Bogu za powołanie ludzi do starości. Za dźwiganie jej jako krzyża najbardziej apostołującego i przybliżającego do Boga, który zaprasza wszystkich do siebie, do swej miłości, będącej naszym trwaniem.

Nie myślcie z niechęcią o nas, młodych, zaufajcie naszemu stylowi życia. Na dnie naszych serc, mimo pozorów, jest wiele wdzięczności, przywiązania, uznania waszej pracy,

waszej miłości i waszej wielkiej roli nauczyciela obecności Bożej i troski Boga o każdego człowieka.

Pozdrawiam wszystkich ludzi starych, tak przecież jednocześnie młodych, ponieważ przechodzących do życia w wiecznej młodości Bożej.

## ODOPWIEDZIALNOŚĆ OSOBOWA I WSPÓLNOTOWA

Jeżeli przez odpowiedzialność będziemy rozumieli wzięcie na siebie konsekwencji jakiegoś własnego lub czyjś działania, to tak pojęta odpowiedzialność wprowadzą nas w dwie grupy faktów: 1) w dziedzinę sprawiedliwości i miłości, 2) w dziedzinę dobra i zła.

Wyjaśnijmy zaraz, że konsekwencją działań są zawsze jakieś ich dobre lub złe skutki. Działając możemy bowiem czynić dobro, albo go nie czynić, co właśnie nazywamy złem. Dodajmy, że możemy dla siebie lub dla kogoś chcieć zarówno dobra, jak i zła. Narzucenie komuś złych skutków naszych działań jest atakiem na autorstwo działań. Z tego między innymi powodu nasze działanie wiąże się z dziedziną sprawiedliwości, jako zasadą i umiejętnością łączenia skutków działania z podmiotem, który te działania spełniał.

Rozważmy najpierw powiązanie naszych działań z dziedziną sprawiedliwości. To powiązanie może być dwojakie: negatywne lub pozytywne.

Gdy naszym działaniom nie towarzyszy gotowość wzięcia na siebie skutków tych działań, znaczy to, że chcemy dokonywać działań poza ich związkiem ze sprawiedliwością. Chcemy więc skutki działań narzucić komuś innemu. Wtedy jednak poczucie sprawiedliwości u innych ludzi powoduje, że dane działania z ich przyczyną wiążemy poprzez swoistą i niekiedy trudną dydaktykę, poprzez przymuszenie, abyśmy wzięli na siebie skutki naszych działań. Wynika z tego choćby ten wniosek, że fakt odpowiedzialności jednak wiąże się z dziedziną sprawiedliwości.

Gdy z kolei naszym działaniom towarzyszy gotowość wzięcia na siebie konsekwencji tych działań, a więc dobrych lub złych skutków działania, znaczy to, że racją

(motywy, pobudką) tych działań jako odpowiedzialnych jest wewnętrzna prawość człowieka, skłaniająca do uwzględnienia perspektywy sprawiedliwości.

Rozważmy teraz powiązanie naszych działań z dziedziną miłości.

Jeżeli naturalna prawość człowieka, skłaniająca do odpowiedzialności w poczuciu sprawiedliwości, przejawia się w postaci bezinteresownej życzliwości, i gdy z tego powodu dany człowiek weźmie na siebie złe skutki czyichś działań, a dobre skutki swoich działań odda komuś drugiemu, wtedy odpowiedzialność przekracza sprawiedliwość w kierunku miłości. Miłość bowiem obdarowuje dobrem i chroni przed złem. Nie znaczy to, że miłość wyklucza sprawiedliwość. Znaczy to tylko, że akceptując autorstwo działań, możemy obdarować kogoś nam należnymi dobrami. Np. właśnie o. Kolbe wziął na siebie skutki czyjegoś wyroku śmierci obdarowując dobrem życia. Jeżeli jednak np. matka, kochająca syna, nie może wziąć na siebie skutków wyroku, który jest potępieniem syna, to tylko znaczy, że obowiązuje sprawiedliwość jako zasada związku działań z daną osobą. Ten związek obowiązuje. Miłość go nie narusza, a tylko przekracza wtedy, gdy danym dobrem można naprawić zło.

Przykład matki ujawnia poza tym granicę wspólnotowej odpowiedzialności oraz trudny i specyficzny problem międzyosobowych relacji, które powstają zarówno dzięki sprawiedliwości jak i miłości. Jeżeli więc miłość nie likwiduje sprawiedliwości, to znaczy, że gdy nie wykonamy dobra, nie można tego ontycznego braku niczym zapełnić. Miłość nie zmieniając faktu autorstwa działań może jednak obdarowywać dobrem. Międzyosobowe relacje inaczej więc wiążą ludzi w przypadku dobra i inaczej w przypadku zła. Dobro powoduje radość, zło powoduje smutek. Przeżywana radość ma często wersję szczęścia, przeżywany smutek jest odmianą cierpienia.

Powtórzmy przyjęte rozróżnienia:

Odpowiedzialność, to wzięcie na siebie skutków własnego lub czyjegoś działania.

Sprawiedliwość jest pilnowaniem autorstwa działań i umiejętności łączenia skutków działania z podmiotem, który te działania spełniał.

Odpowiedzialność związana ze sprawiedliwością jest pełnym prawości wzięciem na siebie dobrych i złych skutków własnych działań.

Odpowiedzialność związana z miłością nie likwidując sprawiedliwości jest wzięciem na siebie złych skutków czyichś działań i obdarowaniem kogoś dobrymi skutkami swoich działań, aby w ten sposób chronić go przed złem. Jest szlachetnością nie zawsze bezpośrednio czytelną, zawsze jednak wartościową, przywracającą dobro.

Problem odpowiedzialności wynika z faktu naszego powiązania z osobami. Jest jednym ze sposobów naszego udziału we wspólnocie.

Uświadamiamy więc sobie, że zagadnienia odpowiedzialności nie możemy w pełni rozwiązać bez podjęcia problemu sprawiedliwości i miłości, dobra i zła, bez problemu dydaktyki, która w tym wypadku jest kształtowaniem w człowieku jego prawości. Jeżeli z kolei odpowiedzialność uważamy za jedno z działań, powiązanych z działaniami innych ludzi, gdy bierzemy na siebie skutki tego, co czynią, to uświadamiamy sobie dalej, że działania są zawsze czyjeś, że wobec tego ich walor związku ze sprawiedliwością lub z miłością zależy od danej osoby i jej powiązania z innymi ludźmi. Zależy więc od tego, czy dana osoba pełniąc sprawiedliwość zastosuje także miłość wobec związanych z sobą ludzi.

Okazuje się, że rozwiązanie problemu odpowiedzialności musi być poprzedzone postawieniem problemu osoby i wspólnoty. Podkreślmy, że chodzi tu nie tyle o fakt osoby, ile o problem osoby, a więc o rozumienie, kim jest człowiek. Jeżeli bowiem pojmiemy człowieka na sposób Sartre'a, to znaczy jako absolutnie niezależnego od innych osób i rzeczy, co Sartre nazywa wolnością, wtedy na mocy likwidacji powiązań między osobowych znika także problem odpowiedzialności. Ta nieobecność w filozofii Sartre'a problemu odpowiedzialności spowodowała, jak wiemy, rewizję tej filozofii i w wielu środowiskach jej odrzucenie, co prowadziło do poszukiwania innego rozumienia człowieka.

Aby sprawa ta stała się jaśniejsza i aby nasze analizy można było prowadzić w kierunku rozwiązań, musimy najpierw odróżnić egzystencjalne fakty oraz ich ujęcie w formie zrozumienia i wyrażenia.

## RZECZYWISTOŚĆ I KULTUROWE JEJ UJĘCIE

Zespołem egzystencjalnych faktów, a więc rzeczywistością jest to wszystko, co istnieje niezależnie od naszej twórczości, mającej źródło w świadomości. Są to więc np. rośliny, zwierzęta, ludzie, relacje międzyludzkie w postaci obecności, rozmów, przyjaźni, także Bóg, relacje osobowe między Bogiem i człowiekiem w postaci łaski (obecność w osobie ludzkiej) modlitwy (rozmowa), świętości (pełna przyjaźń), dalej życie, śmierć, dobro, piękno, prawda.

Zespołem ujęć są wszystkie rozumienia tych faktów i wyrażenie tych rozumień w wersji np. artystycznej (literackiej, plastycznej, muzycznej), filozoficznej, teologicznej. Wszystkie te ujęcia tworzone, przejęte i przetwarzane możemy nazwać kulturą. One stanowią kulturę.

Sprecyzujmy więc, że osoba ludzka, jej relacje z innymi ludźmi, jej życie, śmierć, jej miłość, są realną rzeczywistością. Natomiast rozumienie osoby, międzyosobowych relacji, życia ludzi, ich śmierci, ich miłości, jest zespołem tworów, stanowiących kulturę, poprzez którą z kolei kształtujemy nasze odniesienie do tych faktów.

Dodajmy, że wobec tego religia nie jest poglądem, ideologią, zespołem teorii. Jest zespołem egzystencjalnych faktów, jest rzeczywistością. I należy to mocno podkreślić: religia jest zespołem właśnie faktów, którymi są osobowe relacje człowieka z Bogiem. Bóg faktycznie jest obecny w człowieku na mocy wywołanej w nas przez Boga przyjmującej go wiary i na mocy umiłowania Chrystusa, w zasięg którego wchodzimy kierując się do prawdy i dobra, co Duch Święty umacnia i przekształca w miłość. Ta miłość wyraża się i pogłębia w fakcie modlitwy, otwierającej Bogu całą osobę ludzką. Bóg powiązany z nami miłością utrwała swą pełną w nas obecność. Znaczy to, że w wyniku całkowitego uzgodnienia woli ludzkiej z wolą Boga Duch Święty na miarę Chrystusa czyni dla nas czymś dostępnym wewnętrzne życie Trójcy Świętej. Jest to właśnie rzeczywistość, którą nazywamy świętością, najpełniejszy etap naszych osobowych relacji z Bogiem.

Rozumienie jednak tych relacji, informacja o sposobach ich nawiązywania, a mówiąc inaczej teologia faktu zbawienia i teologia uświęcenia wraz z teologią sakramentów, czyli właśnie sposobów zbawczej obecności w nas Chrystusa, mają wersję kulturową. Inaczej mówiąc, są rozumieniem faktów na naszą miarę.

Sama zresztą Ewangelia, która jest ujawnieniem nam przez Boga prawd wiecznych, właśnie faktu Boga i faktu Jego osobowych z nami powiązań, ma wersję kulturową. Jest bowiem przekazaniem prawdy w języku określonej epoki, w stylistyce, zwyczajach i problemach danych czasów.

Jest tu więc potrzebny i dosłownie konieczny intelektualny trud człowieka. Trud ten sprowadza się do nieustannej konfrontacji ujęć z faktami i wyrażania tych faktów w coraz wierniejszym ujęciu.

To samo dotyczy faktu i problemu osoby ludzkiej.

## KONCEPCJE OSOBY ORAZ WSPÓLNOTA

Po odróżnieniu faktów i ich ujęcia wyrażonego w twórcach kultury, po odróżnieniu religii i teologii, zauważmy teraz, że na pytanie, kim jest osoba ludzka, musimy szukać odpowiedzi w filozofii. Tylko bowiem filozofia sobie właściwymi metodami badawczymi ustala czym coś jest i dzięki czemu istnieje, jako byt, jako więc coś rzeczywistego.

Nie ustalają tego nauki szczegółowe, które dotyczą ilościowej, a nie istoty we j struktury rzeczy. Z kolei teologia jako teologia tłumaczy prawdy objawione oraz tłumaczy rzeczywistość przez odwoływanie się do tych prawd. Nie ma metodologicznych możliwości stwierdzenia, kim jest człowiek jako byt. Może wypowiadać się tylko na temat człowieka jako odkupionego, a nie na temat ontycznej struktury osoby. Nawet Biblia nie dostarczy nam antropologii filozoficznej. W Biblii możemy wyczytać tylko to, kim jest człowiek dla Boga. Gdybyśmy pytali Biblię o to, kim w ogóle jest człowiek, otrzymalibyśmy odpowiedź na poziomie czasów, w których Księgi Święte były pisane. Bóg bowiem nie objawił filozofii człowieka.

Filozofia jest dziełem rozumu odczytującego fakt osoby ludzkiej. Jest w związku z tym także tworem kulturowym. I trzeba trudu, aby dzięki studiowaniu teorii filozoficznych uzyskać taką sprawność myślenia, która pozwoli zdystansować zastane teorie, a jednocześnie przy ich pomocy na nowo i trafnie odczytywać fakt człowieka i fakt jego osobowych relacji z ludźmi i z Bogiem.

Nie jest więc obojętne, jak pojmujemy osobę ludzką. Proporcjonalnie przecież do rozumienia człowieka organizujemy nasze działania, które umożliwiają lub utrudniają nawiązywanie międzyosobowych relacji, jako faktów, które odczytujemy i kształtujemy na miarę obiegowych w kulturze stanowisk.

Problematykę osoby w naszych czasach wyznacza wiele stanowisk. Spośród najsilniej oddziałujących należy wymienić tu np. lingwistyczno-fenomenologiczną orientację K. Rahnera, neoplatonickie i hegelizujące tendencje M. Bubera, przedzierające się przez historię do prawdydarzeń religioznawcze badania M. Eliadego, tomizm w wersji egzystencjalnej poprzez prace J. Maritaina, przełamujące psychoanalizę chrześcijańskim rozumieniem miłości, lecz pozostające w ramach naturalizmu ujęcia E. Fromma, pozytywizujące, a więc syntetyzujące wszystko, co się da zsyntetyzować, poglądy Teilharda de Chardin, łączące w jedną całość wyniki nauk przyrodniczych, głównie paleontologii, a także wyniki monistycznych filozofii, teologii dogmatycznej, nawet mistyki i poezji.

Wymieniając rodowody tych stanowisk nie zamierzam sugerować ocen. Chodzi tylko o to, abyśmy wiedzieli, jakim opiniom podlegamy, i jak trudno wziąć z nich to, co trafne.

K. Rahner — najkrócej mówiąc — uważa, że osobę ludzką konstituuje jej otwartość na słowo objawione. Tomista powie, że zdolność wsłuchania się w „milczenie Boga”, pozwalające odkryć głębię naszego istnienia, uzasadnionego istnieniem Boga, jest błędem przyznania własności statusu istoty. Własności przecież domagają się podmiotu, którym dla Rahnera jest przenikliwość osoby, jej otwartość, właśnie tylko jedna z własności. Rahner odpowie na to, że jesteśmy tacy, jakie są nasze recepcje. Nie ma więc



zdwojenia na obiektywne i subiektywne, na istotne i przypadłościowe, ponieważ jestem taki, jakie jest to, co kocham. Nasze istnienie jest bowiem tym samym, co nasza miłość.

Podobnie, choć inaczej, stwierdzi M. Eliade, że osobę ludzką stanowi jej relacja do Boga, ku któremu człowiek wrywa się z historii, skłoniony tkwiącymi w nim archetypami, odkrytymi przez wydarzenie mitom tajemnicy prawdydarzeń.

M. Buber dochodzi do wniosku, że osobę ludzką wyznacza jej potraktowanie kogoś nie jako rzeczy, lecz jako drugiego „ty”. Znaczący to, że tylko wtedy stajemy się osobami, gdy ktoś dla nas jest niezastąpionym czynnikiem spełniania się naszego losu, gdy jest najważniejszą w tej chwili sprawą, uzasadnieniem naszego istnienia. I wciąż zmienia się nasza relacja. Wciąż ktoś jest dla nas raz rzeczą, raz osobą. Wynikałoby z tego, że i my, jako osoby, trwamy tylko tak długo, jak długo traktujemy kogoś jako „ty”, a nie jako „to”. Buber doda, że uznanie kogoś za „ty” jest możliwe dzięki nawiązaniu do promienia miłości, którym Bóg przenika wszystkie sfery bytów.

Jakże blisko stąd do sferycznej koncepcji człowieka w ujęciu Teilharda de Chardin, który przyjmując ewolucjonizm widział człowieka jako etap i warunek kształtowania się najdoskonalszej świadomości i najdoskonalszej osoby, którą jest Chrystus, wiążący nas z najwyższym punktem kosmosu, z Bogiem.

E. Fromm akcentując psychologiczno-dydaktyczną perspektywę uznał miłość za warunek wewnętrznej równowagi człowieka, jego psychicznego zdrowia i koniecznych dla naturalnego życia powiązań z ludźmi. Miłość więc wyznacza osobę ludzką.

J. Maritain, który powtarza Tomasza z Akwinu przekształcającego ujęcie Boecjusza, powie, że osoba ludzka jest istniejącą jednostką rozumną. Znaczący to, że urealnijający nas akt istnienia, osobno stworzony dla każdego z nas przez Boga, stanowiący nas razem ze zaktualizowanymi przez siebie treściami, wśród których znajduje się wyróżniająca nas rozumność, czyni nas samodzielnymi bytami właśnie rozumnymi. Owszem, także u Maritaina jesteśmy osobami, które swoje istnienie zawdzięczają stwórczemu aktowi Boga. Znaczący to jednak, że konstytuująca nas stwórcza więź z Bogiem dzieje się w porządku istnienia. I gdy istniejemy, pojawia się dopiero inna relacja z Bogiem, relacja właśnie osobowych powiązań, relacja więc obecności, rozmów, przyjaźni,

czyli relacja łaski, modlitwy, świętości. Jej bezpośrednim źródłem jest wolność osoby ludzkiej i wolność osoby Boga, ponieważ tylko wolność czyni darem zaproponowaną miłość.

Ascetyka międzyosobowych relacji, a więc zabieganie o fakt rozwijających nas powiązań z ludźmi i z Bogiem, cały zespół działań wyznaczonych rozumieniami, jakże inny będzie w wypadku Rahnera, Bubera, Eliadego, Teilharda, Fromma, Maritaina.

Ustosunkujmy się do ich poglądów w biblijnym stylu formułowania błogosławieństw. Zapewne „błogosławieni są, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go”, co akcentuje Rahner.

Według Bubera uczniami Pana błogosławionymi są ci, „którzy miłość mają jedni ku drugim”. Błogosławieni, którzy — jak podkreśla Eliade — umieją minąć wszystko, gdyż „będą oglądali Boga”.

W odniesieniu do Teilharda powiedzmy, iż ci są błogosławieni, którzy rozumieją, że „wszystko trzeba stracić, aby zachować swą duszę”.

Błogosławieni, w których pozostanie miłość, gdy „minie wiara i nadzieja”. To możemy odnieść do Fromma.

Ten ewangelijny komentarz do wymienionych tu koncepcji osoby niech tylko ujawnia, że zbawia nas nie tylko jedno błogosławieństwo. Teoria osoby musi więc być tak zbudowana, aby objęła wszystkie „błogosławieństwa” i to nie na zasadzie ich dodania, lecz na zasadzie jednolitej teorii, tak jednak wszechstronnej, że może stanowić podstawę wszystkich międzyosobowych relacji, wyrażających obecność, rozmowę, przyjaźń, słuchanie, przejęcie, zdrowie, zakorzenienie w dobru, wolność, miłość.

Jeżeli za Maritainem i tomizmem powiemy, że osoba jest rozumnym bytem, który istnieje samodzielnie jako kompozycja aktu istnienia i dezabsolutyzujących to istnienie treści, to postawmy także za o. Krąpcem ten akcent, że osoba ludzka jest bytem możliwościowym, czyli niepełnym, nieabsolutnym.

Osoba jest bytem samodzielnym w istnieniu i zawsze będzie ją stanowiła suma istnienia oraz właściwych, urealnionych tym istnieniem treści. I to podstawowe złożenie

jest nienaruszalne. Wyraża istotę osoby ludzkiej. Ale to złożenie jest właśnie czynnikiem niepełności osoby i zasadą jej przypadłościowego rozwoju.

Osoba ludzka rozwija się więc nie istotowo, lecz przypadłościowo. Jest nieabsolutna, niepełna. Rozwój osoby nie zmienia tego stanu. Rozwój polega na uzyskiwaniu przez człowieka sprawności duchowych i fizycznych, na działaniach, które są czynieniem dobra, piękna, odkrywaniem prawdy, otrzymywaniem i udzielaniem daru miłości. O. Krąpiec podkreśla, że wszystkie rozwijające nas wartości są nam dostępne tylko przez drugą osobę. Tylko poprzez człowieka uzyskujemy wiedzę, mądrość, prawdę, piękno, dobro, miłość. Osoby kontaktują się z wartościami, przystosowanymi dla nas przez osobę. Ale druga osoba dostarcza nam tych wartości na miarę siebie. Jest to miara niepełna, nie absolutna, ponieważ osoba jest bytem niepełnym i nieabsolutnym. Ten fakt otwiera nas na osobę absolutną, którą jest Bóg. Osoba Boga jest więc ostateczną miarą naszych dążeń, jest pełnym uzasadnieniem i wypełnieniem niedoskonałości człowieka.

Relacje osobowe z ludźmi i z Bogiem są właściwym środowiskiem człowieka. Inaczej mówiąc, wspólnota w sensie faktu koniecznych dla człowieka relacji osobowych jest warunkiem tworzenia się i wymiany wiedzy, mądrości, prawdy, piękna, dobra, miłości, bez których człowiek nie uzyska przypadłościowej pełni, przez którą w relacjach międzyludzkich rozumiemy interioryzację kultury, szczęście obecności i przyjaźni, a w relacjach człowieka z Bogiem, czyli w perspektywie religijnej, rozumiemy fakt pełnego zamieszkania w nas Boga i powiązania tak mocnego, że św. Paweł nazwał nas częściami mistycznego ciała Chrystusa.

Podkreślmy więc, że w relacjach międzyludzkich naszym udziałem są skutki działania osób, nawet tak specyficzne jak ich obecność i przyjaźń. W relacjach człowieka z Bogiem naszym udziałem jest wypełnienie nas nie skutkami działań Bożych, lecz samym Bogiem, ponieważ w Bogu działania nie różnią się od jego istoty. Stąd relacje międzyludzkie nawet najpełniejsze nie uwolnią nas do końca od samotności, podczas gdy relacje człowieka z Bogiem są pozapsychicznym wypełnieniem całej naszej możliwościowej sfery, nawet gdy psychika nie doznaje spotkania „twarzą w twarz”.

Dodajmy, że wszystkie międzyosobowe relacje są przypadłościami osoby. Nie stanowią istoty człowieka. Są jednak potrzebne jako jedyny sposób uzyskiwania wartości, bez których każdy człowiek byłby ewangelijnym talentem, zakopany w ziemię, nie pomnażany, gdy tymczasem chwałą Bożą jest uświęcający nas udział w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej i tworzące dobro relacje z ludźmi.

Powtórzmy więc jeszcze raz: osobowe relacje międzyludzkie dają nam w wyniku dobro, jako skutek działania osób. To dobro wzajemnie sobie darowane jest miłością, która doskonali i uszlachetnia. Osobowe relacje człowieka z Bogiem z naszej strony owocują działaniami, które są udziałem w wewnętrznym życiu Boga, natomiast ze strony Boga są przyjściem Boga do wnętrza osoby, ponieważ w Bogu nie ma osobno działań i istoty. Filozofia pomaga nam tu ustalić, że życie religijne musi być obecnością w nas osoby Boga.

## ODPOWIEDZIALNOŚĆ CZŁOWIEKA JAKO OSOBY I ODPOWIEDZIALNOŚĆ CZŁOWIEKA JAKO CHRZEŚCIJANINA

Jak więc widzimy, struktura osoby ludzkiej domaga się wspólnoty. Wspólnota osób jest nam dana tak ze strony ludzi, jak i ze strony Boga. Dana jest nam także od początku miłość, zawsze pewna ze strony Boga i na ogół pewna ze strony matki, rodziców, osób zaprzyjaźnionych. Rozpoczynamy swoją obecność wśród osób od daru istnienia, od daru miłości, dobra, prawdy. Naszym normalnym sposobem życia jest obdarowywanie znowu miłością, dobrem, prawdą, mądrością, pięknem, swoją obecnością, przyjaźnią. Pełne człowieczeństwo nie polega na zmianie naszego ontycznego statusu przygodnych bytów, lecz na uprawnieniu i obowiązku obdarowywania.

I za to obdarowywanie jesteśmy najpierw odpowiedzialni. Jesteśmy odpowiedzialni wobec siebie i wobec wspólnoty, a więc wobec innych ludzi i Boga, za to, czy obdarowujemy dobrem, wiedzą, prawdą, miłością, i czy przyjmujemy dar przyjaźni, czyjejs obecności, mądrości, prawdy. Jesteśmy więc odpowiedzialni za prawidłowe i pełne

korzystanie z faktu międzyosobowych relacji w ludzkim i religijnym sensie zarówno w porządku sprawiedliwości, jak i miłości, i przede wszystkim w porządku miłości.

Podkreślmy, że człowiek jest ograniczony w sensie ontycznym, to znaczy, jest niepełnym, nieabsolutnym bytem i takim bytem musi pozostawać. W sensie jednak przypadłościowym, w sensie więc nabywania wartości dzięki międzyosobowym relacjom człowiek jest nieograniczony, w taki jednak sposób, że nabywa wartości proporcjonalnie do swej ontycznej pojemności, na miarę tego, czym jest, a więc na miarę osoby ludzkiej. Nie może więc np. nabywać wartości Boskich, stawać się Bogiem. Nie może też wkraczać w Boskość swoimi siłami. Dzieje się jednak ta niezwykła sytuacja, że Bóg sam przychodzi i czyni naszym udziałem nienależący się nam dar swego zamieszkania w osobie ludzkiej. Jest to fakt pozafizyczny, pozanaturalny, wprost niezrozumiały, jednak realny, prawdziwy, ponieważ Bóg go ujawnił. I skoro Bóg zaproponował nam swoją w nas obecność, jesteśmy za korzystanie z tego daru także odpowiedzialni pod sankcją bezsensownego zubożenia swego życia, pozbawienia się przenikania w naszą wiedzę i mądrość nadprzyrodzonej wiedzy i mądrości Boga. Niepodjęcie tej możliwości można uznać jedynie za wynik nieorientowana się w wartości daru lub za wynik zaufania teoriom, które nie zasługują na zaufanie. W tym wypadku kultura w formie teorii filozoficznych obraca się przeciw człowiekowi. Nasz wytwór działa przeciw nam, swoisty w powieści Lema bunt robotów. Inni ludzie, rozumiejący to nieporozumienie, winni wyjaśniać, nauczać, tłumaczyć, ukazywać prawdę. W tym sensie jesteśmy odpowiedzialni za innych ludzi. Jesteśmy odpowiedzialni za czyjąś wiedzę, za kulturę filozoficzną, teologiczną, humanistyczną, techniczną, jesteśmy odpowiedzialni za dydaktykę, za sposób ukazywania wartości.

Jeżeli odróżnimy odpowiedzialność bezpośrednią i pośrednią, a więc bezpośrednio i pośrednio wzięcie na siebie skutków naszego i czyjegoś działania, to zawsze pośrednio odpowiadamy za całą wspólnotę, za kontakt wszystkich osób z darem wartości. Bezpośrednio odpowiadamy w wypadkach, które rozstrzyga sprawiedliwość i miłość, dobro i zło.

Odpowiedzialność, podobnie jak miłość, są możliwe tylko dzięki tej własności, którą nazywamy wolnością. Przez wolność należy rozumieć wierność wybranemu dobru.

Jest to wolność na miarę osoby, a więc na miarę przygodnego bytu. Jest jednak tak wielka, że nic nie może zmienić jej działania, gdy zdecydujemy się, wybrać poznane dobro. I nigdy nie zawodzi wolność. Często zawodzi poznanie. Z tego wynika, że szansą człowieka i szansą chrześcijanina jest kształcenie poznania, które umie nie zamknąć oczu na wnioski inne niż obiegowe teorie, tak często zniechęcające do poznania i wyboru osób, które wykraczają poza świat zjawiskowy, do poznania i wyboru Boga, który jest Trójcą Osób.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę, że człowiek zawsze jest osobą, nie zawsze jednak jest chrześcijaninem, to znaczy kimś, kto w relacjach międzyosobowych uwzględnia swoje związki z osobą Boga.

Jako osoby, a więc jako rozumne byty, korzystając z mądrości, która pozwala uzyskiwać dystans wobec kulturowego kształtu wiedzy, poznajemy rzeczywistość, kierujemy się w niej do prawdy i dobra jako faktów, mimo że ujmowanych kulturowo, i ukierunkowani miłością widzimy w tym sens, cel, a także osobową wartość.

Jako chrześcijanie, a więc jako osoby, które przyjęły prawdy podane w Ewangelii, na mocy przeniknięcia darem Ducha Świętego naszej ludzkiej mądrości jesteśmy świadkami zmartwychwstania i życia Pana Jezusa. Dzięki tej obecności w nas Ducha Świętego, a wraz z Nim całej Trójcy Świętej, poprzez chrzest, bierzmowanie i Eucharystię uczestniczymy w kapłaństwie Chrystusa, w Jego nauczaniu i w królewskiej godności Jego osoby, co pozwala nam ujmować wszystko z punktu widzenia Ewangelii i kierować sprawami świata zgodnie z życzeniami Boga.

Przy tych określeniach nie każdy człowiek jest chrześcijaninem, ale teoretycznie biorąc, a także w porządku zwykłej ludzkiej dobroci i dobrego wychowania, każdy człowiek jest odpowiedzialny za dobro. Nie widzę więc różnicy między odpowiedzialnością np. chrześcijanina i ateisty. Jest to przecież zawsze odpowiedzialność za człowieka, za to, co człowiek ukochał. Miłuje się przecież dobro. Nie można ukochać zła, które jest niebytem, które jest tylko niewykonaniem dobra. Każde dobro zasługuje na uznanie, każde musimy chronić. I każdy z nas musi stawać w jego obronie.

Wszyscy więc odpowiadamy za trwanie swojego istnienia i za trwanie istnienia innych osób ludzkich, ponieważ jest to wartość, szansa miłości i przyjaźni. Odpowiadamy

więc za obecność wśród nas miłości, za zdrowie, za rozwój fizyczny i duchowy, za wiedzę, prawdę, mądrość, za kierowanie się słuszością, prawidłową argumentacją, za chronienie wolności, i w związku z tym za obronę prawa do wyboru osób, które chcemy obdarzyć przyjaźnią, zaufaniem i wiernością. Winniśmy więc pomagać tym, którzy wśród osób trafiają na Boga i oddają mu miłość przyjmując dar Jego miłości, co czyni ludzi Kościołem jako zespołem osób, które są powiązane z osobą Chrystusa przez obecność osoby Ducha Świętego w Chrystusie i w nas. Odpowiadamy więc za prawo człowieka do obecności w naturalnej i nadnaturalnej rzeczywistości.

Na terenie rodziny, środowiska pracy, spraw publicznych jesteśmy więc wszyscy odpowiedzialni za to, aby rodziły się w osobach ludzkich te wartości, które nazywamy owocami darów Ducha Świętego: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, łagodność, opanowanie. Winniśmy zabiegać, aby ubodzy, cisi, ci którzy płaczą, którzy pragną sprawiedliwości, którzy są miłośni, czystego serca, którzy są prześladowani dla sprawiedliwości, zostali nakarmieni, gdy są głodni, napojeni, gdy są spragnieni, obdarowani gościnnością, gdy podróżują, przyodziani, gdy są biedni, otoczeni troską, gdy są chorzy, pocieszeni, gdy są smutni lub uwięzieni, aby znaleźli właściwy pokarm, gdy trapi ich głód wiedzy, mądrości, tęsknota za dobrocią i miłością, aby spotkali Boga i doświadczyli udziału w jego wewnętrznym życiu. Odpowiadamy za własne i czyjeś rozumne rozstrzygnięcie celu i sensu życia, za przetrwanie cierpienia, za nieustanne naprawianie błędów, za wiarę, nadzieję i miłość.

A najkrócej mówiąc, odpowiadamy za wszystkie międzyosobowe relacje, ponieważ wszyscy bez wyjątku odpowiadamy za miłość, za jej przede wszystkim wśród nas obecność. Obecność miłości powoduje, że łagodzi się także konflikt, czy miłość skierować tylko do osób ludzkich, czy także do osoby Boga.

## ODPOWIEDZIALNOŚĆ JAKO ŚWIADCZENIE

Podsumowując wnioski, a raczej wydobywając istotne akcenty rozważań spróbujmy wyrazić je poprzez zakwestionowanie terminu „odpowiedzialność”. Termin ten kieruje bowiem ku zagadnieniu instytucji. W jakimś momencie musimy z tej racji rozważać człowieka jako uczestnika wspólnoty, jako więc np. ojca rodziny, kapłana, biskupa, papieża. W wyniku takiego ustawienia problemu określamy tylko zakresy spraw lub osób, za które ktoś jest odpowiedzialny. I nie łatwo w tej sytuacji dojść do wyczuwanego faktu odpowiedzialności jako wierności dobru, którym jest osoba. Odpowiedzialność więc nie tyle jest ochroną cenionych przez nas wartości, ile raczej jest naszym udziałem w dobru i prawdzie, stanowiących wybrane przez nas osoby. Wybierając dane osoby i tworząc z nimi wspólnotę dzięki faktycznym powiązaniom poprzez obecność, rozmowę, przyjaźń, uznajemy je za konieczne dla nas dobro i prawdę, o czym świadczymy faktami nawiązania z tymi osobami właśnie międzyosobowych relacji. Zastępując termin „odpowiedzialność” terminem „świadczenie” kierujemy się ku faktom. Manifestujemy wtedy wartość dobra poprzez wierność osobie, która — jak dobro i prawda — czyni nas wspólnotą, czyli uczestnikami swego wewnętrznego życia. Nie tyle więc za ten udział w wewnętrznym życiu osoby odpowiadamy, ile raczej świadczymy, że ta wartość jest naszym udziałem.

W wypadku naszego osobowego powiązania z Bogiem za udział w wewnętrznym życiu Boga, a więc za nasze życie religijne, które jest międzyosobową wspólnotą dzięki obecności w Chrystusie i w nas Ducha Świętego, „odpowiada” raczej Bóg. My właśnie świadczymy, że nasze powiązanie z Bogiem, czyniące nas Kościołem, stało się faktem. Świadczymy więc przez wiarę, nadzieję, miłość, że naszym udziałem jest udostępnione nam przez Chrystusa i na Jego miarę kształtowane w nas przez Ducha Świętego wewnętrzne życie obecnego w nas Boga, który jest Ojcem, Synem i Duchem Świętym.

I właśnie nasze świadczenie o tych faktach przez wiarę, nadzieję i miłość, jest tym, co winniśmy przekazywać. Przekazujemy te fakty głosząc w kulturowych ujęciach życie, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Te kulturowe ujęcia w formie opisu faktów, ich rozumienia, przeżycia i wyrażenia, są względne. Inne osoby, którym poprzez kulturowe ujęcia ukazemy możliwość spotkania Boga i nawiązania z Nim osobowych relacji, doświadczając faktu tych powiązań mogą zdystansować nasze ujęcia, inaczej wyrazić swój



udział w wewnętrznym życiu Boga. Mogą inaczej świadczyć, poprzez inną filozofię, teologię i sztukę, poprzez inny niż spodziewamy się styl życia, że Bóg jest w nich obecny.

Obecność w nas Boga jest proporcjonalna do miłości, kierowanej przez nas do Chrystusa nawet w wersji szczerego poszukiwania w ogóle dobra i prawdy. Chrześcijanin, a więc człowiek, pozostający w osobowych relacjach z Bogiem, jest wobec tego głównie odpowiedzialny za eucharystyczny znak i fakt obecności wśród nas i w nas Chrystusa. Jest odpowiedzialny, to znaczy świadczy, że Chrystus poprzez Eucharystię rzeczywiście uobecnia się w nas czyniąc naszym udziałem wewnętrzne życie Trójcy Świętej.

## VII. UKOCHAĆ NADE WSZYSTKO

W rozdziale o ukochaniu Boga nade wszystko jest już mniej analiz teoretycznych. Są raczej przykłady lub mówiąc inaczej są ludzie. Wydaje się, że człowiekowi, usiłującemu na serio ukochać Boga, jest łatwiej nauczyć się tego przez kontakt z kimś kochającym Boga niż poprzez teoretyczne analizy. Zresztą, czy takie analizy uczą efektywnie? Uczą o tyle, o ile w ogóle poznanie Boga jest potrzebne do tego, aby Boga ukochać. Takie poznanie jest nawet konieczne. Nie można przecież kochać kogoś, kogo się nie zna, o kim się nic nie wie lub nie wie się nawet, że ten ktoś istnieje. Ale nauka ukochania Boga polega na zapalaniu serca. Może się zdarzyć, że i w tym wypadku czyjaś myśl pomoże komuś wejść na dobrą drogę. Miłość budzi się jednak tylko miłością. Miłość do Boga może obudzić tylko sam Bóg, który jest miłością. Bóg jest przyczyną naszej ku Niemu miłości. Jest przyczyną główną. Lecz spotykamy człowieka, w którego duszy Bóg mieszka. Przez miłość tego człowieka Bóg dociera do naszej duszy. Można więc powiedzieć, że człowiek, który kocha Boga, nauczył nas ukochania Boga nade wszystko.

Stanisław Kostka, już święty, jest w tej kwestii jakże znakomitym nauczycielem. I jakże dużo można nauczyć się od Andrzeja Milliot, szesnastoletniego chłopca. Przeżywa on w stosunku do Boga te same sytuacje, które znamy z życia Franciszka z Asyżu, Katarzyny Genueńskiej, Anieli z Foligno, Anieli Salawy. To znaczy dla nas, że tak właśnie przebiega religijny rozwój człowieka. Że zaczyna się od wewnętrznej skruchy i wciąż jest pogłębianiem miłości, która z kolei powoduje powiązanie się całkowite człowieka z Bogiem. W wyniku tego pojawia się w człowieku, umacnia i rozwija, staje się czystość jako rezultat wewnętrznego ubóstwa i posłuszeństwa Bogu. A spowodowała to miłość do Boga. Z kolei one pogłębiają miłość.

W rozdziale znalazły się więc uwagi o Stanisławie Kostce, Andrzeju Milliot i o. M. Kolbe, którzy ukochali Boga nade wszystko. Znalazła się też rozmowa z Terenią S. o zdobywaniu Boga i rozmowa z Tadeuszem S. o cierpieniu. Znalazło się więc kilka słów o sprawie, która tak często odsuwa ludzi od Boga, ale która także bardzo często przybliża. A

zawsze cierpienie w jakiś sposób oddziela człowieka przynajmniej od części spraw i ludzi. To właśnie Bóg w taki wyjątkowy i bolesny, lecz wyróżniający sposób, w sposób podobny do drogi krzyżowej Chrystusa, oddziela człowieka od świata, wyłącza, rezerwuje dla siebie, poświęca swojej miłości. Tak rozumiem cierpienie.

Sprawa Jacka i sprawa księdza Cenabré to problem zaniedbania i problem uczenia się modlitwy, po prostu problem nienatrafienia na Boga lub utraty Boga. Z tematem Jacka zostały związane rozważania o roli w życiu religijnym środków masowego przekazu. Problem odnalezienia Boga wyznacza zarysowanie teorii świętości. W sumie więc są w rozdziale prezentowane trzy sytuacje: udana miłość, zdobywanie miłości, utrata miłości. A raczej należy powiedzieć, że te trzy sytuacje są tylko sygnalizowane. Lub mówiąc jeszcze dokładniej — w związku z tymi trzema sytuacjami zostały postawione pytania, pewne akcenty, które mogłyby rozbudzić refleksję. O to rozbudzenie refleksji religijnej i tęsknoty za miłością Boga, tylko o to chodzi w tej książce.

## ŚWIĘTY STANISŁAW KOSTKA

Sprawa jest niby skomplikowana. Anioł ziemski, patron czystości, wzór do naśladowania płakał na modlitwie, a my nigdy nie potrafimy się wzruszyć. Mdlął, gdy usłyszał nieprzyzwoite słowo, a my wybuchamy wtedy śmiechem. Był błąd, a nam prawie krew tryska z policzków. Wzdychał po nocy, a my śpimy jak zabici. Uciekał od ludzi, a my żyć nie potrafimy bez piłki i kolegów, krzyku i wycieczek. Nie. Św. Stanisława Kostki nie można naśladować. To nie jest wzór i ideał młodego człowieka. Chłopak, który mdleje, ucieka, płacze, kryje się, choruje? Nie.

O św. Stanisławie Kostce tak myśli się wciąż jeszcze w gimnazjalnych szeregach, a nawet na uniwersytecie. Student jest ciekawy świata. Wszystko czyta, wszystko studiuje, o wszystko pyta. Stanisław Kostka jest abnegatem. Obojętne jest dla niego, czy będzie studiował, czy nie. Nie rozgląda się po świecie. Nosi drewno do kuchni i myśli o niebie. Student także nie znajduje nic godnego uwagi w życiu patrona młodzieży.

Nie ulega wątpliwości, że pokazywano św. Stanisława Kostkę w bardzo ckliwym i słodkim, wprost mdłym kontekście. Płaczliwy, mdlejący, wybladły schizotypik. I tylko zdumiewa to, że tę zewnętrzną, niezwykle powierzchowną charakterystykę świętego, czyli człowieka o heroicznym działaniu, wszyscy młodzi, zawsze przecież tak krytyczni, przyjęli za dobrą monetę. I zniechęcili się do swego patrona. Czy i to może jest wynikiem tak zwanego okrucieństwa dzieci? Młodzi są okrutni i dokuczają swym fizycznie słabszym rówieśnikom. Wyłączają ich z zabawy. Dają im odczuć pogardę dla ich braku sprawności. A starsi nie umieli zanalizować i pokazać istotnych zalet chłopca, którego przecież tak wysoko zakwalifikował Kościół. Musiały więc cechować Stanisława cnoty heroiczne. A heroizm nie jest udziałem ludzi słabych.

Patrząc na człowieka widzimy go najpierw jakoś bardzo zewnętrźnie. Jakieś gesty, czyny. Tylko właśnie gesty pokazywano nam u św. Stanisława. Gesty i czyny wskazują dalej na charakter. Lecz już nie wszyscy wiedzą, że św. Stanisław Kostka może zdumiewać swym charakterem. O jego charakterze pisano niezmiernie ciekawie. Charakter jednak jeszcze nie kwalifikuje człowieka na świętego. W każdym razie także u świętego charakter jest wynikiem pracy, podjętej w imię wybranych celów, zasadniczej więc orientacji wychowującego się człowieka. I o tych wybranych celach św. Stanisława Kostki, o zasadniczej orientacji jego życia chcę właśnie pisać. Tylko to więc, co jest pierwsze dla św. Stanisława Kostki i w nim najgłębsze, tylko zasadniczy cel i motyw działania jest tym, co go istotnie charakteryzuje. Ten zasadniczy cel jest także zawsze tym, co człowiek kocha. I człowiek staje się tym, co kocha.

Mógłbym pisać, że św. Stanisław był bardzo silnym chłopcem, skoro mając lat chyba szesnaście przeszedł pieszo z Wiednia do Rzymu. Że był energiczny i bardzo przedsiębiorczy, skoro taką podróż podjął. I nie dał się złapać Pawłowi. Prawie z humorem informował o sobie poszukujących go ludzi, a to znaczy także Pawła. Figlarnie zamienił z kimś swoje ubranie. Psychicznie więc rzutki, a przy tym stanowczy. Realizuje swój plan wbrew rodzinie. Dyskutuje listownie z ojcem. Umie bronić swego stanowiska. W klasztorze pracuje fizycznie. Nie ma więc wielkopańskich kompleksów syn kasztełański. W drodze do Rzymu chodzi po Alpach. Odbywa także ogromnie długi marsz pieszy. Świetny

więc piechur. I szuka ludzi, lecz takich, którzy go poprowadzą po drodze przez niego wybranej.

My także wybieramy przecież uniwersytety. Wybieramy kierunek studiów. Szukamy sławnych profesorów, a więc doświadczonych w dziedzinie, która nas interesuje. Stanisław szukał ludzi, którzy nauczą go ukochania Boga. Szukał ogromnie wytrwale. Wprost z pasją. I właśnie z pasją.

To wszystko są jeszcze elementy charakteru św. Stanisława. To jeszcze nie jest świętość. Świętość jest uwikłana w tym materiale. Jest tym, co można nazwać zasadniczym akcentem osobowości. Zaraz tego poszukamy.

Z pasją, czyli całą duszą śmiejemy się, kopiemy piłkę, przeżywamy wycieczkę, czytamy książkę. I z powodu książki często nie śpimy, często pod kołdrą oświetlamy elektryczną latarką urzekające stronice. A przy tym wybuchamy śmiechem lub martwimy się z bohaterem książki. Stanisław nocą nie czytał, ale podobnie jak my nocami nie spał. Modlił się. Czasem przegadamy noc całą, gdy temat jest pasjonujący. Stanisław noc całą dyskutował z Bogiem. Modlił się. Przy tym był radosny lub płakał. Zależnie od tego, co odczytał w życiu swego ulubionego bohatera — Chrystusa.

Czy w ogóle istnieje różnica między nami a św. Stanisławem Kostką? Tak samo jak on tracimy noc na kontakt z ulubionym bohaterem. Ale właśnie. Różnimy się wyborem bohaterów. Tak samo jak on oburzamy się, gdy nam ktoś wyrządza krzywdę lub krzywdzi słabszych. Stanisław za krzywdę wyrządzoną Bogu i człowiekowi uznawał także nieprzyzwoitą rozmowę. I na to tak gwałtownie reagował. Jak na zło, które obraża ukochaną przez niego osobę. Stawał w obronie Boga, w obronie swej miłości.

Potrafimy rumienić się i oburzać. I wyklócać się, gdy ktoś zaatakuje osobę, którą kochamy. Młodzi ludzie stają w obronie kolegi, koleżanki, w obronie tych, których kochają. A potrafią kochać. Znowu całą duszą. Właśnie z pasją. Na wielką skalę, całkowicie. I Stanisław kocha całą duszą, z pasją, bez zastrzeżeń, bezwzględnie, na zawsze. I znowu tylko różnica między nim a nami taka, że Stanisław kocha Boga. Staje więc w obronie Boga i walczy aż do zemdlenia. Ogromnie przeżywa i cierpi, gdy cierpi Chrystus. Chrystus cierpi zawsze, gdy staje się grzech. Stanisław, zuchowaty, mocny chłopak, z tego

powodu nawet płacze. I wciąż przebywa z osobą, którą kocha. Nam się wydaje, że ucieka od ludzi. A przecież też wolimy być z tymi, którzy są ciekawi i kochani. Stanisław nie ucieka, lecz wybiera. A wybrał Boga. Wciąż przebywa z Bogiem.

Chcę pokazać, że zachowanie św. Stanisława Kostki jest ogromnie ludzkie, normalne, właściwe, entuzjastyczne, uroczo młodzieńcze. A różni się od naszego zachowania tylko tym, że jest skutkiem przeżywanej przez niego specjalnej miłości. Miłości, której przedmiotem i celem jest Bóg. Bóg, jedynie i najbardziej przez Stanisława ukochana Osoba.

I tu dotykamy źródła całej orientacji życiowej św. Stanisława, jego zasadniczych celów i motywów działania. I jego świętości. Wykrywamy mianowicie, że rzeczywiście człowiek staje się tym, co kocha. Gdy człowiek kocha Boga, staje się święty. Źródłem świętości jest miłość do Boga, miłość mimo wszystko, miłość więc heroiczna. Taka miłość nie jest łatwa.

Znawcy psychologii życia religijnego wiedzą, że taki etap, jaki przeżył Stanisław Kostka, jest wynikiem ogromnej pracy. Stanisław musiał dokonać już przemyślenia i oceny prawie wszystkiego. Musiał dać odpowiedź swoim tęsknotom, pragnieniom, ambicjom. A miał zaledwie osiemnaście lat, gdy umierał. I nie zdyskwalifikował niczego, bo wtedy nie dotarłby do Boga. Wszystko, co jest w świecie, uznał za dobre, lecz pominął ze względu na to, że wybrał dla siebie Boga.

I całą miłość osiemnastoletniego serca pchnął w tym kierunku. Po prostu ukochał nade wszystko Boga.

Teraz rozumiemy zachowanie św. Stanisława. Ciężko mu w naiwnie kawiarnianych nastrojach domu brata. Szuka ludzi, z którymi łączy go wspólna sprawa. Broni interesów Boga i Jego prawa do ludzkiej duszy, którą chce ustrzec i w sobie, i w innych przed grzechem. Grzech jest odejściem od Osoby, którą kocha, od Boga. Świadomość takiego odejścia jest nie do zniesienia. Może i dlatego płacze Stanisław, że Bóg musi odchodzić z ludzkiej duszy. Gdy wyrządza Mu się krzywdę grzesząc. I krzywdę sobie. I czyż Stanisław może uczestniczyć w tym, co krzywdzi jego Boga? Ucieka więc. Po prostu odchodzi. Jest więc tylko odważny i konsekwentny.

Nietrudno ustalić i zgodzić się, że mimo wszystko młodzież czasów dzisiejszych szuka największych wymiarów. Z całą pasją zajmuje się tym, co ją interesuje, jeżeli ją coś zainteresuje. Widzimy, w jaki sposób przeżywa sport, muzykę, turystykę, autostop, także często naukę. A poza tym zawsze i na wielką skalę kocha. I tylko nie zawsze najlepszy przedmiot. Opowiada się za sprawiedliwością. I o wszystko pyta, chce wszystko poznać. Nie oszczędza siebie. Jest twarda, surowa w bezkompromisowych sądach, samodzielna.

Powiedzcie sami, drodzy Czytelnicy, młodzi ludzie współcześni, czy tak nie jest?

Stanisław Kostka jest twardy, samodzielny, surowy dla siebie i innych. A przy tym kocha na wielką skalę. I tę miłość realizuje ogromnie wytrwale, energicznie, z pasją. Przebiega myślą wszystkie wartości. I decyduje się na ukochanie Boga. Zarazem na nieustanną modlitwę i na wyłączne przebywanie z Bogiem.

Jakże podobny do młodzieży czasów dzisiejszych. A wzorem jest w tym, że umiał dojść tak daleko: ocenić wszystkie rzeczy i wybrać Boga. I ukochać Boga. Bezwzględnie i konsekwentnie.

I popatrzmy na tęsknoty Stanisława. Gdy jest chory, gdy traci przytomność w gorączce, gdy nie kontroluje myślenia, wyraża tęsknotę za Bogiem w Komunii św. Jego zasadnicza tęsknota. Chce być ze swoim Bogiem. Z przedmiotem swej miłości. Wzruszająco zakochany. Zakochany w Bogu. W drodze do Rzymu także tęskni za Komunią. Mówi się, że anioł podawał mu Komunię Św., gdy zbyt długo nie było katolickiego kościoła. Stanisław szedł bowiem przez kraj protestancki.

Stanisław Kostka kocha i po prostu pragnie być z osobą, którą kocha. Czy to może dziwić? Tęskni więc do Komunii św. i tęskni do nieba. I dlatego właśnie pragnie umrzeć. Znamy takie uczucia. Gdy człowiek już kocha w pełni, pragnie umrzeć. Stanisław jednak nie proponuje niczego. Nawet nie rezygnuje ze studiów. Chce tylko to podjąć, co najbardziej przyda się Bogu, realizującemu przez nas swoje najwyższe cele.

Ta właśnie wielka miłość Stanisława raczej zdumiewa. I jest przykładem. I jest świętością.

Mówią poza tym teologowie, że umiejętność przyjaźni z Matką Boską jest znakiem wysokiego zaawansowania duchowego. Stanisław nie myśli o sobie. Przełamał już egoizm.

Nie jest nigdy racją żadnego działania. Cieszy się więc zupełnie obiektywnie radością Maryi, oglądającej Syna przy wniebowzięciu. Chciałby Jej składać gratulacje. I znowu tęskni do nieba. Tam ma swoich bliskich. Tam więc ciągnie.

Ile tu wiary, ile miłości, ile uczestniczenia w sprawach Bożych, do których wprowadza nadzieja. I całkowite pominięcie siebie, czyli pokora. Energiczny, przedsiębiorczy chłopak, który nie myśli o sobie. Myśli wciąż o Bogu. To znowu jest modlitwa. Ciągła, nieustająca modlitwa, sposób składania chwały i przebywania z Bogiem.

Sprawa nie jest więc skomplikowana. Stanisław kocha i dzięki tej miłości staje się szlachetniejszy. Tęskni, lecz także idzie ku przedmiotowi tęsknoty. Realizuje trudne zadanie wysiłku moralnego. I jeśli nie śpi, to dlatego, że gawędzi z Bogiem. I jeżeli jest czysty, to dlatego, że pozostaje wierny Osobie kochanej. Kocha tak samo, jak my kochamy. Miłość bowiem jest jedna. Różne są tylko przedmioty miłości i różny sposób jej wyrażania.

Świetną okazją jest św. Stanisław do tego, by zobaczyć na własne oczy sposób realizowania w sobie miłości do Boga. I cnót teologicznych. I prawości tęsknot. I entuzjastycznej pasji wierności temu, co się kocha.

Stajemy się rzeczywiście tym, co kochamy. Tak powiedział także Mauriac w książce Pustynia miłości. Stanisław kochał Boga. Stał się więc święty.

A co my kochamy?

Ze względu na to pytanie wciąż jeszcze św. Stanisław Kostka może być wzorem młodzieży. A zawsze wszystkich będzie ujmował swym normalnym, zupełnie ludzkim, pięknym charakterem i świętością. Bo święty to całkiem normalny, zwykły, zakochany człowiek, lecz zakochany w Bogu. A to daje wymiar największy.

ANDRZEJ MILLIOT



Umarł mając lat szesnaście. Zostawił kilka listów, trochę notatek. I wywołał niepokojące zdumienie, które poruszyło już jego kolegów, nauczycieli, a teraz autora tej informacji.

Odkryłem Andrzeja Milliot dzięki książce, a właściwie książeczce A. Szottowej pt. „U progu służby Bożej, żywot Andrzejka Milliota”, Poznań 1928. Książkę czyta się dzisiaj już trochę z trudem, ale podziw budzą cytowane w niej fragmenty listów i notatek Andrzeja Milliot. Jakże szczęśliwie się stało, że A. Szottowa zamieściła te fragmenty.

Takich właśnie fragmentów szuka się w książkach nawet nie najlepszych. Aby mieć autentyczne teksty i autentyczną myśl ludzi, którzy uzyskali etap ukochania Boga nade wszystko, najbardziej i jedynie. Aby zobaczyć, jak poradzili sobie praktycznie z problemami, których często dla naszych potrzeb nie rozwiązują dzieła teoretyczne lub rozwiązują zbyt ogólnie. Aby sprawdzić bieg własnych przemyśleń, zobaczyć, jak wygląda na co dzień życie człowieka, który nieustannie kocha Boga. Aby umocnić tęsknotę za takim właśnie życiem.

Nie będę omawiał etapów duchowego rozwoju Andrzeja Milliot i jego sposobów pracy nad sobą. Chcą tylko pokazać te momenty w notatkach Andrzeja, które są znakiem jego wielkiej klasy duchowej, to znaczy jego wielkiej miłości do Boga.

Najpierw kilka danych przybliżających osobowość Andrzeja.

Urodził się 6 sierpnia 1901. Środowisko kupieckie. W dzieciństwie często chory: zagrożone serce. Bardzo zdolny i bardzo pracowity. Ma wady normalnego dziecka: uparty, próżny, łakomy. Jest ministrantem i dzięki temu wciąż pogłębia w sobie wierność Bogu. Przyjaźń z księdzem to właściwie systematyczne podsuvanie mu przez księdza zadań, które mają naturę pracy nad kształtowaniem charakteru. Ale zawsze ze względu na Boga. Przeżył pragnienie zostania księdzem. Ma wtedy lat dwanaście. Trudności z ojcem. Pragnienie zostania księdzem staje się impulsem i motywem już systematycznej pracy nad sobą. Walczy z łakomstwem, nieposłuszeństwem, próżnością. Uczy się wybaczać przeciwnikowi, opanowuje ciekawość w stosunku do spraw, które odrywają od pracy szkolnej. Aby sprawić radość rodzicom, pilnie się uczy. Potem uczy się, aby wiedzieć dużo, ponieważ będzie księdzem. Ten sam motyw pomaga mu pogłębić pobożność. Prowadzi planowe

życie religijne: po południu myśląc o jutrzejszej Komunii św. ofiarowuje Bogu wszystko, co go spotyka; codziennie czyta fragmenty tekstu religijnego; w drodze do szkoły dyskretnie modli się, wieczorem kontrola sumienia. Rozmowy duchowe z księdzem.

W listach Andrzeja do księdza (1915—1917) uderzają dwa tematy: Komunia św. i pragnienie oddania się całkowicie Bogu. A oto kilka tekstów ilustrujących te sprawy. Teksty wzięte są z wymienionej książki A. Szottowej.

„Postępuję w ten sposób: robię rachunek sumienia codziennie wieczorem, a podczas Komunii proszę Boga o wszystko, czego mi według rachunku sumienia brakuje. Po Komunii postanawiam pracować nad nabyciem pożądanej cnoty”.

„We wtorek Komunię św. przyjąłem z miernie gorącym sercem, toteż postanowiłem zaradzić temu przez rozmyślanie o Eucharystii, z czego odniosłem wielką korzyść. Pragnąłbym oddać się Jezusowi całkowicie”.

„Mogłem dziś odbyć w skupieniu półgodzinny akt dziękczynienia; pragnąłbym, aby tak mogło być zawsze”.

„Widzę trzy cnoty główne: czystość, dobroć i pokorę. Zdaje mi się, że przede wszystkim powinienem starać się o nabycie pokory, bo jestem pyszny. Jakkolwiek nie dlatego czynię dobrze, lubię jednak, aby mnie chwalono. Jestem pyszny, gdy sędzę źle kolegów, a nawet nauczycieli... U stóp Jezusa podczas aktu dziękczynienia uznaję swoją pychę i upokarzam się bardzo często. Wtedy nade wszystko rozumiem, czym jestem ja, a czym jest Jezus. On, władca mego serca, poniżył się aż do krzyża... a ja, grzesznik, chcę się wywyżżyć”. „Modliłem się specjalnie o łagodność”.

Przejęcie do niższego seminarium przyniosło Andrzejowi wiele zmartwień. Bał się sprzeciwu ojca i sprawienia mu przykrości. Męczył się, zanim wyjawiał swoje plany. Ale „czuję — pisał do księdza — że dopiero w seminarium będzie mi z wielu względów dobrze. W nauce nikt mi nie będzie przeszkadzał, a w praktykach pobożnych uniknę rozproszenia myślowego, skupię się lepiej. W ten przynajmniej sposób wyobrażam sobie przyszłe życie w seminarium i myślę, że się nie mylę”. Matka знаła plany syna. Ojciec zgodził się. Dnia 11 października 1916 r. Andrzej zostaje uczniem niższego seminarium w Luxeuil.

W dniu 29 listopada Andrzej zachorował. Przechodzi zapalenie płuc, opłucnej, wysięk w płucach. Trzy miesiące długich godzin leżenia. Andrzej marzy: „Niebawem wstanę, wrócę do seminarium, do nauki”. „Jestem zbyt słaby do wielkich dzieł, będę proboszczem w małej wiosce i tak będę szczęśliwy, że poznam osobiście wszystkich parafian. Będę kochał swoją trzódkę. Z dochodów probostwa będę brał dla siebie tylko tyle, ile najkonieczniej potrzeba. Resztę obrócę na salę zajęć, katechizację, odczyty, biblioteki... Codziennie odwiedzać będę chorych lub też jakąś rodzinę moich parafian... Nie będę miał innej troski prócz starania o zbawienie dusz”.

Gdy konał, zakonnica zaczęła mu podawać słowa modlitwy. Powiedział do niej po prostu: „Modłę się ciągle”. Uczniem niższego seminarium był tylko niecałych pięć miesięcy. Zmarł 3 marca 1917.

Osobowość Andrzeja Milliot już jest, mam wrażenie, na tyle zarysowana, że czytelnik zobaczy całą wymowę tych tekstów, na podstawie których można mówić o wielkiej klasie duchowej Andrzeja, czyli o jego wielkiej miłości do Boga.

To, co dotychczas cytowałem, może jeszcze charakteryzować każdego dobrze wychowanego i głęboko religijnego chłopca. Ale teksty, które przytoczę, są wynikiem i znakiem już specjalnej sytuacji duchowej. Takich słów nie mówi każdy głęboko religijny człowiek. To może powiedzieć tylko ktoś, kto bardzo jest przeniknięty miłością Bożą. Innym ludziom takie ujęcia nie przyjdą do głowy. Nie będą ich własnymi słowami, jeżeli oczywiście ci ludzie utrzymają się w sytuacji prawdy, poza próżnością, kłamstwem i nabytymi z lektury formułami.

Cztery sprawy wysoko w moim odczuciu wynoszą Andrzeja Milliot:

Przede wszystkim nieustanna modlitwa, wyrażająca się w stałym pragnieniu Komunii św. i w ciągłym zwracaniu woli, a także myśli do Boga. Modlitwa jest znakiem miłości do Boga, utrwalaniem tej miłości w duszy, ciągłym wnikaniem w miłość Bożą.

Czynna miłość bliźniego, wyrażająca się w trosce o dobre życie religijne kolegów i w trosce, a konkretnie w modlitwie za przyszłych parafian.

Bezinteresowne, z samej tylko miłości szukanie Boga i wybór Boga, wyrażający się w potraktowaniu czystości jako skutku miłości Bożej; rozumiał, że być czystym znaczy kochać Boga nade wszystko.

Głęboka, bolesna skrucha, prawie nieustanny żal za grzechy, znak prawdziwego nawrócenia, powrotu i trwania przy Bogu.

A teraz teksty, których lektura doprowadziła do sformułowania powyższych punktów.

Ad 1. „Już cztery dni nie mogłem komunikować. Bardzo się to nieszczęśliwie złożyło. W tym tygodniu niestety opuściłem dwie Komunie św., ponieważ niedomagałem i musiałem odpocząć... W ciągu tych dni odczułem najlepiej konieczność Komunii św. i zapewniam księdza, że brakowało mi czegoś równie niezbędnego, jak pokarmu. Czy zresztą Komunia św. nie jest chlebem powszednim dusz?”

„Trzeba..., abym z całego serca wyrwał wszystko, co nie jest Boże”.

„Jezus patrzy na mnie. Zrobiłem ramkę do obrazka Serca Jezusowego, który mi przysłałeś z Montmartre, i postawiłem go na biurku”.

„Jezus patrzy na mnie; ilekroć podniosę oczy od pracy, widzę Go i myślę o miłym Gościu, którego przyjąłem rano w Komunii św. Do ilu dobrych czynów, modlitw, aktów miłości zachęcił mnie Jego widok. Ilu grzechów pozwolił mi uniknąć!”

Ad 2. „Gdy widzę którego z kolegów, przystępującego do Komunii św., co zdarza się zbyt rzadko, obawiam się zawsze, że nie posiada należycie dobrego usposobienia, i modłę się bardzo. Chciałbym, aby przystępowali do Komunii św. jak najliczniej i jak najczęściej, ale nie wiem, jak do tego doprowadzić. Spróbuję przemówić w odpowiedniej chwili; tak bym pragnął ich dobra”.

„Komunikowałem dziś na intencję dusz, które mi kiedyś zostaną powierzone”.

„Trzeba..., abym nie zapomniał o duszach, którymi będę w przyszłości kierował i które będę prowadził do zbawienia”.

Ad 3. „Jakże bym chciał należeć całkowicie do Jezusa. Trzeba mi bardzo twjej pomocy, mój kochany przewodniku, abym mógł żyć cały dla Jezusa. Nie przestrasz się i nie pomyśl, że przestałem kochać Chrystusa, przeciwnie, ale jestem słabym krzewem,

potrzebującym podpory... Gdy pomyślę o Jezusie w Hostii, jestem gnębiony własną nikczemnością, czyli tym, że tak mało czynię, aby wznieść się ku Niemu”.

„Trzeba..., abym wzrastał w pobożności, żarliwości i czystości”.

„Czystość — to tylko miłość Boża; kochając Boga jesteśmy z konieczności czysti”.

Ad 4. „Trzeba..., abym odpokutował za błędy i płakał nad grzechami”.

„Jestem czysty i tak wiele płakałem nad swymi grzechami, że mogę patrzeć w niebo”.

A teraz uwagi, wyjaśniające to zdumienie, które tak bardzo porusza czytelnika notatek Andrzeja Milliot.

Pamiętajmy, że mówi to szesnastoletni chłopak. W tym wieku refleksja często nie jest rozwinięta, a tym bardziej refleksja religijna. I więcej. Tak dojrzałe omawianie swego życia religijnego wskazuje na specjalistę praktyka. Andrzej zresztą nie wie, że mówi o autentycznie wielkich wydarzeniach w swej duszy. Andrzej nie zna przecież jeszcze mistyków i teorii ascetycznych.

Dla znawców tych teorii ma wielką wymowę powiedzenie: „Tak wiele płakałem nad swymi grzechami, że mogę patrzeć w niebo”. Skrucha głęboka nie pojawia się łatwo w człowieku, tym bardziej w duszy szesnastoletniego chłopca. Trzeba już bardzo kochać, by „wiele płakać nad swymi grzechami”. Znamy tę skruchę w życiu na przykład Anieli z Foligno, Katarzyny Genueńskiej, Małgorzaty z Kortony, Franciszka z Asyżu. Aniela w cudownych słowach opowiada o męce żalu z tego powodu, że nie kochała Boga całkowicie i rzeczywiście na serio. Katarzyna przechodzi mękę prawie czyścicową, gdy uświadamia sobie świętość Boga i własną nędzę. A jakże cierpi Małgorzata z Kortony. W ogromnym bólu wyniszcza przyczynę swych grzechów, własne, niewierne ciało, które specjalnie jej zagroziło drogę do Boga. Franciszek w ciągu całych nocy wyrażał krótkim zdaniem to, w co wnikał wysiłkiem duszy: „Kimże Ty jesteś, Boże, a kimże jestem ja?” Te same uczucia, mękę i postawę znajdujemy w Dzienniku św. Małgorzaty Marii, w Dzienniku Anieli Salawy. A jak modli się Andrzej? „U stóp Jezusa... nade wszystko rozumiem, czym jestem ja, a czym jest Jezus”. Taką skruchę i odczucie świętości Boga wywołuje obecny w duszy

Chrystus. Taka skrucha, która powoduje wiele łez, rzeczywiście, na serio, autentycznie przybliżyła do Boga.

To przybliżenie do Boga jest bardzo widoczne w życiu Andrzeja. Świadczy o tym jego postępowanie. Modli się o częstą Komunię św. kolegów. Modli się za swych przyszłych parafian. To jest już uspołeczniona miłość. To jest już przełamanie egoizmu, wyjście poza siebie i oczywiście do Boga, dla którego Andrzej pracuje nad innymi.

Opuszcza siebie zdecydowanie. Poprawia charakter, nabywa cnoty, a nabywa je nie dla nich samych, lecz ze względu na Boga. I ze względu na świadczenie o Chryście: „abym w gronie towarzyszków był wzorem pobożności, łagodności, posłuszeństwa, bez cienia próżności”. Abym był wzorem bez cienia próżności. Abym ich wychowywał. Lecz abym jednak przede wszystkim i najbardziej kochał Boga. Chcę „żyć cały dla Jezusa”.

I tu Andrzej dochodzi do problemu czystości. Że czystość polega na porzuceniu wszystkiego, a wyborze tylko Boga i na miłowaniu Boga nade wszystko, rozumieją dopiero zaawansowani. Tego się tak potocznie nie ujmuje. I nie rozumie tak łatwo. To, że czystość jest miłością Boga, rozumieją dopiero ludzie o wielkim wyczuciu Boga. Gdy już po wielu przemyśleniach ujmują Boga jako jedyną, zasadniczą wartość życia. Ileż jednak trzeba wewnętrznych dyskusji, by na drugim miejscu ustawić wszystkie inne sprawy. Odpowiedzialnie powiedzieć to, co powiedział Andrzej Milliot, może tylko ktoś bardzo kochający Boga. I wiadomo, że ta miłość nie przychodzi automatycznie, że jest skutkiem wielkiej łaski, ale i wielkiej pracy.

Poza tym tęsknota. „Jakże bym chciał należeć całkowicie do Jezusa”. Jakże bym chciał codziennie być u Komunii św. „Już cztery dni nie mogłem komunikoWAć”. Takie pragnienia świadczą o wewnętrznych przekształceniach, o wielkim wewnętrznym ładzie i powiązaniu z Bogiem. Tęsknić codziennie do Komunii św. może ktoś, kto „myśli o miłym Gościu”, ile razy oderwie głowę od pracy, kto myśli wciąż o Bogu. Kto więc nieustannie się modli. To przecież tak trzeba nazwać: Andrzej Milliot nieustannie się modli. O tym, że to jest modlitwa autentyczna, świadczą zmiany w duszy Andrzeja: tęsknota stała do Boga, poprawiony charakter, czynna troska o bliźnich.

Ta nieustanna modlitwa Andrzeja jest stanem miłości. Andrzej kocha Boga nade wszystko. Kocha Boga „z całej duszy swojej, ze wszystkiej myśli swojej, ze wszystkiego serca swego”. To nie ulega już wątpliwości. (Ten swój prywatny sąd poddaję bez zastrzeżeń wyrokowi Stolicy Apostolskiej).

## ŚWIĘTY MAKSYMILIAN KOLBE

### 1. Uwagi o heroizmie działań religijnych św. Maksymiliana Kolbe

Heroizm działań św. Maksymiliana Kolbe kształtuje postawę religijną już kilku pokoleń.

Najpierw, za życia św. Maksymiliana zdumienie i podziw wywoływała jego umiejętność apostołowania przy pomocy współczesnych środków informacji. Wielotysięczne nakłady „Rycerza Niepokalanej”, „Małego dziennika”, rozsyłanie tego pisma po Polsce, założenie Niepokalanowa i podobnego ośrodka w Japonii, straż pożarna oo. franciszkanów, nowoczesne maszyny drukarskie, wszystko to przykuwało uwagę, którą o. Kolbe swoimi publikacjami umiał oderwać od tych faktów i skierować do spraw religijnych. Korzystał ze środków informacji, najnowszych w jego czasach, i właśnie w tym celu, aby ukazywać ludziom drogę religijnego spotkania z Bogiem. Przy okazji intuicyjnie, lub może świadomie, w każdym razie skutecznie przełamywał schemat, że istnieje konflikt między współczesnością i religią. Dla o. Kolbe nie było takiego konfliktu. Nowoczesna organizacja pracy, maszyna drukarska obsługiwana przez zakonników, świetna straż pożarna służą najpilniejszym sprawom człowieka i właśnie religijnej potrzebie spotkania z Bogiem. O. Kolbe ośmielał i przyzwyczajał do traktowania religii jako sprawy bieżącej, współczesnej, ważnej. Jednocześnie z mocą mówił o Bogu i o tym, że najtrwalej i najgłębiej kontaktuje nas z Bogiem Niepokalana Matka Chrystusa.

Współczesne środki informacji uzyskiwały w odbiorze ludzi swoje właściwe miejsce środków, a nie celu naszych starań. Jawił się cel poważniejszy: powiązanie człowieka z Bogiem. O. Kolbe umiał mówić o tym celu z pasją, w sposób prosty, czytelny dla wielu tysięcy odbiorców „Rycerza Niepokalanej”. Wiedzieliśmy, że Bóg jest najpilniejszą i najważniejszą sprawą człowieka, że więź człowieka z Bogiem skierowana do Boga miłość, wspomagana przez obejmującą nas miłość Bożą, że tę miłość miłującą Boga kształtuje w nas serce Niepokalanej Matki Chrystusa, że Ona jest w naszym zdążaniu do Boga najwierniejszym przewodnikiem. Mówiąc o tym o. Kolbe zarażał swym entuzjazmem, swoją pasją, swoją otwartością, zaufaniem Bogu, przywiązaniem do Matki Boskiej. Głosił „dobrą nowinę” docierając z ideą „Milicji Niepokalanej” do wielu poszukujących Boga. Apostołował na ogromnym obszarze refleksji ludzkiej, a umożliwiały mu to stosowane przez niego współczesne środki informacji.

Ogromny zasięg „Rycerza Niepokalanej”, to właśnie teren apostołskich działań o. Kolbe. Pismo to, niekiedy źle oceniane w publikacjach po drugiej wojnie światowej, było jednak potrzebnym, regularnym, świetnym wykładem pogłębionego myślenia teologicznego. Czytelnicy rozumieli wykład napisany przez o. Kolbe, który zresztą wprowadził do „Rycerza” to, co wtedy było najlepsze. Czytaliśmy tam przecież artykuły J. Dobraczyńskiego, W. Majdańskiego, M. Winowskiej. Uczyliśmy się teologii w ujęciu o. Kolbe. Uczyliśmy się wierności Bogu, zaufania Matce Boskiej. Kształtowała się postawa religijna, którą charakteryzowała otwartość na ludzkie cierpienia, na ludzkie sprawy, na wartość osiągnięć techniki, na problemy sensu życia, losu i celu ludzkiej miłości, otwartość na Boga, do którego o. Kolbe zbliżał budząc zaufanie i miłość do Matki Boskiej.

A po śmierci o. Kolbe zdumienie i podziw wywoływało jego męczeństwo, które przeżył w Oświęcimiu. Ratowanie innych w sposób, odczytany w tamtych warunkach jako najwłaściwszy i jedyny, podjęty przez o. Kolbe z tego motywu, że był księdzem katolickim, stało się apostołowaniem przy pomocy najpełniejszego środka i dowodu, którym jest oddanie życia za innych. O. Kolbe chciał ratować zagrożonego człowieka. Już nie myślał o sobie. Miłość do ludzi, świadcząca o miłości do Boga, już zdystansowała egoizm, zdystansowała mniejsze wartości niż Bóg, którego wielbi całkowicie oddana mu



miłość, nie zatrzymana sobie, rozdana braciom. Właśnie w tym znaku rozdania i poprzez tę utratę zostaje ocalona, jest sławą chwały Bożej. O. Kolbe taką miłość ujawnił.

Mówiono, że inni ludzie w Oświęcimiu chronili swych kolegów, narażali dla nich swoje życie, często ginęli, gdy podzielili się z kimś chlebem, gdy wspomagali ucieczkę z obozu. To prawda. Nie umniejszamy ich poświęcenia, ich miłości do ludzi, ich miłosierdzia, gdy zareagowali na najpilniejszą sprawę człowieka w pełni ofiary z życia. Takie działanie ujawnia owoc daru Ducha Świętego, jego obecność w duszy i świętość tych ludzi. Chodzi tylko o to, że taki też poziom działań ujawnił o. Kolbe. I Bóg chciał, aby te wartości i jego męczeńska śmierć były zauważone, zapamiętane, uczczone, abyśmy znali do końca jego życie, oddane Bogu i ludziom, aby religijna wymowa jego ofiary była lekcją wierności Bogu w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach, i znakiem, że nic nie zniszczy chwały Bożej, którą jest doskonałość miłości, oddanej przez człowieka Bogu. O. Kolbe został zauważony, zapamiętany, a teraz Bóg spełnia wobec niego obietnicę, przekazaną w psalmie 90: „gdy zwróci się do mnie..., uwielbię go”. Uczczenie religijnej wielkości o. Kolbe nabiera wymiaru oświadczenia, że przebywa z Chrystusem w Bogu.

Po ludzku sądząc o. Kolbe nie musiał w Oświęcimiu na czyjeś cierpienie zareagować propozycją wzięcia tych cierpień na siebie. Owszem, matki są gotowe do wzięcia na siebie cierpień dzieci. Tak reaguje wielka miłość. Wynika z tego tylko tyle, że charakteryzowała o. Kolbe wielka, bezinteresowna, autentyczna miłość do konkretnych ludzi. Ta miłość, ukształtowana powiązaniem z Bogiem, bo przecież o. Kolbe stanął w obronie życia z motywu swego kapłaństwa, wyznaczyła to niezwykle działanie, które przekraczając miarę obowiązków jest właśnie heroizmem.

Dalej po ludzku sądząc, o. Kolbe mógł pomyśleć o słabym zdrowiu, gdy podejmował tak po prostu i spontanicznie wielkie decyzje dotarcia do ludzi z wieścią o Bogu przez prasę, przez obecność słowa, przez wyjazd do Japonii, przez zorganizowanie wielkiego ośrodka pracy apostolskiej w Niepokalanowie. Mógł zniechęcić się trudnościami. Mógł poczuć się nieprzygotowany do prowadzenia wydawnictwa, do organizowania klasztoru. Nie przeżył takich skojarzeń lub je minął. Myślał o tym, że trzeba głosić Chrystusa. To przecież wynikało z jego kapłańskiej służby. Zaufał Bogu w wersji

całkowitego zaufania Matce Boskiej i głosił Chrystusa. Potem już tylko sięgał po środki, którymi w jego czasach upowszechniało się ważne sprawy. Posługiwał się swą normalną, lecz wyjątkową inteligencją, odczytywaniem i znajomością czasów, ludzkich potrzeb, ludzkich możliwości. Nie oceniał spraw na miarę siebie. Oceniał je na miarę życzeń Boga. Podjął i dokonał więcej, niż mógł i powinien zrobić. Przekroczył miarę swych obowiązków w kierunku heroizmu.

Heroizm działań o. Kolbe jest czytelny. Uczy nas od dawna wartości zaufania Bogu. Kieruje do Boga, którego wybrał i ukochał o. Kolbe. Takie zorientowanie jego życia, mobilizowanie sił i środków, aby przybliżyć poszukującym ludziom miłującą nas miłość Boga, budzi refleksję, odmienia, kształtuje i pogłębia postawę religijną.

Gdyby się teraz przeszło na chwilę do poezji teologicznej, można by stwierdzić, że Bóg pozwolił o. Kolbe wyrażać sobie miłość na każdym odcinku działań, które o. Kolbe pomyślał. I Bóg wspomagał te inicjatywy.

Może były one potrzebne o. Kolbe do wzrostu jego miłości i umniejszenia siebie. Bo przecież gdy o. Kolbe odszedł z widzialnego świata, Bóg jak gdyby zrezygnował z tego środka działalności apostolskiej, którym był Niepokalanów. Może Niepokalanów, służąc nam swoją aktywnością i heroizmem o. Kolbe, był czynnikiem wzrastania głównie jego heroicznej miłości do Boga i ludzi. Może to znaczy, że winniśmy wnosić w każdych czasach swój osobisty wkład w służbę Bogu, nie zadowolić się nawet w najlepszych wersjach apostołowania. Bo przecież nie przybliżają Boga środki nawet współczesnej informacji, lecz miłujące Boga ludzkie serce, powaga osoby, żywy człowiek, który kocha i dzięki któremu stosowane środki nabierają mocy przekazania świadectwa. Porzućmy jednak teren poezji i wynikające z niej stwierdzenia.

## 2. Osobista doskonałość religijna św. Maksymiliana Kolbe

Działania religijne, jak każde działania, mają źródło w tym, kim się jest w sensie religijnym. Heroiczne działania o. Kolbe wskazują więc na jego religijną osobowość, na

stopień zaprzyjaźnienia z Bogiem, na stan obecności Boga w jego osobie i ukształtowania przez Ducha Świętego udziału w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej.

Jeżeli o. Kolbe, gdy zorientował się w cierpieniu skazanego na śmierć, wziął na siebie to cierpienie i jego konsekwencję, to znaczy oddanie życia za kogoś, gdy więc podjął najpilniejszą w danej chwili, najboleśniejszą sprawę tego oto człowieka, to ujawnił miłosierdzie, które jest — ujętym w jedno z ośmiu błogosławieństw — najwznioślejszym owocem darów Ducha Świętego, miłością darowaną cierpiącym. Wynika z tego, że w duszy o. Kolbe są, skoro owocują, dary Ducha Świętego, konieczne do zbawienia, że wobec tego jest w nim razem z Duchem Świętym obecna Trójca Święta, że jego władzami duszy Bóg spełnia uświęcające działania wiary, nadziei i miłości, łączące bezpośrednio z Bogiem, że w powiązaniu z Trójcą Świętą jest to już etap zjednoczenia, poprzedzony pracą nad uzyskaniem cnót naturalnych, funkcjonowaniem cnót wlnych, przetrwaniem czynnego i biernego oczyszczenia, które pozwala już nie tylko kierować się do Boga, lecz odbierać działania Boże, przekształcające duszę sprawianiem przez Ducha Świętego udziału na miarę Chrystusa w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej.

Na to jednoczące z Bogiem powiązanie oraz na obecność miłosierdzia, jako najwznioślejszego owocu darów Ducha Świętego, wskazują także i wcześniejsze działania religijne o. Kolbe. Nie tylko przypominał sobie w notatkach osobistych: „pocieszaj Pana Jezusa w bliźnich”, lecz także spełniał to pisząc, wydając „Rycerza Niepokalanej”, apostołując przez włączenie wszystkich sił i dostępnych środków w sprawę zbliżenia ludzi do Boga, z zapominaniem o sobie, byle tylko do wszystkich oczekujących dotarła wieść, że Bóg kocha człowieka i że tę miłość w sercu ludzkim otoczy troską Niepokalana Matka Chrystusa.

Nic więc dziwnego, że wypełnia o. Kolbe nieustanna modlitwa. Jeżeli pisze, że należy „pożyczać się w pracy: umysł, ręce, przy pracy, a serce zawsze z Bogiem”, to znaczy, że nie tylko zachęca się i mobilizuje do tej sytuacji. Jest praktykiem, aktywnym apostołem, zamierzającym cały świat przyprowadzić do stóp Chrystusa przy pomocy Matki Boskiej i przez Nią. To więc, co pomyśli, wprowadza w czyn, a nawet, sądząc ze struktury jego działań, najpierw coś czyni, a potem poddaje modlitewnej refleksji, ofiarowującej

Bogu dane działanie. Ze stylu jego notatek wynika ponadto, że nie notuje projektów, lecz raczej zachęca się do pogłębienia już spełnionych działań. Nieustannie więc modli się tym trwaniem „serca zawsze z Bogiem”. A taka modlitwa zakłada duże już zaprzyjaźnienie z Bogiem, stałą wzajemną obecność Boga i duszy.

Ten stan ujawnia się i wyraża w pełnym odstąpieniu Bogu pierwszego miejsca w duszy i w świecie, jako Właścicielowi stworzeń. O. Kolbe dostrzegł, że „ludzie w stosunku do Pana Boga są właścicielami rzeczy tylko przez analogię”. To Bóg jest w dosłownym sensie właścicielem stworzeń. Także my jesteśmy darem jego dobroci („jesteś stworzeniem..., wszystko masz od Boga”). Jego i dla Niego są wszystkie nasze działania, a także dla Boga my jesteśmy. Takie myślenie i osobowe skierowanie się do Boga jest właśnie modlitwą i pełną realizacją najtrudniejszego, pierwszego przykazania dekalogu. O. Kolbe niczego nie rezerwuje dla siebie. Pomiął siebie. Bóg jest pierwszy i jest wszystkim, jak uczył św. Franciszek z Asyżu. O. Kolbe stwierdza to zachęcając się do realizacji tej postawy: „kochaj Boga dla Boga samego”. I dodatkowo dokumentuje to oraz obwarowuje pełnym ufności oświadczeniem: „pamiętaj zawsze, że jesteś rzeczą i własnością bezwzględną, bezwarunkową, bezgraniczną, nieodwołalną Niepokalanej”. Siebie też o. Kolbe nie zatrzymał sobie. Aby mieć pewność, że — jak pisze — „celem twoim jest tylko Bóg”, i nie ufając sobie, że wszystko oddał Bogu z miłości, ofiarował siebie Matce Boskiej uważając się za narzędzie Jej działań.

Ta sytuacja ascetyczna, w której człowiek szczerze nie uważa siebie za wartość, ontycznie przecież pozostając osobą miłowaną przez Boga, jest pokorą, a więc właściwym ustaleniem swej pozycji wobec świętości Boga. I o. Kolbe oddaje siebie jako byt Matce Boskiej, sobie zatrzymując porządek przekonania, że jest grzeszny, niedołączny, nieodpowiedzialny, a przydatny tylko na miarę użycia jego osoby przez Matkę Boską.

Przywiązanie o. Kolbe do Matki Boskiej, przypominające praktykę ascetyczną św. Ludwika Marii Grignon de Montfort, u o. Kolbe wyrażające się w religijnym programie „Milicji Niepokalanej”, jest — tak sądzą teologowie — bardzo pozytywnym znakiem religijnej doskonałości. O jej prawidłowym rozwoju świadczy — według św. Teresy z Avila — rozważanie męki Chrystusa w Ogrójcu. I właśnie o. Kolbe zanotował: „w piątek

rozważaj modlitwę w Ogrójcu”. Dodał, że „rozmyślanie męki Pana Jezusa jest najskuteczniejszym środkiem do obrzydzenia sobie grzechów (żał za grzechy) i do rozpalenia miłości ku Panu Jezusowi”.

Miłość o. Kolbe do Chrystusa, powodująca przecież, że Bóg miłuje człowieka i do niego przychodzi czyniąc w jego duszy mieszkanie spowodowała, że trwał w nieustannej modlitwie, że uzyskał doskonałe ubóstwo darując siebie Matce Boskiej, a przez Nią Bogu, Właścicielowi stworzeń. Ta miłość spowodowała też, że Duch Święty kształtował w duszy o. Kolbe na miarę Chrystusa obecność Trójcy Świętej, dzięki czemu mógł realizować heroiczne apostołstwo i wreszcie oddał życie za cierpiącego człowieka ujawniając owocowanie w swej duszy darów Ducha Świętego.

### 3. Ascetyczne środki religijnego rozwoju św. Maksymiliana Kolbe

#### a) Pojęcie franciszkanizmu

Osobista doskonałość religijna o. Kolbe, ujawniająca się w jego heroicznym działaniu, które przekształcając postawy religijne ludzi przybliżało ich do Boga, powodując choćby np. wyraźnie liczne wstępowanie do franciszkanów w Niepokalanowie, została ukształtowana zespołem określonych środków ascetycznych. Były to środki, stosowane w zakonie franciszkańskim, do którego o. Kolbe należał.

Wyjaśnijmy najpierw, że w każdym wychowaniu religijnym, oczywiście chrześcijańskim, należy wyróżnić środki nadprzyrodzone i środki ascetyczne.

Środki nadprzyrodzone określił sam Bóg. Jest to w pierwszym rzędzie przywoływana naszą miłością i upraszana modlitwą właśnie stworzona dla nas nadprzyrodzona wiara, nadzieja i miłość, wlane do naszej duszy, aby kierowały nas do Boga, który przychodząc wnosi przez Ducha Świętego dary, pozwalające odbierać obecność Bożą i brać udział w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej, niestworzonego daru nadprzyrodzonego, danego naszej osobie dla większej chwały Bożej. Nasze powiązanie z Chrystusem przez umiłowanie Go czyni nas Kościołem. Ustanowione w tym Kościele

przez Chrystusa sakramentalne znaki sprawiają Jego zbawczą w nas obecność, a z Nim obecność Trójcy Świętej. I Bóg sam stosując w nas te środki tworzy nasze religijne życie, czyli nasze osobowe z Nim powiązania.

Środki ascetyczne służą tylko metanoi, takiemu więc przekształceniu naszych postaw, aby zmniejszyły się opory wobec Boga poszukującego naszej miłości z motywu czystej dobroci. Bóg bowiem chce, abyśmy naszym poznaniem i naszą miłością w osobowych z Nim powiązaniach uczestniczyli w nieskończonym Jego wewnętrznym życiu, w Jego mądrości, miłości i szczęściu. To przekształcenie postaw, nie wpływające na dar obecności w nas Boga, jest jednak wielkim trudem czynnego oczyszczenia, w którym Bóg także musi nas wspomagać.

Środki ascetyczne tworzone więc przez nas, mają charakter kulturowy. Mogą być jednak względnie stałe, gdy są sprawdzonym przez wieki w doświadczeniach ludzi sposobem kierowania naszej miłości do Boga, i mogą być względnie zmienne, gdy głównie w danej epoce służą do wydobycia się z nastawień, rozumień, przyzwyczajzeń, utrudniających zbliżanie do Boga. Obydwa te zespoły środków spełniają dwie funkcje: 1) pozwalają nam przekształcać nasze postawy, formowane w nas właśnie przez kulturę w ogóle lub przez kulturę danych czasów, 2) służą do uświadomienia sobie i wyrażenia tego, co dzieje się w człowieku.

Zakon franciszkański, stanowiący zespół ludzi będących Kościołem, który powiązania z Chrystusem przeżywa i wyraża w danej kulturze, służył o. Kolbe środkami zarówno nadprzyrodzonymi jak i ascetycznymi. Notatki o. Kolbe ujawniają, że ze wszystkich tych środków o. Kolbe korzystał.

Nadprzyrodzone środki sakramentalne są w jakimś stopniu także związane z momentem kulturowym, którym jest np. liturgia sakramentów, a nawet teologia. Niezależnie od tego, a więc jako rzeczywistość nadprzyrodzona, są koniecznym sposobem osobowego powiązania człowieka z Bogiem.

Środki ascetyczne nie są konieczne w sensie ontycznym i ściśle religijnym. Są potrzebne. Są kulturowo niekiedy niezastąpione i w tym porządku względnie stałe. Możemy do nich zaliczyć niektóre formy modlitwy (ustna, myślna, afektywna, prostego

wejrzenia), teorię życia odosobnionego we wspólnocie religijnej, daną ascetykę budowaną na filozoficznej teorii człowieka.

O. Kolbe ćwiczył się w modlitwie ustnej i myślniej. Odmawiał różaniec, odprawiał rozmyślanie. Wpadał do kaplicy, aby wyrazić Bogu swoje przywiązanie i wierność miłości, trwał wewnętrznie przy Bogu całym sercem bez słów i nawet myślenia, gdy pracował. Podjął odosobnione, umartwione życie w zakonnej wspólnocie. W swoich notatkach często nawiązywał do tematu wspólnoty. Napisał, że „najmilszą Panu Bogu pokutą, jest życie wspólne, tj. posłuszeństwo, wierność regule”. Mówił do współbraci zakonnych o „cierpliwości dla życia wspólnego”. Zanotował też znamienne ujęcie: „świętość moja, życie wspólne”. Nie było więc ono dla niego drogą łatwą. Widział w życiu wspólnym, określonym regułą, stan pokuty, wymagający cierpliwości, realizujący posłuszeństwo jako stałą gotowość pełnienia woli Bożej i jako „najtrudniejszy do wypełnienia ze ślubów”. Uznał jednak, że taka droga jest dla niego właściwa, i widział w niej sposób osiągnięcia świętości, swej osobistej doskonałości religijnej. Uzyskał ją, lecz przecież nie dzięki kulturowej formie życia wspólnego. Uzyskał ją w wyniku daru obecności Boga w duszy, dzięki więc łasce, cnotom wlanym i darom Ducha Świętego.

Twierdząc jednak, że życie wspólne jest drogą do świętości, o. Kolbe przyjmował teorię ascetyczną, która pod wpływem neoplatońskiej sugestii przyznała umartwieniu rangę głównego sposobu kształtowania w duszy ludzkiej uświęcającej obecności Boga. Jakże więc dobrze, że Bóg dokonuje w człowieku oczyszczeń biernych i staje się obecny w duszy ludzkiej niezależnie od kulturowych akcentów gnostyckiej tezy, według której naturalne i mechaniczne czynności są w stanie wprowadzić nas na teren osobowej rzeczywistości Boga. Asceza buduje tylko charakter człowieka i ewentualnie może być znakiem informowania o miłości, która rozwija się przez kontakt z miłością ludzi i Boga. Ojciec Kolbe wiedział o tym i notował przypomnienie: „kochaj dzieci, biednych, chorych”, „całkowicie nie ufaj sobie, a zaufaj Panu Bogu”.

Do zespołu względnie zmiennych środków ascetycznych należy np. praca fizyczna (benedyktyni), milczenie (trapiści), studia (dominikanie), związanie psychiki z daną tajemnicą wiary (np. nabożeństwo do Matki Boskiej).

O. Kolbe stosował wszystkie te środki, ponieważ akceptuje je reguła franciszkańska. Drukował teksty na maszynach drukarskich, oddalał się w milczenie podczas modlitwy, studiował, pisał, przemawiał głosząc miłość Boga i troskliwą opiekę Matki Boskiej.

Z notatek o. Kolbe wynika, że swoje wewnętrzne życie religijne budował według wskazań różnych klasyków teorii życia wewnętrznego. Może tylko intuicyjnie, a raczej dzięki prawidłowemu, kierowanemu przez Boga, rozwojowi religijnemu, lub może jednak z powodu lektury tekstów np. św. Teresy z Avila, wbudował w swoją modlitwę jakże potrzebne rozważanie o męce Chrystusa w Ogrójcu. Wygląda też na to, że kształtowanie religijnego przywiązania do Matki Boskiej mógł oprzeć na doświadczeniu i tekstach św. Ludwika Marii Grignon de Montfort. A jeżeli pisał, że w naśladowaniu Chrystusa są trzy stopnie, mianowicie: 1) „woleć wzgardę i wszystkie boleści niż grzech śmiertelny... 2) woleć ubóstwo, wzgardę i wszystkie boleści niż grzech powszedni... 3) woleć ubóstwo, wzgardę i wszystkie boleści niż bogactwo, honory i przyjemności dla Pana Jezusa, bo Pan Jezus to wybrał”, to powtarzał tu wyraźnie myśli św. Jana od Krzyża, Tomasza a Kempis, nastawienie św. Franciszka z Asyżu.

Robocze ustalenie tych orientacji ascetycznych, wyróżnienie różnego typu środków rozwoju religijnego, mają służyć ustaleniu, czym jest franciszkanizm.

Franciszkanizm mieści się w porządku względnie zmiennych środków ascetycznych, jeżeli rozważamy go jako powtórzenie postawy i stylu życia św. Franciszka z Asyżu. Chodziłoby wtedy np. o bezwzględne ubóstwo, o praktykę postów, o mobilizację religijną poprzez podziw dla przyrody. Franciszkanizm mieści się w porządku względnie stałych środków ascetycznych, jeżeli nawiążemy do nieustannej modlitwy św. Franciszka, do pustelniczego i wspólnotowego życia, do teorii umartwienia dziś regulowanej medycyną, do praktyki naśladowania Chrystusa w Jego ziemskim życiu. Franciszkanizm wyraża się jednak najpełniej w bezwzględnym pominięciu wszystkiego, co nie jest Bogiem, i w takim przejściu przez świat, że tylko „Bóg mój jest wszystkim”. Nie cenię wtedy dla siebie żadnych wartości ceniąc je same w sobie. Cenię jednak najbardziej i wybieram tylko Boga.



O. Kolbe realizował franciszkanizm w takiej wersji, że wybierając wyłącznie Boga, wszystko, nawet siebie, uczynił środkiem i narzędziem głoszenia chwały Bożej w dziś czytelnym języku, poprzez sposoby informacji stosowane w naszych czasach i poprzez świadectwo życia, ofiarowanego z motywu miłości.

#### b) Pojęcie drogi do świętości

Jeżeli przez franciszkanizm będziemy rozumieli pełną realizację Ewangelii bez momentów kulturowych, wniesionych przez ascetykę św. Franciszka z Asyżu, wtedy ta realizacja Ewangelii, dokonywana w zespole pojęć, teorii, trudności, konfliktów, nastawień naszych czasów, jest drogą do świętości. Jest bowiem wprowadzeniem w nasze własne życie prawd wiary, rozwiązujących dzisiejsze opory psychiczne i kulturowe wobec Boga. Tak zresztą — wydaje się — realizował postawę franciszkańską o. Kolbe.

Przyjął orientację życia, proponowaną i realizowaną przez św. Franciszka z Asyżu, wyrażoną w zdaniu „Bóg mój i wszystko”, a realizował tę orientację korzystając z całej teologii w najlepszych jej ujęciach i głosił ją posługując się wszystkimi najlepszymi osiągnięciami cywilizacyjnymi swoich czasów. Podobnie przecież św. Franciszek swoim zupełnym ubóstwem, umartwieniem i odosobnieniem — poza wyrażaniem miłości Bogu — chciał wnieść w kulturę swoich czasów wartości, wydobywające ludzi z kultu bogactwa i z rozbawienia, które — być może — uważał za przeszkodę w spotkaniu człowieka z Bogiem.

Pełna realizacja Ewangelii daje w wyniku tę osobistą doskonałość religijną, którą nazywamy świętością.

Przez świętość rozumiemy utrwalenie miłości między człowiekiem i Bogiem w wyniku zjednoczenia woli ludzkiej z wolą Boga dzięki pełnemu oddaniu naszej osoby, w której Duch Święty posłany przez Ojca i Syna kształtuje nasz udział w wewnętrznym życiu obecnego w nas Boga.

Miarą naszego udziału w wewnętrznym życiu Boga jest Chrystus, który będąc człowiekiem przystosował nieskończoność daru nadprzyrodzonego do naszej pojemności. Na mocy chrztu i bierzmowania, a szczególnie dzięki Eucharystii, podtrzymującej i sprawiającej miłość do Boga i ludzi, uczestniczymy w kapłaństwie Chrystusa, w Jego

nauczaniu i w królewskiej godności Jego osoby utrwalając w ten sposób obecność w nas Boga, którego ukazujemy innym ludziom głównie poprzez świadectwo wiary, nadziei i miłości.

Drogą do świętości jest zabieganie o to, aby owocowały w duszy dary Ducha Świętego, aby ubodzy w duchu, cisi, i ci, którzy płaczą, którzy pragną sprawiedliwości, którzy są miłosierni, czystego serca, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, otrzymywali pełnię obecności Bożej, i aby ci, którzy są głodni, zostali nakarmieni, ci, którzy są spragnieni, zostali napojeni, obdarzeni gościnnością, gdy podróżują, przyodziani, gdy są biedni, otoczeni troską, gdy są chorzy, pocieszeni, gdy są smutni lub uwięzieni, aby spotkali Boga i doświadczyli udziału w Jego wewnętrznym życiu.

Przejście przez tę drogę dokonuje się w danych czasach i w danej kulturze. Środki ascetyczne, jak sposób modlitwy, styl życia, teorie teologiczne i ascetyczne, umartwienie organizowane przez związanie psychiki z daną tajemnicą wiary, mają pomóc w poradzeniu sobie z obciążeniami kultury, teraz więc w uzasadnieniu celu życia, w przetrwaniu cierpienia i dokonywanych w nas przez Boga oczyszczeń, w przetrwaniu pokus przeciw wierze, nadziei, miłości, w zaufaniu Bogu, w umiłowaniu Jego życzeń, wyrażonych w Ewangelii, aby ukazywanie ludziom Chrystusa przykładem życia było pełnieniem chwały Bożej.

O. Kolbe podejmuje to wszystko, ponieważ właśnie „prosi (Chrystus): 1) o miłość ku sobie, bo On tak umiłował cię, jak Ojciec Go umiłował, a ta miłość polega na pełnieniu Jego woli... 2) abyś kochał bliźnich, jak On cię kocha”. I o. Kolbe dodaje, że „nieomylnym kryterium miłości Bożej jest wykonywanie Woli Bożej i zdanie się na Jego przenajświętszą Wolę”. Osiągnięcie tego stanowi drogę do Boga. Tę drogę wyznaczają o. Kolbe następujące czynniki: „miłość bez granic,... posłuszeństwo,... ofiara,... życie ukryte,... skupienie,... pokój,... Maryja,... Jezus”.

#### 4. Zakończenie

Rozważając heroiczne działania o. Kolbe, wyznaczone jego osobistą doskonałością religijną, uzyskaną dzięki obecności w nim Boga i dzięki nadprzyrodzonym oraz ascetycznym środkom, pozwalającym w danej kulturze i mimo tej kultury realizować osobowe spotkanie z Bogiem, modłę się, aby św. Maksymilian Kolbe uprosił nam miłość do Boga, którą sam Bóg dla każdego z nas przewidział. Wciąż pamiętamy, że o. Kolbe uzyskał swój kwalifikujący go na ołtarze poziom życia religijnego będąc franciszkaninem. Franciszkanizm był więc elementem jego drogi do świętości. Był i jest w pełni tą drogą, gdy stanowi realizację Ewangelii, gdy ukazuje Boga jako najszczytniejszy cel ludzkich starań. Był i jest tylko elementem drogi, gdy wśród środków ascetycznych wyakcentuje zmienne czynniki kulturowe.

Franciszkanizm uniwersalny, a więc spowodowanie, że wszyscy ludzie realizują w pełni Ewangelię, byłby niewątpliwie skuteczną drogą do świętości.

#### DO TERENI S. O UKOCHANIU BOGA

Twoja imienniczka z Lisieux w Twoim wieku była już tak bardzo zaprzyjaźniona z Bogiem, że spełniała tylko życzenia Boże i nigdy nie spełniała żadnego ze swoich upodobań. To było bardzo trudne, lecz było znakiem wielkiej miłości. Zapomnieć o sobie, a pamiętać tylko o osobie kochanej, w tym wypadku o Bogu, nie jest łatwo. Ale na tym polega rozwój miłości do Boga. I rozwój św. Teresy szedł wciąż w górę. Nie gubiła życia Bożego, lecz coraz bardziej w nie wchodziła.

Źle rozpocząłem, ponieważ nigdy nie daje się za wzór rówieśników. To wywołuje sprzeciw. Ale wspominając o św. Teresie nie tyle myślałem o wzorze dla nas w ukochaniu Boga, ile raczej o fakcie, że miłość do Boga nie zależy od wieku człowieka. Że może jej nie

być w dziecku, a może być wielka w człowieku dorosłym. Albo może nie kochać Boga człowiek dorosły, podczas gdy całą miłością może kochać Boga dziecko.

Chrystus miał Matkę, rodzinę. Kochał ich. To prawda. Ale Chrystus pragnie, by przede wszystkim kochać Boga. I nawet swą Matkę uczył kochać przede wszystkim Boga. Uczy i nas. Umieszcza nas w warunkach, które mają nam ułatwić rozwój miłości Bożej. Pomaga nam dając pewne dobra lub zabierając je. Trudno jest pytać Boga o motywy takiego postępowania. Bóg zabiera nam niekiedy nawet naszych bliskich i nie tłumaczy się z tego. Jest bowiem właścicielem świata. Abrahamowi na przykład nakazał oddać sobie syna. Bóg często w taki trudny sposób sprawdza naszą miłość. Ty teraz kochasz Boga lub martwisz się, że za mało kochasz, że nie kochasz ufnie jak dziecko. Może źle rozumiesz sytuację dziecka. Może przypuszczasz, że miłość dziecka jest beztroska. Tymczasem być „jako dziecko” to znaczy ufać mimo wszystko. Nawet gdy nie rozumiemy osoby kochanej. Ufać i kochać. Bóg Cię słyszy. Patrzy na Ciebie z rozrzewnieniem i miłością. Ale przecież nie musi Ci dawać natychmiast odpowiedzi na Twoje niekiedy może kapryśne pytania i prośby. Bóg chce rozwinąć, wychować Twą miłość. Zwraca Ci uwagę na problem odpowiedzialności, o którym teraz myślisz. I dobrze wyczuwasz, że Bóg chce uczyć nas miłości, a nie zniechęcać czy straszyć.

Dobrze też, że martwisz się wartością swoich czynów. Ale jednak myśl mniej o swoich czynach, a więcej o Bogu. Sprawę swych czynów załatw krótko aktem żalu. Nie analizuj ich. Myśl raczej o Bogu. O Bogu pomyśl z miłością, a z niechęcią i ze smutkiem o swoich niedociągnięciach. To będzie żal, a jednocześnie akt miłości, dzięki któremu będziesz rozwijała się wewnętrznie. Staraj się często myśleć o Bogu z miłością. To nie szkodzi, że przeżywamy bunty, szarpaninę wewnętrzną, wzloty, upadki. Ważne jest, abyś nie zatrzymała się przy żadnym z tych nastrojów, lecz z każdego wyrwała się przez zwracanie serca do Boga.

A „jak zaspokoić potrzeby duszy?” Właśnie miłością. Częstym zwracaniem się do Boga w akcie miłości skłonisz Boga do tego, że będzie w Tobie nieustannie. Staraj się też zdobywać Boga. Na przykład w Komunii św. Bóg przychodzi do Ciebie. Postaraj się o to, aby Bóg polubił ten kontakt z Tobą i zechciał już od Ciebie nie odchodzić. Tak. Potrzebą

duszy jest Bóg. Przede wszystkim Bóg. A sposób zdobycia Boga? Zwracaj wciąż do Boga swoje myśli i tęsknotę. Wciąż posyłaj Bogu słowa miłości. To będzie nieustanna modlitwa. Modlitwa przybliży do nas Boga. Bóg obecny w duszy powoduje, że widzimy Jego świętość i własną nędzę, swoją małą miłość. To wywołuje żal. Żal daje miłość. Miłość sprawia, że Bóg jest w człowieku. Wtedy człowiek zaczyna czynić to, czego życzy sobie Bóg. I w taki prosty sposób dojdiesz do sytuacji, którą uzyskała Teresa z Lisieux: spełniała tylko Boże życzenia.

### DO TADEUSZA S. O CIERPIENIU I UFNOŚCI

Jestem wdzięczny za to, że napisał Pan o sobie. Mogę dzięki temu pełniej zobaczyć problemy, które Pana niepokoją.

Bardzo ciekawie charakteryzuje Pan warunki, które opóźniają, prawie niszczą wewnętrzny rozwój człowieka. Oceny Pana są słuszne. Ma Pan rację. Dla mnie w tym wszystkim jest jednak najważniejsza Pana sprawa. Nie zawsze potrafimy zmienić warunki, zawsze jednak możemy dzięki tym warunkom przemienić siebie. I właściwa droga do Boga w tym przypadku polega na umiejętności reagowania na to wszystko, co Bóg wokół nas ustawił. Jestem przekonany, że Bóg w najdrobniejszych szczegółach obmyślił warunki, w których jesteśmy. I osłania nas swoimi barkami. Oświadczył to w psalmie 90. Inaczej zło przygniotłoby nas zupełnie. Jak więc na to wszystko reagować? Zaufać Bogu. Ufność! Całkowita ufność. Ufać, że ktoś, kto nas kocha, chce naszego dobra.

Wydaje się, że Bóg prosi Pana o ufność. Musi Pan na to jakoś zareagować. Musi Pan bardziej chcieć tego, czego Bóg chce. I musi Pan zgodzić się na ten projekt życia, w którym Bóg Pana umieścił. Bóg domaga się zaufania. Nie jest ono łatwe. I jeśli Pan jakoś nie ukocha tych swoich trudów, będzie Pan tylko zbuntowany, a nie umartwiony. Umartwienie jest wtedy, gdy zgadzamy się przecierpieć przewidzianą przez Boga na nasz dany dzień porcję kłopotów. Możemy bardzo się męczyć, ale dokąd nie ma w nas zgody, nie ma umartwienia. I boję się, że tej zgody nie ma jeszcze w Panu. Ta zgoda nie może być

ślepa. Musi wynikać ze zrozumienia, że najważniejszą sprawą jest kochać Boga. Gdy Kocham, mogę już potem spełniać różne prace. Kocham Boga, jestem przy Bogu i dźwigam ciężkie kłody codziennych trosk, skoro Bóg w taki sposób obmyślił moje życie.

Kto wie, czy nasze wszystkie trudności nie wynikają właśnie z tego, że za daleko jesteśmy od Boga, że za mało znamy Boga i za mało ufamy?

Bóg jest blisko Pana, a jak blisko Boga jest Pan? Może bardzo blisko. Tylko może Pan źle patrzy. Wypatruje Pan ciepła przy Komunii św., „prądów miłości”. Takie ciepło jest sytuacją uczuciową. Taka sytuacja nie jest miarodajna. Miłości Bożej i łaski nie można odczuć. Można je ująć tylko aktem wiary. Pewniejszy jest akt wiary, że Bóg wszedł pod dach nasz, niż wzruszenie. I wcale nie wiadomo, czy takie religijne wzruszenia wzmocniłyby Pana. Niech Pan ich zresztą nie szuka. Należy szukać Boga, nie wzruszeń. I niech Pan zostawi Bogu inicjatywę. Niech Pan tylko kocha.

Bóg daje Panu inny znak swej obecności. Tylko tego znaku nie chce Pan odczytać. Bóg przychodzi do Pana w cierpieniu Pana i Pana bliskich. A Pan raczej się oburza, raczej ma Pan żal do Boga. Wiem, że cierpienie jest cierpieniem, że ból zawsze jest bolesny. Z listu Pana wnoszę, że i sprawa cierpienia sprawia Panu kłopot.

To nie jest tak, że Bóg zsyła cierpienie, a potem patrzy na ludzką mękę sam nie cierpiąc. Fakt jest taki, że przez cierpienie ukrzyżowania Bóg odkupił nas wszystkich. Cierpiał. A teraz, nie mogąc już cierpieć, prosi nas, byśmy za Niego to podjęli. Kogo ma Bóg prosić o tę przysługę? Czy niewierzących? Czy swoich wrogów? Przecież i my ze swoimi kłopotami idziemy do kogoś nam bliskiego. I opowiadamy i martwimy się wspólnie. Chrystus wie, kto jest Mu życzliwy. Zmartwiony zwierza nam swe troski. Licząc na naszą zgodę i na naszą życzliwość zleca nam załatwienie swoich różnych spraw. Przez przyjęcie jakiejś miary cierpień, przez odcierpienie ich w jakimś czasie pomagamy Bogu wypraszać odpuszczenie swoich win lub kogoś drugiego. A może Bóg nie chce dłużej czekać na nasze przyście i zwraca na siebie uwagę zesłaniem nam niezrozumiałych cierpień, choroby, kłopotów? Bóg dzieli z nami swe troski o nas i o innych ludzi zsyłając cierpienie. Przychodzi ze swymi kłopotami do nas. Przecież i Pan powierza swoje duchowe troski nam, a nie pismom laickim. Musimy więc zrozumieć także Pana Boga. Owszem,

cierpienie jest cierpieniem. Ale jeżeli Bóg nam je zsyła, to znaczy, że przychodzi do naszego domu, zasiada wśród nas zmartwiony, a my nie tylko współczujemy Bogu, lecz idziemy z Nim i ratujemy czyjąś duszę od zła, od pokusy, od kary.

Niech Pan nie myśli o cierpieniu jako o nieszczęściu. Cierpienie jest męką, ale nie jest nieszczęściem. Choroba jest złem w porządku ciała. Często jednak jest lekarstwem dla duszy. Odrywa naszą uwagę od siebie, od tego świata, a kieruje do Boga. Może wyrwa nas z obojętności, pogłębia. W każdym razie jest zaproszeniem ze strony Boga. Bóg kieruje do nas prośbę przez cierpienie, byśmy zbawiali z Nim ludzi, I nie wiadomo, czy Bóg serdeczniej nas traktuje wtedy, gdy nie cierpimy, czy raczej właśnie wtedy, gdy cierpimy.

A dalej przecież istnieje sprawa powołania, czyli spełnienia tych zadań, które Bóg dla nas przewidział. Może Pana umieścił Bóg w takich warunkach i po to, by Pan dźwigał innych, przestrzegał przed złem, pokazywał im zło. Można się złościć na zło. Trzeba walczyć o dobro. Ale wciąż tylko z miłości do Boga. Walkę o to samo w imię innych motywów podejmują działacze społeczni. Walkę o dobro z miłości do Boga podejmują ludzie religijni. Powodzenie w tej walce zależy od stopnia miłości do Boga i do bliźniego.

Widzi Pan, że każdy nasz czyn, każdy gest jest wypadkową całej naszej postawy i realizowaniem spraw, którymi jest zainteresowany sam Bóg. Niech Pan odczytuje myśl Bożą i życzenie Boga. Owszem, chce Pan znaleźć sens wszystkich wydarzeń. Ale zestawia je Pan z własną koncepcją życia. Ma Pan koncepcję życia pogodnego. A Bóg daje Panu zupełnie co innego. I jest Pan zdezorientowany. Dziwi się Pan, że przyszły choroby, opuszczenia, zmęczenie. I chciałby Pan, żeby Bóg trochę pomógł. A Bóg nie pomaga. Nie pomaga w tym, czego Pan pragnie. Pomaga w tym, co dla Pana jest lepsze. Bóg domaga się ufności. Ma Pan wiarę, miłość do Boga. Bóg chce jeszcze zaufania, nadziei. A może chce także tej ilości męki, którą Pan przeżywa. Może właśnie życie duszy w Pana przypadku przebiega po tych drogach, na których Pan jest. Może polega właśnie na cierpieniu, które Pan znosi.

List Pana jest bogaty. Porusza Pan wiele spraw ważnych. Niektóre sam Pan rozwiązał. Tych już nie poruszam. I pyta Pan wciąż: „Jaka droga jest najwłaściwsza?”

Droga miłości.

I to Pan wie. Tylko nie może Pan uwierzyć, że ta droga może mieć tę wersję, na której Pan jest, którą Pan przeżywa. To znaczy ciężkie kłopoty, w których jedynym ratunkiem jest Bóg. Droga Pana jest bardzo czytelna: ufać Bogu całkowicie. A związana z tym męka — bo ufać nie jest łatwo — będzie w Panu pogłębiała Umiłowanie. Bo celem życia i sensem życia jest miłość Boża. Tę miłość Bóg w Panu umacnia. Jest Pan mężny, skoro tyle lat trwa Pan na posterunku, wciąż przy Bogu. Ale musi się Pan także bać zniechęcenia, zmęczenia. Przed zmęczeniem niech Pan ratuje się właśnie zaufaniem Bogu. Przed zniechęceniem niech Pan ratuje się silną wiarą. I niech Pan nie da się uwikłać w niepokój.

Właśnie mam przed sobą tekst św. Franciszka Salezego na temat niepokoju.

„Niepokój nie jest zwykłą pokusą, lecz źródłem, z którego wypływa wiele pokus. Niepokój jest największym po grzechu nieszczęściem, jakie może nawiedzić duszę... Niepokój siejąc zamęt w naszym sercu pozbawia je sił potrzebnych do zachowania nabytych cnót oraz możliwości oparcia się zakusom wroga, który właśnie wtedy wysiła się na wszystkie sposoby, by — jak to mówią — łowić ryby w mętnej wodzie.

Niepokój płynie z nieposkromionej chęci pozbycia się jakiejś odczuwanej przykrości czy też zdobycia jakiegoś spodziewanego dobra... Gdy ogarnie cię pragnienie wyzwolenia się z jakiegoś zła lub osiągnięcia jakiegoś dobra, to staraj się przede wszystkim utwierdzić swój umysł w spokoju i rozwadze, opanować rozsądek i wolę, a potem spokojnie ... zmierzaj do spełnienia swego pragnienia stosując kolejno odpowiednie środki” (św. Franciszek Salezy, Wybór pism, Warszawa 1956, s. 260).

Czy Pan czytał piękne rozprawki św. Franciszka Salezego: „Filotea” albo „Traktat o miłości Bożej”?

Niech Pan pomodli się także za mnie.

## MODLITWA W FILMIE O JACKU I MARCELINO



Reżyser filmu „Odwiedziny Prezydenta” bardzo przekonująco pokazał głębie przeżyć dziecka. Tęsknota Jacka i jego miłość do ojca są przeżyciami z etapu spraw całkowicie dojrzałych, chociaż dzieją się w małym człowieku. Jacek rzeczywiście przeżywa wielką tęsknotę i wielką miłość. Dorośli nie dostrzegają tego. Ale nie chodzi o to. Film uczy bardzo sugestywnie tej prawdy, że dziecko ma swoje życie wewnętrzne, bogate i dojrzałe. Miłość jest zawsze miłością, nawet gdy ją przeżywa Jacek. Dziecko różni się od dorosłych nie siłą przeżyć czy ich mniejszą intensywnością, lecz tylko mniejszą ilością wiedzy, mniejszym ciałem i doświadczeniem.

Jacek tęskni do ojca kochającego. Ojciec nie kocha Jacka. Jacek więc personifikuje swoją tęsknotę. Wymyśla sobie kochającą postać Prezydenta Wenderdyka i z nią rozmawia w chwilach osamotnienia i smutku. Ucieka do tej postaci od złego, zimnego otoczenia. Przejmująca jest ostatnia scena filmu, w której opuszczone, samotne dziecko przywołuje kogoś, kto by je kochał: „Panie Prezydencie, niech mnie pan zabierze”. Nikt nie przychodzi. Jacek uciekał tylko w krainę wyobraźni.

W tym miejscu i ten sam problem podejmuje reżyser filmu Marcelino, chleb i wino. Przedstawmy najpierw kilka momentów akcji filmu: Porzucone niemowlę wychowują zakonnicy. Dziecko rośnie wśród starców. Jest kochane, zdrowe, miłe, lecz tęskni. Tęskni do matki, której obraz kształtuje sobie na podstawie przypadkowego spotkania kobiety z synkiem. I tęskni do jej synka, do pięcioletniego chłopca w swoim wieku. I podobnie jak Jacek tę postać personifikuje. Rozmawia z wymagowanym kolegą, opowiada mu o sobie, bawi się z nim. Toczy się dialog z osobą wymyśloną. I tu także reżyser filmu pokazuje bardzo przekonująco wielką tęsknotę i miłość dziecka do matki, której nie ma, i do kolegi istniejącego tylko w wyobraźni.

Reżyser filmu o Marcelino idzie jednak dalej niż reżyser filmu o Jacku. Przeprowadza widza przez ogromnie interesujące przekształcenie w życiu wewnętrznym Marcelina. Rozmowy Marcelina z wymagowanym kolegą przeradzają się w rozmowę z Chrystusem. Chłopiec pod wpływem jakiejś sugestii, pod wpływem chyba niewidzialnej dla innych łaski, zaczyna rozmawiać najpierw z posągiem Chrystusa. Znajduje go na strychu. Jest to właściwie wielki krzyż z postacią Chrystusa. Marcelino traktuje postać

Chrystusa na krzyżu jak kogoś żywego. Przynosi posągowi chleb i wino, koc podczas burzy. Spędza tu często wolny czas. I wciąż rozmawia z Chrystusem. Opowiada Mu to, co dawniej opowiadał wyimaginowanemu koledze. Marcelino nie orientuje się, że rzeźba jest martwa. Tak ufnie podaje Chrystusowi chleb i wino, że widz drży na myśl o możliwości zawodu, który przeżyłby Marcelino, gdyby się wydało, że Chrystus nie jest żywy. Oczywiście Bóg jest na wysokości zadania, Chrystus zdejmuje z krzyża rękę, przyjmuje chleb, potem schodzi z krzyża, siada przy stole, łamie chleb i rozmawia z Marcelino.

W filmie nie jest ważne to, że Chrystus rozmawia z Marcelino. Ważne jest to, że Marcelino rozmawia z Chrystusem. Opowiada Mu o sobie, o matce, o swoim wyimaginowanym przyjacielu. Dialogi są urzekające. A Marcelino po prostu się modli. Rozmowa z Chrystusem jest przecież zawsze modlitwą. Dotychczasowy dialog z przyjacielem przekształcił się już całkowicie w dialog o przyjacielu z Chrystusem. Reżyser filmu pokazuje ogromnie subtelnie i dyskretnie proces przekształcenia się dialogu z osobą wyimaginowaną w dialog z Bogiem. Marcelino w tym dialogu dojrzewa. Jego miłość do matki wzrasta, a przy tym rodzi się i wzrasta miłość do Chrystusa — Rozmówcy.

Film o Jacku i film o Marcelino kończą się podobnie. W momencie szczytowej tęsknoty Jacek wypowiada swe przejmujące zdanie: „Panie Prezydencie, niech mnie pan zabierze”. Marcelino mówi mniej więcej to samo: „Chcę zobaczyć swą mamę zaraz, teraz”. Mówi to z tęsknotą i tak ufnie, że widz znowu czeka z wielkim niepokojem na reakcję Chrystusa. Chrystus odpowiada twierdząco: „Musiałbyś na chwilę zasnąć”. Marcelino siada na kolanach Chrystusa i zasypia. A zakonnicy znajdują na fotelu martwe ciało chłopca.

Dialog Jacka nie jest modlitwą. Jest podobny do modlitwy. Prawie przeraża jej brak w życiu Jacka. Jego tęsknota nie znajduje przedmiotu. A kierowana do osoby wyimaginowanej nie dosięga Boga pozytywnie. Na pewno jakoś negatywnie przez fakt tęsknoty Jacek jest w pobliżu Boga. Film jednak kończy się tragicznie. Widz jest przybity. Miłość Jacka nie została bezpośrednio podjęta przez nikogo.

Mistyka zna etap pozornego odejścia Boga. Człowiek tęskni i szuka Boga, a Bóg pozostaje ukryty. Człowiek nie zawsze wytrzymuje tę próbę i zaczyna mówić ludziom lub

personifikowanym tęsknotom to, co powinien mówić Bogu. Ale tęsknota Jacka nie była jeszcze na tym etapie. Jacek tęsknił tylko do ojca.

Życie Marcelina przebiega podobnie jak życie Jacka. Tęskni do osób, które kocha. Jest mu źle w obcym świecie dorosłych. Wpada jednak w sytuację szczęśliwą. Jego dialog podejmuje ktoś realny. I dzięki temu, że dialog przebiega między Marcelino i Chrystusem, Marcelino się modli. Przez to rozwija się duchowo i dojrzewa. Doskonali się tak dalece, że Bóg przenosi go w sytuację spełnionej miłości bezpośrednio z modlitwy.

Obydwa filmy podejmują problem, który dyskutują teraz socjologowie kultury. Nie wystarcza człowiekowi to, co wytworzył. Człowiek tęskni mimo wszystko do realnej prawdy poza sobą, do prawości i do miłości. Ta tęsknota wciąż się powtarza. Nawet po okresie świetności cywilizacyjnej w Grecji Peryklesa następuje okres sceptycyzmu, sięganie po mity i gnozę, sięganie niby po prawdę. A gdy po średniowieczu renesansowy człowiek jak gdyby uwolniony od Boga urządza sam swój los, sięga na dworze Medyceuszów po neoplatoński platonizm, po kabałę i mity wschodnie. Sięga po coś, co go upewnia i ratuje od zwątpienia.

Człowiek więc, jak widać z tych przykładów, nie ma najlepszego gustu. Jacek sam z siebie nie zaczyna dialogu z Bogiem. Marcelino sam rozmawia tylko z przyjacielem wyimaginowanym.

Ta fala tęsknot do prawości, do prawdy i szczęścia musi się zaczepić o Boga. Inaczej fala się cofnie. Bóg jest obok i chętnie pochwyci liny. Ale trzeba linę rzucić w kierunku Boga. Rzucenie liny to modlitwa, wywołana w nas przez Boga i kierująca nas do Boga.

Można twierdzić, że sprawą najbardziej aktualną dzisiaj jest sprawa modlitwy, sprawa zaczepienia ludzi o Boga. Trzeba więc uczyć i nauczyć ludzi rzucania liny w kierunku Boga, kierowania tam wszystkich codziennych spraw. Jacek nie dotarł do Boga i pozostał sam, opuszczony, z niespełnioną tęsknotą. Marcelino dotarł w swym wewnętrznym dialogu do Boga i uzyskał przyjaźń. Spełniła się też jego miłość. Marcelino bowiem nauczył się modlić.

Należy uczyć modlitwy, uczyć przede wszystkim dzieci. Wiedza religijna to za mało. Nauczanie katechizmu też nie wystarczy. Trzeba nauczyć modlitwy. Nauczyć wszystkich, także starszych. Starsi też często nie umieją się modlić. Modlitwa bowiem nie jest tylko wyszeptywaniem rano i wieczorem należącego Bogu hołdu. To jest postawa ufności i kontaktu z Bogiem poprzez tęsknotę, która jest znakiem miłości. A miłość musi trafić na Boga. Dopóki nie trafi, nie ma modlitwy. Jest tylko chiński młynek, recytowanie pacierza. Modlitwa to ukochanie. Uczenie modlitwy, uczenie więc postawy zaufania Bogu i wybrania Go jako przedmiotu miłości, to uczenie miłości. Zadanie na dzisiaj.

Tego zadania, całej tej sprawy modlitwy nie wymyślam bez podstaw. Tę sprawę wnosi sytuacja dzisiejszego świata. Tę sprawę wnosi film o Jacku i Marcelinie.

## PROBLEM ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU W RELIGIJNEJ KULTURZE RODZINY

Zawarte w tytule słowo „problem” daje możliwość wyboru aspektu zagadnienia. Niech to będzie teologiczny aspekt środków masowego przekazu. I niech będzie uzasadnieniem pytania o pozytywną lub negatywną rolę środków masowego przekazu w kształtowaniu religijnej kultury rodziny, w której wychowuje się młode pokolenie, a więc wchodzący w życie zespół osób, stanowiących w zamierzeniu Stwórcy nowy teren chwały Bożej.

Problem polega na tym, że w religijnym wychowaniu dzieci teraz obok rodziny nowym autorytetem wychowawczym stają się właśnie środki masowego przekazu. Podejmijmy najpierw ten temat i zapytajmy, jak autorytet środków masowego przekazu kształtuje młode pokolenie i czy wpływ tego autorytetu jest pozytywny, czy negatywny? Zapytajmy z kolei, czym w ogóle jest autorytet wskazując na podmiot autorytetu.

Jeżeli młode pokolenie, zgodnie z ostatecznym, a więc podstawowym celem i powołaniem człowieka, ma być terenem chwały Bożej, co spełnia się w przyjaźni z Trójcą Świętą poprzez udział w wewnętrznym życiu Boga, to pytanie o autorytet wychowawczy

rodziny i o autorytet wychowawczy środków masowego przekazu jest pytaniem o źródło informacji i o zaufanie do tych źródeł, które mają spowodować spotkanie człowieka z Bogiem, ponieważ to spotkanie jest celem kształtowania religijnej kultury rodziny.

Sprecyzujmy dalej pytanie: czy rodzina wystarczająco informuje o Bogu i przygotowuje spotkanie z Bogiem w takim stopniu, że środki masowego przekazu swą bogatą informacją nie zdominują przeżyć młodzieży i nie przekształcą porządku wartości, wśród których Bóg winien być pierwszy?

Niebezpieczeństwo takie istnieje, to znaczy niebezpieczeństwo zaufania autorytetowi środków masowego przekazu na niekorzyść zaufania autorytetowi rodziny. Zwraca uwagę na to także papież Paweł VI w przemówieniu, opublikowanym w „L'Osservatore Romano” z 4/5 maja 1970 roku. Czytamy tam, że „prasa, radio, film i telewizja starają się objąć swym zasięgiem, a nawet zastąpić to wszystko, co rodzina, szkoła, parafia, mistrzowie i nauczyciele ukazywali młodzieży... Dziś rodzą się nowe źródła wiedzy i kultury, posiadające ogromny wpływ na uczucia i umysły”.

Postawione pytania zwiążmy z faktami, które będą stanowiły materiał analizy i teren poszukiwania odpowiedzi.

Oto kilka różnych faktów:

1. We wspomnianym już przemówieniu Paweł VI widząc doniosłą wychowawczą wartość prasy, radia, filmu i telewizji, lęka się zarazem, że przekazywana tymi drogami, nie zawsze dobierana informacja, może zdominować to, co ukazywała młodzieży rodzina, szkoła i parafia. Te nowe źródła wiedzy silnie bowiem oddziałują na uczucia i umysły.

2. W „Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym” czytamy (np. nr 6, 8, 19), że cechą naszych czasów jest upadek autorytetu rodziny, konflikty społeczne i ideologiczne, dominacja wartości materialnych, odciąganie od religii, negacja Boga. Nowe więzi łączące człowieka z innymi ludźmi nie zawsze sprzyjają należytemu dojrzeniu osobowości i relacjom naprawdę osobowym, to znaczy miłości, wierze i nadziei wobec ludzi i Boga.

3. Przejęty może głównie ateizmem naszych czasów Karl Rahner, jeden z najwybitniejszych — jak wiemy — twórców współczesnej teologii, omawiając aktualną

sytuację w teologii niemieckiej pisze, że „teologia dzisiejsza i jutrzejsza będzie musiała stać się teologią dialogu z ludźmi, którzy według swego własnego przekonania nie są zdolni uwierzyć. Przedmiotem jej głębokiej i szczerzej refleksji powinny się stać pojęcia: Bóg i Chrystus”. Rahner uważa, że nie znaleziono jeszcze takiego ujęcia tych zagadnień, które byłoby do przyjęcia dla człowieka XX wieku. Nie pokazano, ile dla konkretnej egzystencji ludzkiej znaczy np. dogmat o Trójcy Świętej. Całą teologię należy przebudować pokazując, jak pierwsi świadkowie Chrystusa doszli do uznania, że Chrystus jest Bogiem.

4. Na Światowym Kongresie Apostolstwa Świeckich, w którym uczestniczyłem w Rzymie w 1967 r., podkreślano „napięcia między pokoleniami”. Akcentowano i charakteryzowano konflikt między rodzicami i dziećmi, nauczycielami i wychowankami, rządzącymi i rządzonymi, między świeckimi i duchownymi, między księżmi i biskupami. Przedstawiciele narodów białych stwierdzali istnienie tych konfliktów i widzieli ich źródło w przemianach kulturowych, obyczajowych, społecznych, światopoglądowych, ideologicznych, filozoficznych, religijnych. Przedstawiciele narodów kolorowych uważali, że nie ma u nich tych konfliktów, gdyż silna struktura plemienna broni przed tymi napięciami. Szeroko pojęta rodzina broni młodzież przed konfliktami. Dodajmy, że plemię, szczerp jest tam jedynym niekiedy przekazicielem kultury. U nas więcej źródeł informuje o kulturze.

5. W Stanach Zjednoczonych na spotkaniach ze studentami pochodzenia polskiego mówiono mi w 1967 r., że podstawowym problemem uzyskania pozycji społecznej jest wykazanie się wobec kolegów tradycją kulturową, bogatą, poważną, uznaną w świecie. Szuka się jej więc w rodzinie, w życiu umysłowym narodu, do które go kulturowo należy obywatel wciąż tworzącego się społeczeństwa amerykańskiego. Z przeprowadzonej tam ankiety, zreferowanej niedawno w prasie polskiej, wynika, że młodzież od piętnastego do dwudziestego piątego roku życia nie odrzuca autorytetu rodziców, tylko nie zawsze może przyjąć ich punkt widzenia na zasadzie obowiązku odpowiedzialności za własne życie. Młodzież sama chce rozstrzygać o swym życiu, za które osobiście odpowiada.

6. Wydarzenie może najbardziej zaskakujące: do Taizé od jakiegoś czasu przybywają tysiące młodych ludzi. Przeor Taizé, pastor Schutz, powiedział w wywiadzie dla czasopisma „La vie catholique”, że siedzą tu, rozmawiają, dyskutują, modlą się. Sprzeciwiają się podziałowi na Kościoły, nienawidzą niesprawiedliwości świata, niepokoją się o jego przyszłość. Czego chcą? Pastor Schutz nie wie. Uważa, że trzeba się tego dowiedzieć. Po naradzie z teologami, socjologami, biskupami przeor Taizé w Wielkanoc 1970 r., w obecności kard. Renarda, archimandryty Damaskinosa i pastora Blake, proklamował „Sobór Młodzieży”. Papież Paweł VI nadesłał telegram z pozdrowieniami, patriarcha Atenagoras błogosławił temu „soborowi”, sekretarz Generalny Światowej Rady Kościołów w Genewie pastor Blake poprosił o prawo uczestniczenia w obradach. Przeor Schutz mówi: „rzucamy wyzwanie... nadziei. Nasłuchujemy głosów ludzi młodych... Jeżeli zrozumieją ideę Kościoła, zapragną ją realizować”. A uczestnicy Soboru Młodzieży tak precyzują swoje zadania: „Zmartwychwstający Chrystus... przygotowuje nam nową wiosnę Kościoła, takiego, który... gotów stać się... widowym miejscem zjednoczenia całej ludzkości. Natchnie nas wyobraźnią i odwagą, abyśmy umieli otworzyć drogę powszechnego pojednania”.

7. W dniu zakończenia II Soboru Watykańskiego w orędziu soboru do młodzieży Paweł VI powiedział: „To dla was, młodych, przede wszystkim dla was, Kościół swoim soborem zapalił światło, które oświecać ma przyszłość, waszą przyszłość”.

Z wymienionych tu faktów odnosząc do nich wyznaczone tematem pytania wyciągnijmy kilka wstępnych wniosków, zbliżających nas do odpowiedzi, dotyczących relacji między środkami masowego przekazu i rolą rodziny w religijnym wychowaniu młodzieży.

Pierwszy wstępny wniosek: Sytuacja nie jest jednoznaczna. Czerpiąc informacje z różnych źródeł, przyznając autorytet różnym czynnikom według ich kompetencji, młodzież — myląc się i błędząc, lecz wciąż poszukując — jest wewnętrznie skierowana do prawdy. I wydaje się, że nie ma kryzysu autorytetu, jest tylko kryzys podmiotu autorytetów. Młodzi ludzie uważają, że wielu spraw nie mogą rozstrzygać rodzice, którym tradycja przypisała prawo do totalnej decyzji w sprawach dzieci. Uważają też, że w wielu kwestiach nie są

kompetentni duchowni jako duchowni. Wiedzą, że środki masowego przekazu rozwijają kulturę masową. Nie ufają też kulturze. Nie ufają autorytetom, sprawdzają wartości, sprawdzają prawdę, dobro, piękno.

Drugi wstępny wniosek: Zmienia się pojęcie rodziny. Rodziną we współczesnym sensie są dzieci i rodzice. Do tej rodziny już nie należą dziadkowie, wujowie, ciotki. Ten związek krwi często jednak ustępuje rodzinie w sensie zaprzyjaźnionej grupy osób i ustępuje np. rodzinie zakonnej, która może stać się bliższa niż rodzeństwo, ciotki i kuzyni. Ustępuje tej rodzinie, którą jest Kościół, składający się z rodzin i osób. Mówię tu, oczywiście, o porządku psychologicznym, który rozstrzyga sprawę.

W związku z tymi na razie dwoma wstępnymi wnioskami uporządkujmy terminologię, aby dzięki temu zabiegowi metodycznemu te odpowiedzi, których oczekujemy, pojawiły się jako uderzający oczywistością zespół prawd, tkwiących w badanym przez nas problemie.

#### 1. Pierwszy termin: Środki masowego przekazu.

Dekret soborowy nazywa je środkami społecznego przekazywania myśli. Z wypowiedzi papieża wynika, że do tych środków zalicza się głównie prasę, radio, film i telewizję. Środki te są narzędziami przekazywania, komunikowania myśli.

Dodajmy, że odróżnia się komunikację bezpośrednią i komunikację pośrednią. Komunikacja bezpośrednia to przekazanie myśli drogą spotkania się osoby z drugą osobą. Komunikacja pośrednia jest przekazaniem myśli za pomocą np. listu, książki, prasy, audycji radiowej lub telewizyjnej. Środki masowego przekazu są właśnie komunikacją pośrednią.

Obu rodzajom komunikacji zagraża to, że mogą stać się propagandą, to znaczy połączeniem z informacją środków przymuszających do uznania sugerowanego stanowiska. Autentyczna komunikacja wiąże się z wolnością i miłością. Jej efektem jest zaufanie, które otwiera na komunikowane treści.

Dodajmy poza tym, że do środków masowego przekazu należy dołączyć także np. kazanie, które w Polsce jest powszechnym sposobem informowania o Bogu. Kazanie może być komunikacją bezpośrednią (spotkaniem osoby słuchacza z osobą mówiącego) i



pośrednią (słowem przekazującym zaproszenie Boga do osobowych z Nim spotkań). Może być niekiedy propagandą. Jest wtedy złym kazaniem. Jest dobrym kazaniem, gdy obudzi zaufanie i wywoła pragnienie spotkania z Bogiem. Winno więc być nie tylko nauczaniem, winno być apelem, zapraszającym do faktycznego, żywego spotkania człowieka z Bogiem w Chrystusie poprzez wiarę i miłość. Jest wtedy przepowiadaniem Chrystusa, a nie przepowiadaniem swoich poglądów, swoich przekonań.

Fakty, które przytaczałem, np. napływ młodzieży z Zachodu do Taizé, świadczą, że moc prasy, radia, telewizji i filmu nie jest absolutna. Młody człowiek szuka osób, które nie tylko poinformują, lecz które będą zarazem świadkami prawdy, przekazywanej w informacji.

## 2. Drugi termin: rodzina.

Obserwujemy poszerzenie znaczenia terminu „rodzina” i poszerzenie desygnatu tego pojęcia, a nawet zupełne przekształcenie tego pojęcia. Pojmuje się rodzinę nie tyle jako związek krwi, ile jako związek osób o tych samych przekonaniach lub o tych samych problemach. Rodziną młodych ludzi stają się te osoby, które przynoszą im niekłamana prawdę i którym mogą zaufać. Często bliższa niż rodzice jest im grupa kolegów, którym ufają, nauczyciel, który poszerza ich rozumienie świata, ksiądz, który umie ukazać im bogatą perspektywę przyjaźni z Bogiem. Młodzi ludzie nie szukają jakichkolwiek informacji. Owszem, niekiedy młody człowiek chce uzasadnić swoje odejście od tego, co tradycyjnie uznane za wartość, ale nie oznacza to rezygnacji z wartości, lecz ich poszukiwanie. Problem rodziny jest problemem zaufania, że to, czego młodzi szukają, nie zostanie im błędnie podane. Problem rodziny dzisiaj, wbrew pozorom w naszym zmaterializowanym świecie, to problem źródła odpowiedzi na subtelne potrzeby duchowe. Podkreślmy: wbrew pozorom nasze czasy są okresem subtelnych potrzeb duchowych. Nie wystarczają wartości materialne, ekonomiczne. Pragnie się wolności, zrozumienia świata, siebie, swej pozycji w kosmosie. Pragnie się zrozumieć. Środki masowego przekazu dostarczą erudycji. Ale ta informacja nie uczy rozumienia. Rozumienie domaga się mądrości, która jest sprawnością osób, sprawnością ich intelektu. Szuka się więc osób, mistrzów. Również ten ruch obserwujemy. Rzeczywiście, mądrości może nauczyć tylko

człowiek mądry, dobroci uczą ludzie dobrzy, miłością obdarzają ci, którzy umieją ukształtować najpierw w sobie autentyczną miłość. Postawiłbym paradoksalną tezę, że nie ma w pełni problemu środków masowego przekazu. One nie są zasadniczo groźne. Rodzina sama może niszczyć swój wpływ na dzieci, gdy nie buduje zaufania, a więc swego autorytetu, na wolności, dobroci i prawdzie. Rodzicom nie wolno dziecka okłamać. Rodzicom nie wolno nie mieć heroicznej dobroci.

### 3. Trzeci termin: kultura religijna.

Potocznie przez kulturę religijną rozumiemy znajomość problemów teologicznych, prawd wiary i praktyczne życie sakramentalno-liturgiczne, stanowiące główny akcent naszego codziennego działania społecznego. Nie sprawdzamy tu i nie jesteśmy w stanie sprawdzić faktycznych powiązań osobowych człowieka z Bogiem. Kultura religijna w tym potocznym sensie, jeżeli nie wynika z pogłębionych powiązań osobowych człowieka z Bogiem, jest tylko intelektualną, a nie osobową formacją człowieka. Jest więc jakąś pseudokulturą religijną, którą rozpoznajemy po braku dobroci i wolności w traktowaniu ludzi. A przecież ta dobroć, którą winniśmy świadczyć ludziom, jest znakiem rozpoznawczym miłości, wiążącej nas z Bogiem.

Prawdziwa kultura religijna nie może być oderwana od wolności i dobroci, które są znakiem miłości wobec ludzi i wobec Boga. Kultura religijna jest w osobie ludzkiej skutkiem obecności daru mądrości nadprzyrodzonej, która wewnątrz naszej naturalnej mądrości, zdobywanej w trudzie kształtowania prawości ducha, pozwala oceniać i wyjaśniać wszystko w świetle Ewangelii. Inaczej mówiąc, wtedy mamy kulturę religijną, gdy mądrość naturalna i nadprzyrodzona, kształtowane wraz z całą osobą ludzką darem udziału w wewnętrznym życiu Boga, kierują nami tak, że ukazując innym Chrystusa przyczyniamy się do uświęcenia ludzi i chwały Boga.

Zapytajmy, czy zawsze rodzice posiadają taką kulturę religijną, pełną wyrozumiałości dobroci, uznania wolności, która objawia się w zdobyciu zaufania, wywołania rozumień, a nie w uspokojeniu się wykonaniem zarządzeń, często mechanicznie realizowanych przez dzieci. Bo problem Boga i religijne wychowanie dzieci nie jest zagadnieniem wyłącznie społecznym, statystycznym, kulturowym. Jest sprawą sensu życia, sprawą

odpowiedzialności za swój los. Jest sprawą tajemnicy między dzieckiem i Bogiem. Jest trudną sprawą rozstrzygnięcia problemu miłości. Sprawa jest tak ważna, że aby ją zrozumieć i wyjaśnić, musimy odróżnić rodzinę jako naturalną instytucję społeczną i rodzinę jako zespół osób.

Otóż rodzina jako instytucja społeczna nie może religijnie wychować dzieci. Religijnie wychowuje ten człowiek, któremu dziecko, głównie już rozumujące, a więc od dwunastego do siedemnastego roku życia, jest w stanie z ufnością zwierzyć najboleśniejsze tajemnice swej duszy. Tym człowiekiem może być ojciec, matka, brat, kolega, koleżanka, ksiądz, spowiednik lub sam Chrystus, który mimo naszej nieufności, płynącej z aktywistycznych nastawień, najwłaściwiej zaprzyjaźnia z sobą, niekiedy tam, gdzie najmniej się tego spodziewamy. Musi to więc być konkretna osoba, obdarzona zaufaniem.

A więc ojciec jako człowiek, któremu dziecko ufa. Ksiądz jako osoba, której można zaufać. Nigdy ojciec z tej racji, że jest ojcem, i ksiądz dlatego, że jest księdzem.

Rodzina jako naturalne środowisko osoby, jest ważnym kontekstem przeżyć dziecka, pierwszą informacją o wartościach, otwarciem ku prawdzie i ku Bogu, do którego porzucając rodzinę przechodzi dusza ludzka, aby tam znaleźć swój dom, swoją miłość i swoje szczęście, stanowiące sumę przeżywanego dobra uzgodnionego z doznawaną dobrocią Boga.

Jeszcze raz sprecyzujmy zagadnienie. Rodzina, ukonstytuowana sakramentem małżeństwa, jest naturalnym środowiskiem życia osób. Współtworzy je z Bogiem Stwórcą, ochrania, rozwija. Otacza troską, dobrocią, miłością. Nowe osoby ludzkie poznają w rodzinie miarę dobroci i miarę miłości. W rodzinie dowiadują się o ojcostwie Boga, o jego dobroci i miłości. Zdarza się, że ojciec i matka pozyskają zaufanie dziecka w takim stopniu, że wiążąca ich przyjaźń otworzy duszę dziecka na Boga. Jest to jednak, tak się wydaje, skutek osobowych relacji obecności i przyjaźni, a nie skutek faktu, że rodzice stanowią naturalne środowisko życia i ludzkich wartości młodego człowieka.

Mówiąc inaczej, o spotkaniu z Bogiem nie decyduje to, że się ma rodziców, nie decyduje przebywanie nawet w kochającej rodzinie. Bo o spotkaniu z Bogiem rozstrzyga nie źródło informacji, lecz zaufanie do źródła. Jeżeli dzieci darzą rodziców zaufaniem, rola

rodziców w wychowaniu religijnym jest duża. Jeżeli dzieci ufają środkom masowego przekazu, rola tych środków może być negatywna dla religijnego wychowania. Poczujemy się tym, że zaufaniem obdarza się nie rzeczy, lecz osoby.

Tak kształtowane zagadnienie prowadzi nas do problemu, sygnalizowanego terminem „autorytet”.

4. Autorytet to po prostu własność danego źródła informacji, polegająca na tym, że to źródło informacji zostało obdarowane zaufaniem. Lecz dzieci ufają rodzicom tak długo, dopóki nie odkryją, że informacja jest nieprawdziwa. Młodzi ludzie nie odrzucają autorytetu, to znaczy nie chcą nie ufać temu, kto ich informuje. Zmieniają tylko właśnie podmiot autorytetu. I muszą opierać się na autorytetach, ponieważ jeszcze nie są w stanie sami sprawdzić prawdy, rozpoznać jej, udowodnić. Ich życie wewnętrzne jest właśnie nieustanną zmianą autorytetów. Sytuacja nie jest tragiczna, a niepokoje wychowawców są wtedy nieprzewidywalne, gdy z kolei wychowawcy nie umieją zaufać młodym intelektom i sercom, gdy nie umieją zaufać ich tęsknocie do prawdy, wyrażającej się w nieustannym poszukiwaniu, w ciągłej zmianie właśnie autorytetów. Problemem nie jest tu fakt źródła informacji, a więc rodzice lub środki masowego przekazu. Problemem jest trwanie zaufania.

Dotyczy to także autorytetu Chrystusa. Nasz kontakt z Nim, a więc nasze życie religijne, jest przecież procesem ciągłego powrotu i oddalenia, ciągłego nawracania się i upadków, aż do pełnej metanoi, którą utrwała tylko Bóg. Trzeba też w wychowywaniu młodzieży zaufać autorytetowi Boga, który pierwszy nas ukochał, który nas strzeże, wciąż osłania swą opieką. Bóg zdobywa autorytet głębią swej prawdy, prawdziwością swej miłości. Ale postanowił przychodzić do nas w historii, poprzez naszą o Nim informację, poprzez nasz wysiłek spowodowania spotkania z Nim nauczanych przez nas ludzi. Gdy wszystko popsujemy, Bóg wtedy musi sam ingerować, ratować serca ludzkie dla perspektyw miłości. Nie tylko bowiem środki masowego przekazu mogą niszczyć zaufanie do orędzia Ewangelii. My także możemy to zaufanie zniszczyć.

5. Piąty termin: osoba.

Warunkiem ogólnej kultury człowieka i warunkiem jego religijnej kultury jest, jak wiemy, kontakt osobowy, spotkanie z drugą osobą, obdarzoną zaufaniem dla jej mądrości i dobroci. Żeby człowiek stał się w pełni osobą, a więc kimś korzystającym w wolności ze swego intelektu, który rozumie i ocenia dzięki naturalnej mądrości i w świetle obecnej w nim mądrości wniesionej przez Ewangelię, musi pozostawać w relacjach osobowych z drugą osobą ludzką i z osobą Boga. Kontaktuje nas z Bogiem każdy człowiek, gdy w jego mądrości i dobroci dostrzeżemy oczekującą nas Mądrość samą w sobie, Boga, który jest Intelktem, Dobrem, Prawdą.

Ten idealny typ kontaktu winien charakteryzować wychowawców życia religijnego, owszem religijnych rodziców, a przede wszystkim księży. Kontakt ten spełnia się, gdy ich przepowiadanie jest świadectwem o Bogu żywym, o Jego prawdzie i miłości. Gdy jest ukazaniem osobistej tajemnicy Boga i przekazaniem wezwania do osobistych spotkań Boga i człowieka.

Umiejętność religijnego wychowywania polega na przystosowaniu orędzia zbawienia do pojętności odbiorcy, uwikłanego w struktury ideologiczne, społeczne, kulturowe, charakterologiczne, wykształceniowe, osobowościowe, i na przystosowaniu tego odbiorcy do orędzia ewangelijnego. To przystosowanie do Ewangelii polega na ukazaniu mu całej niezwyklej perspektywy spotkania i zaprzyjaźnienia człowieka z Bogiem.

#### Wnioski teoretyczno-praktyczne

##### 1. Zalety środków masowego przekazu:

a) Szybko i szeroko informują o wielu dziedzinach życia i kultury. Rozwijają orientację w świecie. Wychowują artystycznie, estetycznie, erudycyjnie. Zapoznają z szeregiem prawd cząstkowych, których znajomość, przy obudzonej refleksji, nie pozwala intelektowi zadomowić się w niedoskonałych dobrach.

Pośrednio więc środki masowego przekazu służą kulturze religijnej, która jest wynikiem obecności w nas Boga, odkrytego poprzez ukazujące Go prawdy cząstkowe.

Jeżeli przez środki masowego przekazu będziemy rozumieli także książkę religijną, religijną prasę i film, a nawet kazanie, to musimy uznać, że mogą one pomóc w spotkaniu

człowieka z Bogiem. Tylko pomoc, ponieważ samo spotkanie mogą spowodować osoby w bezpośrednich relacjach mądrości i dobra, które otworzą duszę na głos Boga. To spotkanie ostatecznie inicjuje, realizuje i prowadzi ku pełnemu dobru sam Bóg.

## 2. Niebezpieczeństwa środków masowego przekazu:

Wiemy od psychologów, że telewizja, prasa, wychowują postawy bierne. Dzieci, oglądające telewizję, są bardziej zorientowane w świecie, ale mniej zdolne do wysiłku samodzielnego przemyślenia spraw na ich poziomie. W młodszych klasach uzyskują dobre wyniki, lecz w starszych klasach mniej radzą sobie z trudnym materiałem lekcyjnym.

Nie pogłębiając myślenia środki masowego przekazu utrudniają poszukiwanie prawdy, nie otwierają na wszystkie wartości, zarzucają erudycję, którą niedoświadczony intelekt uważa za obraz świata, za życiową mądrość. Po prostu myślą wartości. Są szkodliwe głównie dla tych młodych ludzi, których nie nauczono samodzielnego myślenia.

Dorzućmy do tych wniosków uwagę, że:

1) może nie uratujemy jakichś konkretnych ludzi, ale młodzież w swej masie kieruje się do prawdy, która ją ocali. Nie zaszkodzi jej ani zły klimat rodzinnego domu, ani fatalne kazanie ich prefekta, gdy będzie wierna swej tęsknocie do tego, co lepsze i prawdziwie wartościowe.

2) Bóg stawia na drogach każdego człowieka dobrą książkę i dobrych ludzi, którzy ułatwiają spotkanie nieskończonych tęsknot ludzkiej miłości z Osobami Trójcy Świętej.

Staralem się ukazywać problem środków masowego przekazu nie tylko w ich relacji do religijnej kultury rodziny, lecz także na tle teorii kultury religijnej i zagadnienia wartości osoby oraz problemu zaufania do Boga, który jest *sensu stricto* wychowawcą duszy ludzkiej.

Wychowując musimy ufać, że Bóg także wychowuje. Musimy też ufać młodzieży, że w swych niepokojach poszukuje nieklamanych wartości. Musimy też umieć zobaczyć, że w innym języku, w innym stylu reagowań, w innym opisie prawdy, w innych zwyczajach towarzyskich, w innej atmosferze domu, zabawy, w innych pytaniach młodzież wyraża tę samą szczerą pragnienie, aby nie minąć się z prawdą.

Wychowanie polega nie na przejęciu tradycyjnej wersji prawdy, lecz na znalezieniu dla tej prawdy nowego, dziś czytelnego kształtu. Prawda przekracza historię, ale odczytujemy ją w historii i wnosimy w nowy etap dziejów, w nowy kontekst spraw, które nas niekiedy nawet szokują. Nie ten kontekst jest ważny. Ważne jest to, co stanowi sens wszystkich poszukiwań niespokojnego serca młodych ludzi.

### ŻYCIE RELIGIJNE W „ZAKŁAMANIU” BERNANOSA

Czytałem znowu Bernanosa i znowu z ogromnym podziwem. Jego analizy przeżyć religijnych są rzeczywiście głębokie i prawie urzekające. Urzekają znakomitą subtelnością narysowanych skomplikowań i całą jak gdyby prawdziwie mistyczną atmosferą. A co najważniejsze, zmuszają czytelnika do refleksji, i to w taki sposób, że nie tylko myśli się o problemach bohaterów książki, lecz i o własnych, trudnych sprawach, głównie o więzi, łączącej nas z Bogiem.

Zagadnienie książki jest proste. Ksiądz Cénabre uświadamia sobie, że nie wierzy. Dowiadujemy się, że prawdopodobnie nie wierzył nigdy. Po prostu chodziło mu zawsze o to, żeby uzyskać wyróżniającą go pozycję społeczną. Temu celowi podporządkował wszystkie swoje prace, nawet prace nad wychowaniem siebie, a ściślej mówiąc doskonaleniem. Ksiądz Cénabre jest postacią raczej niesympatyczną. Jasnym charakterem jest ksiądz Chevance i Chantal. Jej zawdzięcza potem ksiądz Cénabre powrót do Boga. W książce, która jest rozwinięciem tej sprawy niepokoją jednak przynajmniej dwa momenty.

Po pierwsze, całą jak gdyby mistyczną atmosferę książki wyznaczają poruszane w niej wysokiej klasy zagadnienia życia wewnętrznego. Nie znaczy to jednak, że jest to rzeczywiście autentyczna atmosfera mistyki. W pierwszej chwili odnosi się wrażenie, a nawet nabywa się przekonania, że autor prezentuje jakąś swoistą i subtelną lirykę religijną, żeby już nie nazwać książki studium z zakresu psychologii wydarzeń niekonsekwentnych. Atmosferę mistyczną dyskwalifikuje fakt, że bohaterowie książki głównie zajmują się sobą. Jeżeli chodzi o księdza Cénabre, zrozumiałe jest, że po tragicznym przeżyciu

uświadomienia sobie niewiary całe swoje życie wewnętrzne sprowadza do analiz siebie i swego postępowania. Nie jest to zrozumiałe w wypadku innych bohaterów książki. Oczywiście wiemy, jak autor ocenia księdza Cénabre. Uważa, że podporządkował sobie powołanie kapłańskie i dla siebie zdobywał swoją świętość, a nawet nie dla siebie, a tylko dla uzyskania kilku sądów o sobie. Nie oparł się bowiem próżności, która jest potrzebą ustalenia o sobie za wszelką cenę pewnej ilości pozytywnych sądów w opinii innych ludzi. Chodzi o to, że mimo wszystko atmosfera książki, tak łudząco przypominająca atmosferę przeżyć mistycznych, wyzwała pewną czujność u czytelnika i jego nieufność, wprost lęk, że w ukazywanej tu mistyce nie chodzi o Boga.

Oczywiście w autentycznym przeżyciu mistycznym, o czym zresztą tak ujmująco przypomina Merton, tematem myślenia i działań nigdy nie jest człowiek ani jego dusza. Wszystkim: przedmiotem, celem, nastawieniem, nastrojem, tematem, wszystkim wciąż i zawsze jest Pan Bóg.

Można by przypuszczać, że cała sprawa mistyki w książkach Bernanosa jest ich nieprawdziwym i narzuconym wymiarem, że Bernanos daje tylko opis przeżyć na mniejszą skalę religijnych. Bernanos jednak pisze o świętości i to nie ulega kwestii. A pisząc na takim poziomie analizy, jaką znajdujemy w jego książce, przybliży niewątpliwie zagadnienia i nastroje wysokich etapów kontaktu człowieka z Bogiem. W pewnej jednak chwili następuje w myśleniu Bernanosa jak gdyby uskok. Przedmiot rozważań osuwa się o stopień niżej. Przedmiot spada na poziom przeciętny, wysoko zostaje tylko sposób opisu. Jest to opis jak gdyby najwyższego, mistycznego etapu kontaktów z Bogiem, a w rzeczywistości jest to zwykły, behawiorystyczny opis przejawów zewnętrznego zachowania się człowieka. Rozważania Bernanosa wciąż, tak mi się wydaje, co do sposobu zostają prawie poprawną analizą duszy bliskiej Boga, co do przedmiotu na przykład w „Zakłamaniu” dusza jest tylko blisko siebie, a nie blisko Boga. Tematem książki o świętości nie jest więc Bóg w duszy ludzkiej, lecz człowiek. I to nazywam osunięciem się przedmiotu rozważań. Występująca w książce atmosfera mistyki jest stąd atmosferą fałszywą, a nawet więcej, jest quasi — hołdem oddanym człowiekowi.



Czyżby u Bernanosa wyraziła się niecierpliwość ludzi, którzy nie chcą czekać na obietnicę w psalmie „gdy zwróci się do mnie, wysłucham go i uwielbię” — „gdy mnie umiłuje, do niego przyjdziemy”, lecz sami sięgają po uwielbienie i sami sobie je wyrażają albo każą wyrazić je innym? I sami wchodzą, a raczej usiłują wejść tam, dokąd wprowadzić ich może tylko sam Bóg? Oczywiście nie uzyskują uwielbienia ani nie osiągają Boga.

I teraz, po drugie, niepokoi sam opis psychologiczny. Bernanos nigdzie nie pokazuje, na podstawie czego ksiądz Cénabre stwierdził, że nie wierzy. Wiemy tylko, że był pyszny. Czy jednak można nazwać pychą stałe, ciągle pragnienie wyróżnienia się spośród innych ludzi? Można to nazwać na pewno próżnością. Ale próżność jeszcze nie dyskwalifikuje człowieka. Pycha łączy się już z pewnym złośliwym krzywdzeniem kogoś drugiego, na przykład Boga. Ksiądz Cénabre nie ma w sobie nienawiści do Pana Boga ani niechęci, po prostu prawdopodobnie nigdy mu w sensie osobistego życia sprawa Pana Boga nie przyszła na myśl. Próżność zresztą nie prowadzi do takich katastrof, jakie przeżył ksiądz Cénabre. Uderza więc dysproporcja kryzysu i powodującej go przyczyny.

Cały kryzys niewiary otrzymał analizę nieprecyzyjną. Stan psychiczny księdza Cénabre może świadczyć o jakimś fatalnym zmęczeniu, o załamaniu się całkowicie uczuciowego stosunku do Pana Boga, co zresztą często może wyjść na dobre. Kłopoty intelektualne mogą świadczyć o trudnościach umysłowych i same przez się nie świadczą o braku wiary. Zdarza się przecież tak, i często to powtarzam swoim znajomym ateistom, że powołaniem człowieka może być przeżywanie przez całe życie wątpliwości dotyczących w ogóle religii. Wątpliwości teoretyczne przeżywa człowiek nawet głęboko religijny. Taka myśl byłaby nawet à propos Bernanosa. Powołaniem przecież Blanki w Dialogach jest strach. Ksiądz Cénabre mógł na przykład znaleźć się w etapie bardzo ciężkich załamań, spowodowanych oczywiście własną winą lub może dopuszczoną pokusą. Bernanos zinterpretował tę sytuację jako konsekwencję niereligijnego, ale wytresowanego życia katolickiego księdza Cénabre. Mógł w ten sposób poprowadzić dzieje swego bohatera. Przy takim jednak rozwiązaniu za mało przekonał czytelnika, że pycha księdza Cénabre jest pychą, a trudności uczuciowe i intelektualne w stosunku do Boga są autentycznym brakiem wiary.

Nie przekonuje bowiem także stan psychiczny bohatera książki. Ksiądz Cénabre przecież cierpi. Cierpienie — powtórzmy sformułowanie Zawieyskiego — mimo wszystko jest jednak znakiem miłości. Ksiądz Cénabre cierpi z tego powodu, że nie wierzy, a to ma teologicznie doniosłą wymowę, co więcej — przeżywanie cierpienia z powodu niewiary na taką skalę, jaką prezentuje Bernanos, ma specjalnie doniosłą wymowę. Kłamstwo Cénabre'a rzeczywiście jest skonstruowane świetnie. Boję się jednak, że cała sprawa księdza Cénabre jest zwykłym „non sequitur”.

Bernanos wyprowadził swój sąd o bohaterze z jego pychy i zakłamanej wiary. Pycha Cénabre'a nie jest udowodniona w książce, a przeciw niej świadczy przecież to, że Cénabre cierpi z powodu utraconej wiary, a nie cierpi z powodu najmocniejszej w nim próżności. Cierpiąc z tego powodu, że przestał wierzyć, wydaje o sobie bardzo pozytywne świadectwo.

Powtórzenie tych myśli, a właściwie wyszukanie jak gdyby aksjomatów, z których zostały wyprowadzone tezy powieści, prowadzi do dostrzeżenia błędów struktury utworu. Wewnętrzna struktura utworu jest załamana. Z proponowanych analiz i przedstawionej akcji nie wynikają wnioski dzieła i jego nastrój. I obok tego sprawa dziwna. Poemat Bernanosa mówi o tragicznej drodze człowieka do Boga. Tę drogę jednak człowiek odbywa sam, czasem w towarzystwie innych ludzi, ale bez Boga. To jest błędne postawienie sprawy. Do Boga nie można iść bez Boga. Poemat więc jest wewnętrznie źle skonstruowany. Jest psychologicznie niekonsekwentny. Jest jednak mimo wszystko piękny.

Z całej powieści mogą się jednak ostać znakomite analizy psychologiczne, pokazane od strony ładunku mistycznego. Wali się tylko konstrukcja. Jednak się wali. Wszystko to bowiem, co dzieje się w książce, nie mogło dziać się w księdzu Cénabre od momentu, gdy tak boleśnie przeżył dojrzenie w sobie braku wiary. Po takim przeżyciu dzieje się coś innego.

Powyższe dostrzeżenia mają na celu jedną tylko ambicję. Powiedzieć czytelnikom Zakłamania, że nie w ten sposób przebiega proces załamania ludzkich i nie z tak nieubłaganą konsekwencją. Tak tylko myślał Bernanos. I że bardziej myślał o dobrym skonstruowaniu powieści niż o prawdzie przeżyć, które referował.

I Skoro wnioski powieści nie wynikają z akcji, artystyczna struktura utworu jest może także wątpliwa.

Doskonałość duszy nie polega na gromadzeniu i budowaniu wartości duchowych w sensie ciągłego i regularnego wzrostu. Doskonałość ta często polega na całkowitej utracie wszystkiego. Ksiądz Cénabre znalazł się w takiej sytuacji. Bernanos, podobnie jak wielu ludzi, ocenił to jako klęskę. Z punktu widzenia ascetycznego to może być zyskiem. Bernanos bardziej był psychologiem niż teologiem. A to może bardzo przeszkadzać w książce na tematy teologiczne.

Nie chcę całkowicie dyskwalifikować pięknej książki Bernanosa. Ponieważ jednak można wskazać na to, że treść książki nie wynika z założeń przez Bernanosa podanych, muszę stwierdzić, że strukturalnie książka jest chybiona. Nie jest też podaniem prawdy o człowieku, który prawdopodobnie jeszcze zupełnie nie rozpoczął swej religijnej drogi. Nie służąc Bogu, a tylko swej próżności, ksiądz Cénabre nie mógł jeszcze mieć przeżyć religijnych. Miał tylko wiedzę, która mogła mu uświadomić religijne perspektywy. Do tej pory ich nie dostrzegł — lub może nigdy nie chciał.

## NASZA ŚWIĘTOŚĆ JEST WOLĄ BOGA

### I

Osobowe spotkanie człowieka z Bogiem, zapoczątkowane w osobie ludzkiej przez nadprzyrodzoną wiarę, nie jest jednorazowym działaniem Boga i człowieka. Jest raczej powodowanym przez Ducha Świętego, posłanego do naszej duszy przez Ojca i Syna, procesem narastania, pogłębiania i utrwalania w człowieku nadprzyrodzonej miłości, udostępniającej Bogu całą osobę ludzką — teren chwały Bożej. Dzieje się to w warunkach nadprzyrodzonej nadziei, która jest naszą obecnością w tym, w co wierzymy, i co kochamy, wspomagani łaską, czyli obecnością w nas Trójcy Świętej, i wspomagani dzięki tej obecności darami Ducha Świętego, przekształcającego nas według wzoru, którym jest Ojciec, i dla zasług Chrystusa, który będąc Słowem Ojca przekazuje nam życzenia Boże

oraz czyni czymś dostępnym wewnętrzne życie jednego Boga, stanowiącego Trójcę Osób. Udział w tym wewnętrznym życiu Boga jest darem, który nas uświęca, czyli utrwała powiązanie naszej miłości z miłością Bożą. Pełne, najgłębsze, już trwałe według życzeń Bożych ukochanie Boga, sprawdzone w postępowaniu wobec ludzi, jest świętością.

Podejmując zarysowane wątki ujęć możemy przez świętość rozumieć utrwalenie miłości między człowiekiem i Bogiem dzięki pełnemu oddaniu Bogu naszej osoby, w której Duch Święty posłany przez Ojca i Syna kształtuje na miarę Ojca dzięki łasce Chrystusa nasz udział w wewnętrznym życiu obecnego w nas Boga.

Zauważmy najpierw, że sformułowane tu określenie świętości jest w dużym stopniu związane z ewangelijnym poleceniem, podanym przez św. Mateusza: „bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5, 48). A doskonałość tę określa „Księga Kapłańska”: „Bądźcie świętymi, bo Ja jestem święty, Jahwe, Bóg wasz!” (Kpł 19, 2).

Polecenie św. Mateusza jest przekazaną nam przez Chrystusa prośbą Boga o uzyskanie duchowej i religijnej doskonałości. Prośba Boga, wyrażająca życzenie Boże, jest naszym zadaniem i powołaniem, czyli dosłownie zaproszeniem do udziału w wewnętrznym życiu Boga, który jest święty.

Staje się zrozumiałe, że osobowe spotkanie człowieka z Bogiem, który jest święty, czyni nas świętymi. Bóg powołując nas do osobowych z sobą kontaktów, do udziału w swym wewnętrznym życiu, przekształca nas na miarę siebie w sensie spowodowania w nas tych wartości, które Go wyróżniają. Powoduje właśnie naszą świętość, która jest doskonałością naszej miłości, najgłębszego w nas nurtu osobowego życia.

Staje się też zrozumiałe, że powołanie do świętości, a więc objawione nam życzenie Boga, jest szansą miłości ludzkiej w tym sensie, że miłość ludzka skierowana do nieutralnego przedmiotu swych dążeń, taki przedmiot znajduje. Znajduje bowiem Miłość samą w sobie, kochającą nas osobę Boga. Św. Paweł widząc tę szansę miłości ludzkiej, wychowanej przez Ducha Świętego, nie wahał się powiedzieć, że „wolą Bożą jest wasze uświęcenie” (1 Tes 4, 3).

Zauważmy z kolei, że dotychczasowe ujęcia dotyczą świętości jako wprost ontycznego stanu człowieka. Są usiłowaniami określenia świętości w tym, czym ona jest od strony powodującej ją przyczyny, którą jest sam Bóg. Nazwijmy to ujęcie określeniem teologicznym, wskazującym na strukturę świętości. Dodajmy, że określenie to poprzez terminy „doskonałość” i „życzenie Boga” kieruje także do pedagogiczno-ascetycznego aspektu świętości. Aspekty te ukazując świętość od dwu różnych stron, w zespole więc odrębnych zagadnień, są jednak ujęciem tego samego, religijnego faktu osobowych powiązań człowieka z Bogiem. Niezależnie od tego i w związku z tym musimy stwierdzić, że prawidłowe określenie świętości, a dokładniej mówiąc, określenie istoty świętości, wymaga odróżnienia aspektu strukturalnego i pedagogiczno-ascetycznego. W każdym z tych dwu aspektów określenie tej samej świętości będzie różniło się postawieniem innych akcentów, których nie da się jednocześnie wyrazić.

Dodajmy, że można ponadto wyróżnić psychologiczny i mistyczny aspekt świętości. Aspekty te pomijamy zatrzymując się przy ujęciu teologiczno-strukturalnym i pedagogiczno-ascetycznym.

## II

W podjętym już aspekcie teologiczno-strukturalnym świętość jawi się jako doskonałą osobę ludzką realną w niej obecność Boga. Mówiąc technicznym językiem teologicznym, świętość jest wynikiem utworzenia i rozwinięcia w osobie ludzkiej przez obecnego w niej Boga całego organizmu nadprzyrodzonego, który stanowi sposób właśnie obecności i przejawiania się Boga w istocie duszy oraz w jej duchowych władzach. Ten organizm nadprzyrodzony stanowi łaska, cnoty „wlane” teologiczne i moralne oraz dary Ducha Świętego.

Ks. W. Granat wyjaśnia, że „łaska jest to nadprzyrodzony, wewnętrzny dar życiowy, udzielony przez Miłość Bożą stworzeniom rozumnym, aby mogły one uczestniczyć (za pośrednictwem Chrystusa i według Jego wzoru) w bytowaniu i w wiekuiestej Miłości trzech Bożych Osób”. Ks. Garrigou-Lagrange dodaje, że jest więc ona „życiem z istoty swej nadprzyrodzonym, uczestnictwem w życiu wewnętrznym Boga,

uczestnictwem w naturze Bożej, gdyż już teraz przysposabia nas do widzenia kiedyś Boga tak, jak On siebie widzi i do miłowania Go tak, jak On siebie miłuje”.

Rozważając ujęcie R. Garrigou-Lagrange’a dodajmy, że z łaski uświęcającej, nazywanej także łaską cnót i darów, rodzą się cnoty teologiczne i cnoty moralne. Są to cnoty, których sprawcą jest Bóg. I tym swoim pochodzeniem różnią się od cnót nabytych, uzyskanych przez człowieka w wysiłku usprawnienia dobrych działań. Cnoty wlane teologiczne mają za przedmiot Boga, czyli są naszym nadprzyrodzonym działaniem, dzięki któremu osoba ludzka kieruje się ku Bogu. Cnoty wlane moralne mają za przedmiot nadprzyrodzone środki, pozwalające nam dojść do Boga. Celem więc cnót teologicznych jest Bóg, celem cnót wlnych moralnych są środki dążenia do Boga.

Wyróżnia się trzy cnoty teologiczne: wiara, nadzieja, miłość.

Wiara jest darem łaski. Jest więc z istoty swej cnotą nadprzyrodzoną, która sprawia, „że zgadzamy się w sposób nadprzyrodzony i niezawodny na to, co Bóg nam objawia o swoim życiu wewnętrznym w formie, w jakiej podaje nam to Kościół, który ma powierzone przechowanie Objawienia”.

Nadzieja jest także darem łaski. Jest więc z istoty swej cnotą nadprzyrodzoną, która sprawia, że „pragniemy posiadać Boga i aby Go osiągnąć opieramy się nie na naszych siłach przyrodzonych, ale na pomocy, którą On nam przyrzekł. Opieramy się na samym Bogu zawsze pomagającym tym, którzy Go wzywają”.

Miłość jest darem łaski. Jest z istoty swej cnotą nadprzyrodzoną, która sprawia, że „miłujemy Boga nie tylko, aby Go kiedyś posiadać, ale dla niego samego i bardziej niż siebie samych z powodu Jego nieskończonej dobroci..., sprawia, że miłujemy Boga ponad wszystko, jak przyjaciela, który nas pierwszy umiłował”.

Z miłością są związane cnoty wlane moralne. Chodzi o to, że miłość, która kieruje człowieka do Boga i jednoczy nas z Bogiem, nie może się realizować bez nakierowania człowieka na nadprzyrodzone środki zbawienia. Gdy więc człowiek przez grzech śmiertelny traci łaskę uświęcającą i miłość nadprzyrodzoną, traci też cnoty wlane moralne. Rozgrzeszenie przywraca nam łaskę, miłość i cnoty wlane moralne, które są następujące: roztropność, sprawiedliwość, męstwo, umiarkowanie. Ze sprawiedliwością wiąże się cnota

religii, pokuty i posłuszeństwa, z męstwem cnota cierpliwości, z umiarkowaniem cnota pokory, łagodności i czystości. Ewangelia i pisarze duchowni kładą szczególny nacisk na cnotę religii, czyli prawdziwą pobożność i pokutę, przez które oddajemy Bogu należną cześć i zadośćuczynienie. Kładą też nacisk na cnotę łagodności, która jest złączona z cierpliwością. Akcentują doskonałą czystość, dziewictwo i pokorę. Pokora zaś jest podstawową cnotą, ponieważ wyklucza pychę, która jest początkiem wszelkiego grzechu.

Oprócz cnót wlnych, którymi kieruje rozum ludzki oświecony wiarą, na nasz organizm nadprzyrodzony składają się dary, którymi kieruje Duch Święty. Z Objawienia wiemy o siedmiu darach Ducha Świętego, udzielanych człowiekowi wraz z łaską. Cnoty wlane powodują więc, że człowiek w sposób nadprzyrodzony kieruje się do Boga, a dary Ducha Świętego sprawiają, że człowiek „staje się zdolny do chętnego przyjęcia natchnienia Bożego”. Dary Ducha Świętego są następujące: dar mądrości, dar rozumu, dar umiejętności, dar rady, dar pobożności, dar męstwa, dar bojaźni Bożej, Dary te różnią się od cnót wlnych, są konieczne do zbawienia, wiążą się z miłością i wraz z miłością wzrastają w osobie ludzkiej. Uzdalniają człowieka do działań, które polegają na podjęciu życzeń Bożych, na poddaniu się kierownictwu Boga, przekształcającej nas pracy Bożej w nas. Dzięki cnotom moralnym i teologicznym człowiek, choć w sposób nadprzyrodzony, to jednak na swoją miarę kieruje się do Boga. Dzięki darom Ducha Świętego Bóg według swego rozumienia powoduje podnoszenie się człowieka ku Bogu i według swojej miary doskonalą w człowieku nadprzyrodzoną miłość. Cnotę miłości doskonalą dar mądrości, cnotę wiary dar rozumu, cnotę nadziei dar umiejętności, cnotę roztropności dar rady, cnotę religii dar pobożności, cnotę męstwa dar męstwa, cnotę umiarkowania dar bojaźni Bożej.

Aby człowiek mógł spełniać akty cnót wlnych i korzystać z darów, musi być wspomagany łaskami uczynkowymi. Oprócz więc łaski uświęcającej każdy człowiek otrzymuje specjalne poruszenia Boże, nazywane właśnie łaskami uczynkowymi, które aktualnie powodują nadprzyrodzony czyn władz duchowych, udoskonalonych cnotami wlnymi i darami Ducha Świętego.

W osobie ludzkiej, złożonej z ciała i duszy, działającej poprzez władze poznawcze i pożądawcze, uzyskującej naturalne cnoty intelektualne i moralne, jest więc także łaska

uświęcająca i łaski uczynkowe, są cnoty wlane teologiczne i moralne, czyli udzielane przez Boga, i są dary Ducha Świętego. Wykrywamy to wszystko dzięki Objawieniu. Poznajemy i rozumiemy cały nadprzyrodzony organizm człowieka oraz „mechanizm” kontaktowania się osoby ludzkiej z Osobą Boga. Dodajmy jednak, że praktycznie rzecz biorąc działa w nas jednocześnie cały przyrodzony i nadprzyrodzony organizm. Łaska i miłość Boża przenikają całą osobę ludzką, cała osoba ludzka poszukuje i wnika w Boga swoją miłością, wspieraną i kierowaną przez Ducha Świętego, udzielanego człowiekowi przez Chrystusa, ponieważ właśnie wolą Boga Ojca jest nasze uświęcenie.

Podsumowując to teologiczno-strukturalne ujęcie możemy powiedzieć za ks. R. Kosteckim, że „świętość polega na wewnętrznej i rzeczywistej łączności z Bogiem”. Ponieważ tę łączność powoduje sam Bóg przez swoją w nas obecność, świętość człowieka jest z tej racji doskonałością nadprzyrodzoną. Jest po prostu doskonałą osobę ludzką realną w niej obecnością Boga.

### III

Aspekt pedagogiczno-ascetyczny wyznaczony, oczywiście, poleceniem św. Mateusza, abyśmy byli doskonali, jak doskonały jest Bóg, który jest święty, polecenie więc, abyśmy byli święci, wiąże się jednak wyraźniej ze stwierdzeniem św. Pawła, że „wola Bożą jest... (nasze) uświęcenie” (1 Tes 4, 3). Wola Boga, Jego życzenie, jest odwołaniem się do naszej nadprzyrodzonej wiary, a więc do wspomaganych łaską działań, wyznaczonych intelektem i naszą wolą. Wola jest autorem decyzji, czyli wyboru tego, co intelekt przedstawił woli, jako dobre. Obecny w nas Bóg, Ojciec i Syn, przez dary Ducha Świętego ukazał wierzącemu intelektowi wartość świętości, jako właśnie swej woli. Wola ludzka ukochała wolę Boga i zaczął się trud doskonalenia miłości. Ten moralny trud uzyskania doskonałej miłości Boga wyznacza całą problematykę pedagogiczno-ascetycznego aspektu świętości.

Wychowawcy religijnego życia człowieka ten trud uzgodnienia naszej woli z wolą Boga nazwali nawróceniem.



Nawrócenie, czyli wewnętrzne skierowanie się osoby ludzkiej do Boga, jest w każdym człowieku inne i w każdym inaczej psychicznie się przejawia. Klasycy teorii życia religijnego śledząc proces religijnego doskonalenia się świętych i wczytując się w teksty objawione, umieli jednak ustalić wspólne cechy zasadniczych etapów pogłębiania się w człowieku i wzrastania wspomaganej łaską jego miłości do Boga. Nazwali te etapy drogami. Pierwsza droga, nazywana drogą oczyszczenia, jest jak najbardziej zrozumiała: człowiek przy pomocy łaski musi się wewnętrznie przygotować do pełnego przyjęcia miłości Bożej. To przygotowanie musi jednak skorygować sam Chrystus, który przez Ducha Świętego kształtuje w nas obecność Bożą, ponieważ taka jest wola Boga Ojca. Ta praca w nas Boga – Chrystusa jest nazywana drogą oświecenia. A potem następuje droga zjednoczenia, wspólna praca człowieka i Boga nad pełnym zrealizowaniem świętości osoby ludzkiej. Te trzy zasadnicze etapy, trzy drogi wzrastania miłości ludzkiej do Boga, nazywane także trzema nawróceniami, są trzema dającymi się wyraźnie dostrzec stanami duszy, pogłębiającej w sobie miłość do Boga. Dokładniej mówiąc, jest to jeden proces przejmowania przez Boga naszej miłości, lecz pozwalający teoretycznie ustalić stopień skierowania miłości ludzkiej do Boga i stopień wniknięcia w nas miłości Bożej. Wiemy, oczywiście, że życie religijne człowieka jest tajemnicą, i że tylko Bóg rozpoznaje kierującą się do Trójcy Świętej miłość osoby ludzkiej, siłę tej miłości, jej wielkość, bezinteresowność i czystość.

Niezależnie jednak od tego możemy przypuszczać, że jeżeli człowiek dobrowolnie rezygnuje z miłości Bożej w grzechu ciężkim, czyli w wyborze czegoś, czego Bóg sobie nie życzy, to kontakt osoby ludzkiej z Bogiem nie jest jeszcze bardzo serdeczny i pogłębiony. Stopień żalu po grzechu, zorientowanie się, że moja niewierność jest zdradą miłości, ból i powrót do Boga jak najszybszy, mogą znaczyć, że pokonała człowieka słabość, złe rozeznanie, że za mało było w nim modlitwy, ufnej obecności w Bogu, za duże liczenie na własne siły. Mogą znaczyć, że ta rezygnacja z miłości Bożej była pomyłką. Ale jednak była. Świadczy więc o tym, że nasz kontakt z Bogiem nie jest do końca zdecydowany i pogłębiony, że możliwe są grzechy, że zjednoczenie woli ludzkiej i woli Boga, czyli uzgodnienie życzeń człowieka i życzeń Bożych jeszcze się całkowicie nie

dokonało. I takie stwierdzenie ma charakter odczytania znaku, że w pogłębianiu kontaktów człowieka z Bogiem jeszcze nie nastąpił ostatni etap, etap zjednoczenia.

Wychowawcy życia religijnego, wyróżniający właśnie trzy najbardziej wyraźne stopnie powiązania człowieka z Bogiem, trzy nawrócenia lub drogi, uważają najpierw, że pierwsze pogłębienie kontaktów z Bogiem, pierwsze nawrócenie, a więc oczyszczająca droga początkujących jest koniecznym etapem pracy nad sobą, warunkującym w człowieku rozwój życia nadprzyrodzonego w kierunku zjednoczenia z Bogiem. Najogólniej mówiąc, to pierwsze nawrócenie charakteryzuje się walką o utrzymanie w duszy łaski uświęcającej, a więc walką z grzechem. Znakiem rozpoznawczym jest świadomy wysiłek człowieka, aby kierując się wiarą współpracować z łaską.

1) R. Garrigou-Lagrange omawiając okres życia duchowego początkujących przypomina zdanie św. Tomasza z Akwinu, że „głównym obowiązkiem początkujących jest unikanie grzechu, opieranie się pożądliwości, która nas pociąga do przedmiotu przeciwnego przedmiotowi miłości”. Dodaje, że okres tego życia rozpoznajemy po sposobie, w jaki człowiek poznaje siebie i Boga oraz jak miłuje siebie i Boga. Najkrócej mówiąc, początkujący powoli rozpoznaje swoje wady. Nie usiłuje usprawiedliwić się, lecz poprawić. Widzi swoją nędzę, a Bóg daje mu zrozumienie, że tę nędzę winien oglądać w świetle miłosierdzia Bożego. Nie widzi jednak jeszcze w pełni całego niebezpieczeństwa miłości własnej, czyli egoizmu, i nie widzi w pełni całej miłości Bożej. Wyraża Bogu miłość przez unikanie grzechu dzięki umartwianiu zmysłów i nieuporządkowanych namiętności, czyli pożądliwości ciała, pożądliwości oczu i pychy. Tę miłość Bóg nagradza odczuwanymi przez człowieka pociechami na modlitwie czy przy studiowaniu spraw Bożych. Bóg po prostu chce zdobyć uczuciowość człowieka. Początkujący jednak przywiązuje się do tych pociech, szuka ich, wpada w swoiste łakomstwo duchowe. Pojawia się w nim siedem duchowych grzechów głównych, z których musi człowieka wyrwać sam Bóg. Bóg to czyni. Nie daje więc człowiekowi pociech duchowych. Zaczyna się w osobie ludzkiej okres oschłości duchowej, charakteryzującej przejście z drogi oczyszczenia na drogę oświecenia. Drogę oczyszczenia charakteryzuje wielkoduszność. Jest to cnota, która polega na odważnym podejmowaniu tego, czego Bóg wymaga od człowieka. Aby te

wymagania zrealizować, człowiek najpierw sam musi oczyścić swoją uczuciowość (noc czynna zmysłów), wyobraźnię, pamięć, intelekt i wolę (noc czynna umysłu) z tego wszystkiego, co kieruje osobę ludzką do przedmiotów, sprzeciwiających się miłości Bożej. Chodzi po prostu o trwałe skierowanie całej osoby ludzkiej ku Bogu. Uzyskuje się to przez częste przyjmowanie sakramentu pokuty, przez udział we Mszy świętej, przez przyjmowanie Komunii, modlitwę prywatną i liturgiczną.

Obserwuje się więc u początkujących pierwszy stopień miłości i cnoty początkowe, czyli łagodność, cierpliwość, czystość, pokorę. „Umartwienie zewnętrzne i wewnętrzne pozwala im unikać... dobrowolnych grzechów powszednich albo daje możliwość natychmiastowego podniesienia się z grzechu śmiertelnego, jeśli go popełnią. Jako modlitwę praktykują modlitwę ustną, rozmyślanie dyskursywne, które dąży do przekształcenia się w modlitwę uczuciową uproszczoną. Zaczynają się u nich pojawiać dary Ducha Świętego, ale jeszcze raczej ukryte. Od czasu do czasu otrzymują specjalne natchnienia Ducha Świętego, ale mają jeszcze małą zdolność do korzystania z nich. Uległość Duchowi Świętemu jest słaba; dusza ma świadomość przede wszystkim własnej czynności i często musi uznać swoje ubóstwo”.

Przedłużanie się etapu oczyszczenia lub poprzestania na tym etapie stawia człowieka w grupie zapóźnionych, czyli nie realizujących do końca życzeń Bożych.

Gdy człowiek pójdzie dalej, wchodzi w okres nazywany drugim nawróceniem.

2) Drugie nawrócenie zaczyna się w momencie biernego oczyszczenia zmysłów. Na drodze oczyszczenia człowiek przy pomocy Bożej głównie sam pracował nad sobą. Teraz Bóg całkowicie przejmuje inicjatywę i doskonali człowieka. To bierne oczyszczenie zmysłów dokonuje się w uczuciowej oschłości, a inaczej mówiąc w odebraniu człowiekowi odczuwalnych pociech. Gdy człowiek pragnąc gorąco Boga, bojąc się, aby Boga nie obrazić, nie znosząc rozumowań w rozmyślaniu, lecz trwając miłością przy Bogu, znosi tę sytuację, jego strona uczuciowa poddaje się duchowi. Walczy z pokusami przeciw czystości i cierpliwości, to znaczy walczy o cnoty, które mają siedlisko w uczuciowości, walczy więc o poddanie Bogu całego obszaru, który nie jest duchem. Oczywiście, udoskonalenie tej sfery osoby ludzkiej jest już konieczne, jeżeli człowiek chce pójść dalej

w miłości do Boga. Konieczne więc jest to drugie nawrócenie, droga oświecenia. Chodzi o usunięcie przeszkód, które mogą stawiać opór łasce, ponieważ w życiu religijnym chodzi o wierność łasce. W oczyszczeniu biernym chodzi Bogu o usunięcie pozostałości siedmiu grzechów głównych, specjalnie łakomstwa duchowego, które polega na nieumiarkowanym przywiązaniu do pociech, otrzymywanych na modlitwie, lenistwa duchowego, wyrażającego się w zniechęceniu do pracy nad doskonaleniem religijnym, pychy duchowej, która polega na zadowoleniu z własnej doskonałości, na swoistym ukrywaniu swych błędów, na rezygnowaniu z kierownictwa duchowego, na poczuciu swoistej samowystarczalności, wysuwaniu siebie przed innymi. Przez umartwienie zewnętrzne i wewnętrzne człowiek może częściowo wydobyć się z tych wad. Całkowicie jednak może nas z nich wyleczyć tylko Bóg.

To, że Bóg podjął taką pracę w człowieku, możemy rozpoznać po trzech znakach, opisanych przez św. Jana od Krzyża: 1) dusza nie znajduje smaku i pociechy w rzeczach Bożych i w rzeczach stworzonych; 2) ciągle zwracanie pamięci ku Bogu i przy opieraniu się pokusom bolesny niepokój, że nie służy należycie Bogu; 3) niezdolność do szczegółowego rozmyślenia. Krótko mówiąc: oschłość uczuciowa, trudność rozmyślenia, a więc początek modlitwy wlanej, i żywe pragnienie Boga, to trzy znaki dokonywanych w duszy przez Boga oczyszczeń biernych. Dusza poznaje swoją nędzę i świętość Boga. To poznanie jest pokorą, czyli porzuceniem siebie a wyborem Boga. Ten wybór wyraża miłość. Człowiek wnika w tajemnice wiary i Bóg zdobywa nasz intelekt oraz wolę. Dzięki temu doskonałą się cnoty nabyte i wlane, zwłaszcza cnota miłości Boga i bliźniego. Doskonali nas Bóg przychodząc do nas realnie przez Mszę w Komunii świętej.

Mówiliśmy o tym, że drogę oczyszczenia charakteryzuje modlitwa ustna i myślna, czyli rozmyślanie, oraz modlitwa aktów strzelistych. Należy teraz podkreślić, że drogę oświecenia charakteryzuje modlitwa prostego wejrzenia na Boga, czyli miłująca uwaga, skierowana na Boga bez słów i szczegółowych rozmyślań, inaczej mówiąc modlitwa nabytego skupienia, dalej modlitwa skupienia nadprzyrodzonego, oraz modlitwa odpocznienia.

Modlitwa miłującego wejrzenia na Boga polega na wypracowanej przez nas nieustannej pamięci o Bogu i trwaniu przed Bogiem całą swą osobą. Jest z tej racji modlitwą nabytego skupienia lub kontemplacją nabytą, ponieważ chodzi w niej o przebywanie z Chrystusem myślą i miłością przy tajemnicach wiary.

Modlitwa nadprzyrodzonego, czyli wlanego skupienia lub kontemplacji wlanej czynnej polega na tym, że już nie my, lecz Bóg obecny w duszy powoduje nasze pełne miłości szukanie Go, trwanie przy Nim i poznanie Boga, płynące ze szczególnego natchnienia Ducha Świętego dla pomnażania w nas miłości Boga.

Modlitwa odpocznienia, nazywana modlitwą ukojenia lub kontemplacją wlaną bierną, polega dzięki specjalnej łasce na zatopieniu woli w Bogu, na doskonałym więc już uzgodnieniu życzeń osoby ludzkiej i życzeń Boga.

Po tych rodzajach modlitwy Bóg wprowadza duszę w modlitwę prostego zjednoczenia, czyli także kontemplacji wlanej biernej, w której jednak już nie tylko wola jest porwana przez Boga, lecz także intelekt, i w której człowiek nabywa pewności, że Bóg jest w nim obecny. Modlitwa ta wywołuje w duszy wielką skruchę z powodu grzechów, zrozumienie cierpienia Jezusa i pragnienie, aby innym ludziom pomóc poznać i umiłować Boga.

Modlitwę odpocznienia i prostego zjednoczenia dusza przeżywa — zdaniem św. Jana od Krzyża — między biernym oczyszczeniem zmysłów i biernym oczyszczeniem ducha. Bierne oczyszczenie ducha zapoczątkowuje trzecie nawrócenie, czyli drogę zjednoczenia. Modlitwa więc odpocznienia i prostego zjednoczenia jest znakiem, że człowiek przebył już drogę oświecenia, cały okres pogłębienia poznania i miłości w biernym poddaniu się działalności Bożej w duszy. Bóg dalej prowadzi tę pracę, którą teraz teoretycy nazywają właśnie biernym oczyszczeniem ducha. To oczyszczenie prowadzi już do pełnego zjednoczenia duszy z Bogiem.

Droga oświecenia jest więc etapem pogłębiania się w człowieku już trwającego kontaktu z Bogiem. To pogłębianie wyraża się w przekształceniu myślenia i dążeń, w zacieśnieniu się powiązania osoby ludzkiej z Bogiem. Bóg coraz pełniej przenika osobę ludzką, kieruje do siebie intelekt i wolę, sferę uczuciową i władz zmysłowych, doskonali

cnoty, a przede wszystkim miłość. Bóg staje się wszystkim. „Bóg mój i moje wszystko”. Dojście jednak do tego etapu jest trudne i bolesne, radosne i oschłe, pełne męki i pełne pokoju. Bóg sam doskonali człowieka. Rola osoby ludzkiej polega na poddaniu się tym działaniom, często bolesnym, wprowadzającym człowieka na drogę krzyżową Chrystusa włącznie z ascetycznym ukrzyżowaniem, które jest tylko podjęciem wszystkich życzeń Bożych. Stopnie modlitwy, wyróżnione przez mistyków, to po prostu wyraz coraz pełniejszego przejścia przez Boga miłości osoby ludzkiej, doskonalenia jej, i wyraz wzrastania w duszy człowieka wewnętrznego życia Trójcy Świętej. „Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 20). Człowiek cierpiąc z powodu braku pociech przypuszcza, że Bóg oddalił się, odszedł. Przeżywa poczucie nieobecności Boga aż do chwili, gdy w modlitwie prostego zjednoczenia otrzyma dar pewności, że Bóg jest w nim obecny. Zanim to nastąpi, intelekt męczy się wysiłkiem zrozumienia losu duszy, która tęskni i cierpi, a raczej męczy się wysiłkiem przyjęcia tego, co Bóg wnosi w intelekt i wolę. A Bóg po prostu wnosi w duszę ludzką swoją miłość, której kształtu intelekt nie może pojąć, a wola nie umie zaakceptować. Bóg więc uczy człowieka nowego poznawania i nowych aktów wyboru, całej nowej, przychodzącej rzeczywistości, którą sam jest.

3) Przypomnijmy najpierw, że pierwsze nawrócenie wymaga czynnego oczyszczenia zmysłów, czyli uczuciowości, wyobraźni, pamięci, wreszcie ducha w jego intelekcie i woli. Drugie nawrócenie zaczyna się od biernego oczyszczenia zmysłów. Trzecie nawrócenie wymaga biernego oczyszczenia ducha, które jest jakby przemianą duszy. Chodzi po prostu o to, aby sfera uczuciowa w człowieku poddała się duchowi, a duch Bogu. To doskonałe poddanie się Bogu, nazywane zjednoczeniem, musi spowodować Bóg przybliżając do siebie człowieka. To przybliżanie jest z konieczności doskonaleniem człowieka, a więc uwalnianiem go od braków i błędów. Tych braków po drodze oświecenia jest w człowieku jeszcze dość dużo. Zaawansowani w życiu religijnym jeszcze podlegają roztargnieniu w modlitwie, swoistej tępocie, wylewności, zbyt ludzkim sympatiom, co powoduje niedocenianie innych ludzi, sprzeczne ze sprawiedliwością. Mają chwile naturalnej szorstkości jako następstwa grzechu niecierpliwości, ulegają złudzeniom przywiązując się do swych przeżyć duchowych, wpadają w pełną zgrzyliwość gorliwość

czyniąc niepotrzebne uwagi, są po prostu jeszcze pełni pychy duchowej i zarozumiałości oddalając się przez to od prostoty, pokory i czystości koniecznej do zjednoczenia z Bogiem. Pycha powoduje przywiązanie do własnego sądu, własnego sposobu patrzenia, oceny, odczuwania, chcenia. Są władczy lub zbyt pobłażliwi. Człowiek jeszcze w swoim działaniu czerpie uzasadnienia z własnego intelektu i własnej woli. I właśnie Bóg musi oczyścić samo dno woli i intelektu, aby człowiek umiał kierować się życzeniami Boga. Chodzi o to, aby światło żywej wiary i darów Ducha Świętego przeniknęło w głąb naszego intelektu i niejako do korzeni naszej woli. To wniknięcie Boga w głąb intelektu i woli powoduje ascetyczną śmierć naszej miłości własnej ustępując miejsca pokorze. Bierne oczyszczenie ducha jest więc walką Boga o naszą pokorę i miłość, walką z nami, z pychą człowieka, walką dla naszego dobra.

W biernym oczyszczeniu zmysłów na drodze oświecenia człowiek został pozbawiony przez Boga odczuwalnych pociech. W biernym oczyszczeniu ducha na drodze zjednoczenia zostaje ogołocony z poprzednio otrzymanych oświeceń. Bóg po prostu uczy człowieka odejścia od własnego zbyt ludzkiego poznawania i wyboru spraw Bożych, „pozostawia umysł w ciemności, wolę w oschłości, pamięć w próżni, a wszystkie skłonności duszy w największej udręce, goryczy i ucisku”. Smutkowi, który dusza przeżywa, towarzyszy jednak żywe pragnienie Boga i doskonałości, nieustanne poszukiwanie tej miłości, która jedynie odpowiada teraz tęsknotom człowieka. Bóg uczy człowieka kierowania się w działaniu Duchem Świętym i pomaga w tej nocy i ciemności lepiej poznawać swoją wielkość i czystość. Można to wyrazić przy pomocy porównania: we dnie widzimy przedmioty, które są blisko, dopiero w nocy oglądamy odległe gwiazdy. W nocy ducha poznajemy Boga. Noc ta jest jednak także okresem pokus przeciw wierze i nadziei. W sumie oczyszczenie bierne ducha wyraża się w pełnym poznaniu swej nędzy i nieskończonej świętości Boga. Temu poznaniu towarzyszy wielka oschłość duchowa i bardzo żywe pragnienie doskonałości. Inaczej mówiąc, Bóg sam poucza duszę o sobie i doskonali miłość kochającego Go człowieka. Tę przenikliwą i oczyszczoną wiarę, połączoną z miłością, Bóg doskonali poprzez dar rozumu. Gdy minie oschłość duchowa i przyjdzie radość, znaczy to, że dar rozumu wyraźnie już wywiera wpływ na duszę i że

biernie oczyszczenie ducha Bóg ukończył. Człowiek wytrwa przy Bogu w tej nocy, gdy wielkodusznie zaufa Bogu. Trwanie w modlitwie jest znakiem, że Bóg wysłuchuje naszej prośby o umocnienie wiary, nadziei i miłości, i że prowadzi nas swoją bezpieczną drogą krzyżową przez ascetyczną śmierć, przez utratę pychy do zmartwychwstania w pełni nieutralnej miłości do Boga.

Po oczyszczeniu biernym ducha człowiek jest na drodze zjednoczenia, to znaczy nieustannie jest zwrócony wewnątrz do Boga, nie traci Bożej obecności, wciąż myśli o Bogu i nieustannie Go kocha. Nazywamy ten stan przyłgnięciem do Boga, sprawiającym radość i przynoszącym stały wewnętrzny pokój. „To bardzo ściśle zjednoczenie... jest... następstwem tajemnicy mieszkania Trójcy Przenajświętszej w każdej sprawiedliwej duszy”.

Znaki mieszkania w nas Trójcy Świętej według św. Tomasza z Akwinu są następujące: 1) świadomość, że nie mamy grzechu ciężkiego, 2) radość ze słuchania i praktykowania głoszonego słowa Bożego, 3) umiłowanie mądrości Bożej, odczytywanej z Ewangelii, 4) potrzeba nieustannej rozmowy z Bogiem, 5) radowanie się w Bogu i ufanie woli Bożej, 6) wolność dziecka Bożego panującego nad namiętnościami i złem, 7) mówienie o Bogu z pełni serca.

Na drodze zjednoczenia miłość owocuje apostołstwem i życiem wynagradzającym. Doskonali się także modlitwa, w której teoretycy życia wewnętrznego wyróżniają modlitwę oschłego zjednoczenia, modlitwę zjednoczenia ekstatycznego i modlitwę zjednoczenia przemieniającego.

W modlitwie oschłego i bolesnego zjednoczenia dusza człowieka jest pozbawiona pociech i oświeceń, męczy się poczuciem odrzucenia przez Boga, tęsknotą za nieobecnym Bogiem, który nie daje jej poznać swej obecności, niemożnością skierowania ku Bogu myśli, pokusami, a przy tym w całej pełni trwa wewnątrz przy Bogu ufając Jego miłosierdziu.

Modlitwa zjednoczenia ekstatycznego wyraża się w całkowitym porwaniu nas przez Boga dzięki światłu Bożemu i miłości. Władze zmysłowe i nawet umysłowe są jakby zawieszane w działaniu, Bóg sam wypełnia sobą osobę ludzką, a dusza może zajmować się



tylko Bogiem. Modlitwa ta wywołuje w człowieku całkowite oderwanie od stworzeń, wielkie cierpienie z powodu popełnionych grzechów, zrozumienie wartości i ceny męki Chrystusa oraz cierpienie Maryi, Matki Chrystusa. Człowiek poza tym czerpie z tej modlitwy doskonałą cierpliwość w znoszeniu doświadczeń. Udzielana duszy ludzkiej miłość Boża powoduje bolesną samotność człowieka, poczucie, że nic nie zdoła zastąpić Boga i ogromny ból braku bezpośrednio doznawania obecności Bożej.

Modlitwa zjednoczenia przemieniającego jest najwyższym na ziemi stopniem rozwoju łaski w duszy człowieka, miłości do Boga i powiązania z Trójcą Świętą. Dusza pozostaje wciąż w porządku wiary, lecz jej wiara jest przenikliwa i jasna. Modlitwie tej często towarzyszy umysłowe widzenie Trójcy Świętej i ukazywanie się Chrystusa. Dusza już wciąż jest pewna obecności osób Boskich i nigdy nie traci tej obecności. Miłość Boża całkowicie przenika duszę i sprawia, że cała dusza przebywa w Bogu w pełni rozkwitu łaski, cnót i darów. Dusza cieszy się całkowitym pokojem i żyje pełnią wewnętrznej radości, jeżeli Bóg nie zaprosi duszy do pełnego męki działania wynagradzającego. Inaczej mówiąc, jest to doskonałe posiadanie otrzymanego <na chrzcie wraz z łaską daru mądrości, sprawiającego aktualne zjednoczenie z Bogiem. Jest to zjednoczenie przemieniające, to znaczy powodujące jedność z osobą umiłowaną, spełnianie się modlitwy Chrystusa „aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy. Ja w nich, a Ty we mnie!... (i) aby świat poznał, żeś Ty mnie posłał i żeś Ty ich umiłował tak, jak mnie umiłowałeś” (J 17, 22). Skutki zjednoczenia przemieniającego, to skutki w pełni udoskonalonych cnót i w pełni posiadanych darów. Jednym ze skutków jest utwierdzenie w łasce, czyli przez wzrost miłości szczególna opieka Boża, chroniąca człowieka od grzechu śmiertelnego i dobrowolnego grzechu powszedniego. Ze strony człowieka wyraża się to w pewności dążenia do zbawienia. Jest to więc pewność nadziei, umocnionej przez miłość. Miłość wyraża się tu w żywym pragnieniu bezpośredniego oglądania Boga.

#### IV

Za ks. A. Żychlińskim powtórzmy charakterystykę stanów duszy ludzkiej, przybliżającej się do Boga. Układając przejrzysty wykaz przemian, dokonujących się w

człowieku i nazywanych nawróceniami, podkreślmy, że człowiek może osiągnąć pełną intensywność modlitwy, pokory i miłości.

I stopień pokory: zupełne poddanie się prawu Bożemu i nie popełnianie grzechu ciężkiego. Uważanie się na serio za człowieka nic nie znaczącego, słusznie zasługującego na wzgardę.

I stopień miłości: z obawy przed utratą łaski, rozumiejąc jej nieskończoną wartość, zwalczanie złych pożądań i oddalanie się od wszelkiego grzechu.

I faza życia wewnętrznego: usprawienie się w wyborze i czynieniu dobra, czyli zdobywanie cnoty przez opanowanie moralnie złych pożądań, aby nie utracić przez grzech kontaktu z Bogiem. Zdobywanie cnoty umiarkowania i czystości daje opanowanie pożądlivosti ciała. Przed przywiązaniem do bogactw i ogólnie do tak zwanego świata broni zdobywana cnota sprawiedliwości i cnota religii. Opanowanie pychy, czyli uzyskanie właściwego sądu o sobie, daje człowiekowi skrucę i otwiera jego miłość na Boga. Środkiem i sprawdzianem postępu dla tego okresu życia wewnętrznego jest modlitwa ustna i myślna. Cechą i celem modlitwy myślniej jest poznawanie Boga. Dzięki temu poznawaniu człowiek zdobywa argumenty, dla których kocha Boga. Ale jednocześnie wartość tej modlitwy zależy od tego, w jakim stopniu człowiek kocha Boga. Jeżeli modlimy się z większą miłością, większa też jest wartość modlitwy. Tę fazę życia wewnętrznego często nazywa się nocą zmysłów i ducha, czyli pracą człowieka nad opanowaniem i uporządkowaniem dążeń zmysłowych i duchowych.

I etap modlitwy, typowy dla tej fazy życia wewnętrznego: rozmyślanie, częste akty miłości, upodobanie w Bogu, całkowite przywiązanie do Boga.

II stopień pokory: Bóg jest tak dalece wybraną i ukochaną przez nas wartością, że nie ceni się ani bogactw, ani ubóstwa. Te sprawy stają się mniej ważne. Owszem ceni się bardziej ubóstwo, lecz przede wszystkim ceni się Boga. Człowiek nie chce popełnić już żadnego grzechu, nawet najmniejszego. Widzi jednak swą niemoc i całkowicie opiera się na Bogu. Wybrał Boga, ukochał Go i zupełnie Bogu zaufał. Jako coś naturalnego przyjmuje wzgardę. Ta wzgarda nie dziwi go. Uważa, że jest traktowaniem go, proporcjonalnym do jego duchowej nędzy.

II stopień miłości: poznawszy Boga człowiek pragnie nade wszystko Boga i służby Bogu przez wzrost w cnotach.

II faza życia wewnętrznego: człowiek wiele w sobie zmienił współpracując z łaską, lecz nie popełniając już grzechów i posiadając cnoty jeszcze poszukuje pociechy w Bogu, niecierpliwi się z powodu mało widocznego rozwoju religijnego, zniechęca się i przypuszcza, że sam może swe życie wewnętrzne pogłębiać. Bóg zaczyna więc sam oczyszczać duszę ludzką z tych niedoskonałości. Tę pracę Boga nad naszą duszą można rozpoznać. Wymienia się tu trzy znaki: 1) człowiek traci zadowolenie ze spraw Boskich i ludzkich, 2) przeżywa trudności w rozmyślaniu, nie może się modlić, 3) nieustannie jednak pamięta o Bogu i tęskni do Boga. Chce kochać Boga i boi się, czy rzeczywiście jest Bogu oddany. Po prostu ustawicznie, boleśnie pragnie Boga. Nie może modlić się, ponieważ przeżywa tak zwaną oschłość, której nie należy mylić z obojętnością. Oschłość wiąże się zawsze z intensywną tęsknotą za Bogiem. Człowiek jest jak gdyby znudzony rozmyślaniami, a przy tym ogromnie właśnie tęskni do Boga i lęka się, czy rzeczywiście kocha, służy i zbliża się do Boga. Przeżywa więc pokusy przeciw cierpliwości, ma ochotę wszystko rzucić, ale nie może, ponieważ tęskni i kocha. Przeżywa ciężkie pokusy przeciw czystości, które są inną wersją pokusy porzucenia Boga. Tę fazę życia wewnętrznego często nazywa się bierną nocą zmysłów. Tu właśnie już człowiek nie działa. To Bóg oczyszcza duszę, a człowiek cierpi męcząc się oschłością, pokusami i poczuciem odrzucenia przez Boga.

II etap modlitwy, typowy dla tej fazy życia wewnętrznego: 1) modlitwa prostoty — dusza człowieka trwa swą miłością w Bogu, nie pociąga jej nic w takim stopniu jak Bóg, jest oderwana od rzeczy i nie może oderwać się od Boga, 2) modlitwa skupienia — dusza zdobywa się na akty cnoty, lecz widzi, że to właśnie Bóg wszystko w niej sprawił. Widzi, że wszystko ma od Boga i że Bóg jest wszystkim. Uzyskuje dzięki temu właściwy obraz swej nędzy i właściwą ocenę siebie, czyli pokorę, po prostu wyraźnie widzi swą nędzę i świętość Boga. Ale z tej racji, z racji świadomości swej nędzy, zaczyna na serio uważać, że Bóg ją odrzuci dla takiej nędzy i zła. Przeżywa mękę poczucia, że jest odrzucona, stracona. Ta męka i ten stan pokusy oczyszcza duszę z resztek pychy.

III stopień pokory: decyzja doskonałego naśladowania Chrystusa. Wybór ubóstwa, cierpienia i poniżenia. Człowiek uważa, że poniżenie jest największym wyróżnieniem, jakie może go spotkać, ponieważ daje mu udział w poniżeniu Chrystusa. Dla Chrystusa chce tej wzgardy i całkowitego porzucenia siebie.

III stopień miłości: doskonała zgodność woli z wolą Boga, z Jego życzeniami i Jego planem naszego życia, odczytywanego w Chrystusie.

III faza życia wewnętrznego: dusza znając swą nędzę i świętość Boga zaczyna uważać, że nigdy nie osiągnie Boga, skoro jest tak niegodna. Jednocześnie prawie umiera z męki tęsknoty za Bogiem. Trapią ją pokusy przeciw wierze, nadziei, miłości. Bóg wydaje się jej tak niedostępny, że nie ma odwagi Mu zaufać. Uważa też, że nie ma prawa miłować Boga. I znowu jednocześnie tęskni do bezpośredniego oglądania Boga. To nienasycone pragnienie sprawia mękę, równą konaniu. Tę fazę życia wewnętrznego często nazywa się bierną nocą ducha. Bóg utwierdza duszę w niskim mniemaniu o sobie, utwierdza ją więc w pokorze i miłości. Rozłąka z umiłowanym Bogiem powoduje cierpienie. Jedyłą radość daje duszy udział w męce Chrystusa.

Pracę Boga nad oczyszczeniem duszy w tym etapie doświadczony wychowawca może rozpoznać. Wymienia się kilka znaków: 1) świadomość wewnętrznego opuszczenia, mimo że sumienie nie wyrzuca grzechu, 2) pokusy przeciw wierze i miłości, 3) utratę przywiązania do rzeczy i nie dające się niczym zaspokoić pragnienie Boga, 4) wśród oschłości i udręki ustawiczne akty miłości do Boga.

Widzimy wyraźnie przynajmniej to, że sprawa modlitwy, pokory i miłości w człowieku wymaga pomocy wykwalifikowanych wychowawców, którzy prowadzą, umacniają i pocieszają zdezorientowanego i cierpiącego człowieka w trudzie jego religijnego rozwoju.

Rozważając pedagogiczno-ascetyczny aspekt świętości możemy rozumieć ją jako utrwalenie miłości między człowiekiem i Bogiem w wyniku właśnie uzgodnienia i zjednoczenia woli ludzkiej z wolą Boga, co powoduje pełne oddanie Bogu naszej osoby, w której Duch Święty posłany przez Ojca i Syna kształtuje na miarę Ojca dzięki łasce Chrystusa nasz udział w wewnętrznym życiu obecnego w nas Boga.

## V

Świętość jednak, jako trud uzgodnienia woli ludzkiej z wolą Boga, ujmowana od naszej strony łączy się z cierpieniem i radością. Ten fakt wyznacza psychologiczny aspekt świętości, który pomijamy. Pomijamy też aspekt mistyczny, który wymagałby osobnej analizy.

Niech nas zachęca jednak prośba św. Pawła, abyśmy przyoblekli się, „jako... wybrani Boży — święci i umiłowani — ... w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość, ... wybacząc sobie nawzajem” (Kol 3, 12), ponieważ „wolą Bożą jest... (nasze) uświęcenie” (1 Tes 4, 3).

## PO POWROCIE Z PODRÓŻY

Wróciłem z długiej podróży po wielu krajach. Odwiedziłem dwanaście stolic według przewidzianej przez Ciebie, Boże mój, kolejności: Wiedeń, Paryż, Rzym, Bejrut, Amman (Jerozolima), Tel-Aviv, Ateny, Ottawa, Washington, Londyn, Bruksela i oczywiście przecież Warszawa. Wszędzie tam rozrzucałem modlitewne szepty składanej Ci chwały i myślałem o tym, dlaczego zleciłeś mi taką wędrówkę.

Na pewno było tak, że Czynniki Najwyższe w niebie podczas narady rodzinnej patrząc na nas stwierdziły, że zepsują w duszach kontaktujących się ze mną ludzi tę świetną robotę, którą zaczęła w nich łaska. I nastąpiła decyzja wysłania mnie na studia uzupełniające.

A może było tak, o czym marzę w najtajniejszej głębi, że zapytany o zdanie św. Tomasz z Akwinu ocenił pozytywnie moje filozoficzne przygotowanie i na skutek tego archanioł Rafał poprowadził mnie w podróż, abym pogłębił swoją wiedzę?

W każdym razie, jakkolwiek było, kulturę świata od strony europejskiego kręgu mogłem ogarniać w refleksji nad Atenami, Rzymem, Jerozolimą. Trzy źródła środków,

którymi kształtujemy się wewnętrznie rosnąc wśród pojęć i nastawień czasów współczesnych.

Nie zmieniłem zdania, że kultura jest środkiem do celu, czymś więc martwym, co przejmujemy w siebie tylko własną decyzją. I że jest także niewidzialnym klimatem, którym oddychamy, który wdziera się w nas i prawie koniecznie na swą miarę modeluje człowieka, przyzwyczajając do uzasadnień i pytań, do rozumienia i odpowiedzi, właściwych atmosferze i akcentom postawionym współcześnie. Z dziwną bezwładnością podlegamy dłutom kultury. I nic dziwnego.

Gdy uda się stanąć z boku lub ponad nurtem akcentów, można wtedy łatwiej ocenić, a tym samym wybierać i dostrzegać tak, jak jest. Z innych perspektyw patrzy się na kulturę stojąc na rynku Aten, Rzymu czy Jerozolimy.

Po prostu wysłałeś mnie na studia, mój Boże, abym nauczył się spraw nowych. Po prostu wciąż modelujesz nas, małe naczynka, by mieć czym przelewać potem w innych ludzi Twoje słowa i troskę nieba o człowieka i ziemię.

Lecz jaką sprawę mam Ci załatwić na ziemi? Jaką rolę spełnić w porządku łaski? Zresztą nie o to chodzi, abym wiedział. Wystarczy, że przyjmuję rolę naczynia. Jakże jednak trzeba uważać, by dobrze wykonać swą pracę. I pamiętać, że niebo jest bez przerwy otwarte, że to nie Bóg, lecz my właśnie chodzimy po pokojach Bożego domu nie wiedząc o tym. Bóg przecież i dom Jego jest wszędzie. I wszędzie choć nie zawsze można dosłyszeć Najwyższe Rozmowy.

Owszem, martwię się, gdy ktoś z nas nie rośnie, nie rozwija się, nie uczy, a przez to gorzej lub wcale nie wykona przewidzianego dla siebie zadania w porządku łaski. Płaczę, gdy człowiek traci się, gubi, a przez to zmniejsza teren Bożej chwały. Gdyż przez to Bóg traci osobę zasłuchaną w głos najprawdziwszy i traci łącznika z drugim człowiekiem. Ale czy zakładam żałobę, gdy pośród nas stał się grzech, czyli śmierć duszy, utrata łaski, a więc utrata nadprzyrodzonego życia? I czy natychmiast z wystarczającą siłą biegnę do wiecznego Lekarza, by uprosić zabieg wskrzeszenia umarłych.

Nie tylko chodzę po Twym mieszkaniu, Boże, przebywając na ziemi, lecz razem z Tobą urządzam świat, siebie, drugich, Sam wykonuję to źle. Z Tobą lepiej.

Obym mógł zawsze być razem z Bogiem. Naradzając się z Tobą. Przebywać z Bogiem razem. Mieszkać. To zamieszkanie w nas zagwarantowałeś umową „i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy”. Zamieszkasz w każdym z nas. Na wspólne życie. Na codzienne troski i najzwyczajniejsze rozmowy. I na najświetniejsze rozmowy z najinteligentniejszym Rozmówcą. Pod warunkiem „kto mnie umiłuje”. Nie tylko więc wspólne mieszkanie. „Ojciec umiłuje go”. A dalej, gdy zechcemy rozmawiać, wsłuchiwać się, Bóg zapewnia, że „ponieważ zwracał się do mnie, wysłucham go i uwielbię”. Perspektywa najwyższej kwalifikacji. To, ku czemu z racji swej niedoskonałości człowiek biegnie całe życie i czego nie osiąga na ziemi. Chce bowiem, aby go uwielbili ludzie, którzy rezerwują to dla siebie. Człowiek staje się więc zawiedziony, samotny. Człowiek powinien zrezygnować z tego pragnienia. Winien pragnąć tylko Boga.

Są w kulturze nurty, pchające człowieka na drogę samotności i często na drogę grzechu, który jest wzgardą okazaną człowiekowi przez niego samego i jest krzywdą wyrządzoną Bogu, innym ludziom i sobie.

W najwyższej potrzebie wyróżnień człowiek mądry winien dopatrzeć się sprawiedliwie Twojej przewagi, Boże, który uweselasz młodość, który proponujesz przyjaźń, związek najściślejszy: miłość. I chodzi tylko o to, by przyjąć tę propozycję.

A gdy jest przyjaźń... Jakże wtedy wszystko jest zdumiewające. Raz jeszcze więc opowiem o Abrahamie. Czy pamiętasz to spotkanie, mój Boże?

Abraham, gdy przyszedłeś, zapatrzył się, zaszuchał, odmłodził, całkowicie wypełnił rozmową, minął siebie. Przyszedłeś wtedy w Hebronie do namiotów Abrahama. Abraham zaprosił Cię do stołu: „nie byłeś dawno, Panie”. Skarżył się, radował, dyskutował, gdy naradzałeś się z nim w sprawie Sodomy i Gomory. Argumentował mocno, targował się i wciąż w całej pełni zgody, zachwytu, rozkochania. Ponieważ przyszedł Pan.

Przesyłam Ci, Boże, i całemu niebu tęsknotę.

## ZAKOŃCZENIE

### ODCHODZĄC DO BOGA

Zapytano i mnie, co bym robił, gdybym miał za kilka dni umrzeć. Oczywiście kończyłbym swoją książkę, chodziłbym do stołówki na obiad, czytałbym swoich ulubionych poetów i zaprosiłbym przyjaciół na długą dyskusję. A właściwie nie. Po prostu rozmawiałbym ze swoimi bliskimi o Panu Bogu. Trzeba przecież omówić przed wyjazdem cel podróży, samą podróż i zawartość bagaży.

Gdybym więc już odchodził, zabrałbym z sobą przede wszystkim smutek z tego powodu, że były w moim życiu grzechy. To znaczy bowiem dla mnie, że wtedy nie było w mej duszy Boga. I to jest smutek najgłębszy. Jedyny smutek mego życia. Nie było Boga, gdy był grzech. Miłość nie miała przedmiotu, nie miała celu. Była tylko tragiczna tęsknota, ponieważ nie mogłem mieć tego, ku czemu najbardziej szedłem. Pociesza mnie jednak ta właśnie tęsknota. Zabiorę ją z sobą. Pokażę ją Bogu w takiej chwili sądu, w której mi powie, że musiał odchodzić z mej duszy. Tęsknota moja zaświadczy, że tęskniłem do Boga.

Jestem więc pełen spokoju. A źródłem spokoju jest zaufanie. Ufam Bogu. Jestem taki, jaki jestem. Wielu rzeczy nie udało mi się dokonać. Nie cały i nie zawsze jestem terenem chwały Bożej. Raczej tylko psuję to, co Bóg we mnie budował. I wiem, że wszystko Bóg sam zbudował. Ja tylko pozwoliłem i prosiłem, aby budował. Zresztą nie myślałem o tym. Nieważne jest dla mnie to, kim jestem, jakie mam cnoty i których mi brakuje. Nieważna jest dla mnie moja doskonałość. Nieważne są moje grzechy. Ważny jest jedynie Bóg mój, Ojciec, Jego umiłowany Syn i Ich Duch Święty. Ważna jest tylko miłość.



I nie obchodzi mnie mój los po śmierci. Obchodzi mnie Bóg. Wiem, że nie przestanę kochać Boga. I wreszcie nie będzie grzechu, który mi odbierał to, co kocham. A w takim razie będzie wciąż Bóg, miłość moja.

Moje życie jest walką o Miłość. I rzeczywiście prawdziwe dzieje człowieka są dziejami jego miłości. Chociaż właściwie to nie jest walka. To jest z mojej strony ciągle uciekanie. Kocham, a jednocześnie uciekam od Miłości. I jest mi źle, jest tak ciężko, gdy uciekam. Więc wracam.

Będzie mi oczywiście żal rozstać się z tym światem. Kocham tyle rzeczy, spraw, ludzi dla nich samych i dlatego, że kocha ich Bóg. W nich poza tym widzę mego Boga, „który uwesela młodość”. Dziwny paradoks. Tak chętnie odszedłbym z ziemi i tak mi jednak jej żal. Może to po prostu lęk przed zmianą środowiska? A właściwie co się zmieni? I tak raczej jestem tam. Rozmawiam wciąż z mym Bogiem. Rozmawiam z przyjaciółmi: Michałem Archaniołem, Franciszkiem z Asyżu, Małgorzatą z Kortony, Stanisławem Kostką, o. Kolbe. I z Matką łaski.

Przygotowałem już dawno pierwszą rozmowę z Tobą, Matko Boska. I przygotowałem pytania. I prośby na spotkanie z pełnią łaski w człowieku niepokalanym, z Maryją najbardziej kochającą Boga, z Osobą o najwyższym poziomie religijnego życia.

A właściwie nigdy nie umiałem się modlić. Byłem wewnętrznie zbyt bogaty. Byłem właścicielem wielu rzeczy, wielu pragnień i przyjaźni. A powinienem był mieć zawsze tylko jedną rzecz na własność: Boga. I tylko tego strzec. I chodzić sobie po świecie jak św. Franciszek trubadur, i opowiadać o radości. Powinienem był tylko kochać.

Ogromna to radość — radość kochania. Tak bardzo chciałbym, aby rozumieli to wszyscy ludzie. Aby ich młodość była terenem chwały Bożej, aby w pięknych latach szczególnie dorastania był z nimi Bóg. Aby zachwyił ich i porwał. I aby zaprzyjaźnili się na zawsze.

Bóg czyni w nas mieszkanie. A potem zabiera do swego mieszkania. Moje mieszkanie jest ubogie. Ufam, że Bóg będzie dla mnie nie tylko sprawiedliwy i odda mi nie tylko to, co dałem Bogu. Dałem bowiem tak mało. Chciałem wciąż dać wszystko, ale nie wiem, czy oddałem. Tak wielu rzeczy przecież nie umiem.

I teraz idę ku Miłości. Idę kochać bez przeszkód. I jedynie tyle wiem, że idę ku temu, co kocham. I tylko taki sens ma dla mnie odejście. Wciąż zresztą będę. Nie będzie mnie tylko widać. A potem wszyscy zobaczymy się znowu.